

Philip K. Dick

Radio wolne Albemuth

(Radio Free Albemuth)

Tłumaczył Tomasz Bieroń

Wydawca pragnie podziękować Timowi Powersowi za udostępnienie ostatecznej, poprawionej wersji maszynopisu tej powieści, który Philip K. Dick podarował Powersowi do jego prywatnej kolekcji.

Prolog

W kwietniu 1932 roku mały chłopiec, jego matka i ojciec czekali na prom do San Francisco na nabrzeżu w Oakland w Kalifornii. Dziecko, prawie czteroletnie, zauważyło ślepego żebraka, zwalistego, siwowłosego starca z brodą, który stał z blaszanym kubkiem. Chłopiec poprosił ojca o pięciocentówkę, którą następnie wrzucił do kubka. Żebak podziękował zaskakująco energicznym głosem i dał mu w zamian kartkę papieru, którą chłopiec zaniósł ojcu, aby mu przeczytał.

- Tu jest mowa o Bogu - powiedział ojciec.

Chłopiec nie wiedział, że żebrak nie był prawdziwym żebrakiem, lecz istotą nadprzyrodzoną, która odwiedziła Ziemię, aby sprawdzić, jak ludzie się sprawują. W 1974 roku, kiedy chłopiec był już dojrzałym mężczyzną, znalazł się w strasznych tarapatach. Groziła mu utrata dobrego imienia, więzienie, a może i śmierć. Nie potrafił się z tego wywikłać. W tym czasie istota nadprzyrodzona wróciła na Ziemię, użyczyła mu części swego ducha i uwolniła od kłopotów. Mężczyzna do końca życia nie zrozumiał, dlaczego tajemniczy gość przybył mu na ratunek. Już dawno zapomniał o zwalistym, ślepym żebraku z brodą i podarowanych mu pięciu centach.

O tym właśnie zamierzam teraz opowiedzieć.

Część pierwsza

Phil

1

Mój przyjaciel Nicholas Brady, który był przekonany, że przyczynił się do ocalenia świata od zagłady, urodził się w 1928 roku w Chicago, lecz zaraz potem jego rodzina wyjechała do Kalifornii. Większość życia spędził nad zatoką San Francisco, głównie w Berkeley. Pamiętał metalowe słupki do przywiązywania koni, w kształcie końskich głów, przed starymi domami w górzystej części miasta, pamiętał kolejki elektryczne firmy Red Trains, które dowoziły pasażerów na promy, a przede wszystkim pamiętał mgłę. Później, w latach czterdziestych, mgła przestała okrywać nocą Berkeley.

W epoce Red Trains i tramwajów Berkeley było miastem spokojnym i słabo zaludnionym, nie licząc Uniwersytetu, z jego słynnymi konfraterniami studenckimi i znakomitą drużyną futbolową. Jako dziecko Nicholas Brady oglądał z ojcem kilka meczów, ale nic z tego nie rozumiał. Nie potrafił nawet zapamiętać tekstu hymnu drużyny. Lubił jednak kampus uniwersytecki, lubił te drzewa, zaciszne gaje i Strawberry Creek; najbardziej ze wszystkiego lubił rurę kanalizacyjną, którą płynął strumyk. Rura kanalizacyjna była najlepszą rzeczą na kampusie. Latem, przy niskim poziomie wody, chodził do góry i na dół po jej dnie. Pewnego razu ktoś go zawołał i spytał, czy jest studentem. Miał wtedy jedenaście lat.

Zadałem mu kiedyś pytanie, dlaczego postanowił spędzić życie w Berkeley, które w latach czterdziestych zrobiło się przeludnione, hałaśliwe i rojne od gniewnych studentów, którzy bili się ze sobą w sklepie Co-op, jakby sterty konserw były barykadami.

- Cholera, Phil - odparł Nicholas Brady - jestem w Berkeley u siebie.

Wierzyli w to wszyscy ludzie, którzy zarzucili kotwicę w Berkeley, nawet jeżeli mieszkali tam dopiero od tygodnia. Twierdzili, że żadne inne miejsce dla nich nie istnieje. Taka atmosfera panowała zwłaszcza w czasach, kiedy otworzono kawiarnie przy Telegraph Avenue i powstał ruch obrony wolności słowa. Któregoś dnia Nicholas stał w kolejce w Co-op przy Grove i zobaczył, że kilka osób przed nim stoi Mario Savio. Savio uśmiechał się i machał do wielbicieli. Nicholas był na kampusie w dniu, w którym w kafeterii rozpostarto transparent z napisem QÓRVA i gliniarze zgarnęli facetów, którzy go trzymali. Oglądał jednak wtedy książki w księgarni i nic nie zauważył.

Chociaż Nicholas mieszkał cały czas w Berkeley, uczęszczał na Uniwersytet tylko przez dwa miesiące, co wyróżniało go spośród ludności miasta. Inni wiecznie studiowali. Berkeley zamieszkiwała liczna grupa zawodowych studentów, którzy nigdy nie robili dyplomów i nie mieli innego celu w życiu. Uniwersytecką Nemezis Nicholasa było ROTC¹, wówczas jeszcze istniejące. Jako dziecko Nicholas chodził do „postępowego” przedszkola, za którą to fasadą kryły

¹ *Reserve Officers Training Corps* – korpus szkoleniowy oficerów rezerwy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

się sympatie prokomunistyczne. Posłała go tam matka, która w latach trzydziestych miała w Berkeley wielu przyjaciół należących do Partii Komunistycznej. Później został kwakrem, siedział z matką na Spotkaniach Przyjaciół, tak jak mają w zwyczaju kwakrzy, czekający aż Duch Święty natchnie ich do mówienia. Nicholas zapomniał o tym wszystkim aż do chwili, kiedy zapisał się na studia i zafasował mundur oficera oraz karabin M1. Odezwała się jego podświadomość obciążona dawnymi wspomnieniami. Uszkodził karabin i nie zdołał przyswoić sobie zasad posługiwania się bronią; przychodził na musztrę bez munduru; dostawał oceny niedostateczne; poinformowano go, że ocena niedostateczna ze szkolenia wojskowego na koniec roku oznacza automatyczne usunięcie ze studiów. Nicholas odpowiedział na to: „Jak przepis, to przepis”.

Jednak zamiast pozwolić się relegować, sam zrezygnował. Miał dziewiętnaście lat i jego kariera akademicka legła w gruzach. Zamierzał zostać paleontologiem. Drugi duży uniwersytet nad Zatoką, Stanford, pobierał zbyt wysokie czesne. Jego matka pracowała w lokalnej delegaturze Ministerstwa Leśnictwa, której siedziba była na kampusie; nie miała pieniędzy. Nicholas stanął przed perspektywą pójścia do pracy. Szczerze nienawidził uniwersytetu i zastanawiał się nad niezwróceniem munduru. Myślał o tym, żeby stawić się na musztrę z miotłą i udawać, że to karabin M1. Nie przyszło mu jednak do głowy, żeby próbować zastrzelić zwierzchników z M1; karabin nie miał iglicy. W tamtych czasach Nicholas nie utracił jeszcze kontaktu z rzeczywistością.

Problem oddania munduru rozwiązał się sam, kiedy władze uniwersyteckie otworzyły szafkę Nicholasa w szatni i wyjęły z niej mundur oraz dwie koszule. Nicholas został oficjalnie wykluczony ze świata militarnego. Sprzeciwy sumienia i inne myśli o odważnych protestach wyparowały mu z głowy i wzorem studentów Cal zaczął się włóczyć ulicami Berkeley, z rękami w tylnych kieszeniach lewisów, ponurą miną, niepewnością w sercu, pustym portfelem i bez wizji własnej przyszłości. Wciąż mieszkał ze swoją matką, której znudził się już ten układ. Nie umiał nic robić, nie miał żadnych planów, czuł tylko nie ukierunkowany gniew. Snując się ulicami, nucił lewicową pieśń marszową Brygady Międzynarodowej Hiszpańskiej Armii Lojalistycznej, komunistycznej brygady złożonej głównie z Niemców. Śpiewał:

*Vor Madrid im Schtzengraben,
In der Stunde des Gefahr,
Mit den eisernen Brigaden,
Sein Herz voll Hass geladen,
Stand Hans, der Komissar.*

Jego ulubionym fragmentem tekstu było „*Sein Herz voll Hass geladen*”, czyli, „jego serce

pełne nienawiści”. Nicholas śpiewał to w kółko, idąc Berkeley Way do Shattuck i wracając Dwight Way do Telegraph. Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo w owych czasach takie zachowanie nie było niczym niezwykłym. Często widywało się grupki studentów w dzinsach, którzy śpiewali lewicowe piosenki i spychali ludzi z drogi.

Na rogu Telegraph i Channing ekspedientka w sklepie muzycznym University Music pomachała do niego, bo Nicholas często grzebał tam w płytach. Wszedł do środka.

- Nie jesteś w mundurze - zauważyła.

- Wypisałem się z tego faszystowskiego uniwersytetu - odparł Nicholas zgodnie z prawdą.

Pat przeprosiła go, aby zająć się klientem, więc Nicholas wziął suitę Ognisty ptak do kabiny odsłuchowej i puścił na stronie, gdzie pęka z hukiem olbrzymie jajo. Odpowiadało to jego stanowi ducha, jakkolwiek nie był pewien, co wykluwa się z jaja. Na kopercie widniało po prostu jajo i uzbrojony we włócznię człowiek, który szykował się do jego przekłucia.

Po pewnym czasie Pat otworzyła drzwi kabiny, aby porozmawiać o jego sytuacji.

- Może Herb zatrudniłby cię tutaj - powiedziała. - Siedzisz w sklepie cały czas, wiesz, co mamy i znasz się na muzyce klasycznej.

- Wiem, gdzie stoi każda płyta - odparł Nicholas zachwycony tym pomysłem.

- Będziesz musiał nosić garnitur i krawat.

- Mam garnitur i krawat.

Rozpoczęcie pracy w University Music w wieku dziewiętnastu lat było chyba najważniejszą decyzją jego życia, zamknęło go bowiem w skorupie, która nigdy nie pękła, w jaju, które nigdy się nie otworzyło - a w każdym razie nie otworzyło się przez najbliższe dwadzieścia pięć lat, co graniczy z wiecznością dla kogoś, kto wcześniej nie robił praktycznie nic prócz tego, że bawił się w parkach Berkeley, chodził do szkół publicznych i spędzał sobotnie popołudnia na seansach dla dzieci w Oaks Theater przy Solano Avenue, gdzie przed głównym filmem wyświetlano kronikę filmową, wyselekcjonowany krótkometrażowy dokument i dwie kreskówki, wszystko za jedenaście centów.

Pracując dla University Music przy Telegraph Avenue, na całe dziesięciolecie wrósł w rzeczywistość Berkeley i odciął się od możliwości rozwoju czy poznania innych sposobów na życie, rozleglejszych światów. Nicholas dorastał w Berkeley i pozostał w Berkeley. Uczył się sprzedawać płyty, a potem je kupować, rozbudzać w klientach zainteresowanie nowymi artystami, odmawiać przyjęcia do zwrotu uszkodzonych płyt, zmieniać rolkę papieru toaletowego w ubikacji za kabiną odsłuchową numer trzy - to był cały jego świat. Bing Crosby, Frank Sinatra, Ella Mae Morse, Oklahoma, a później South Pacific, *Open the Door*, *Richard* i *If I'd Known You Were Coming I'd Have Baked a Cake*. Stał za kasą, kiedy Columbia wypuściła pierwsze płyty na trzydzieści trzy obroty. Otwierał pudła od dystrybutorów, kiedy zadebiutował Mario Lanza,

sprawdzał, co jest na stanie i spisywał zwroty, kiedy Mario Lanza zmarł. Osobiście sprzedał pięć tysięcy sztuk *Bluebird of Happiness* Jana Peerce'a, nienawidząc każdego egzemplarza. Pracował w University Music, kiedy firma Capitol Records postanowiła wejść w branżę klasyczną i nadal stał za kasą, kiedy klasyczna kolekcja Capitol Records padła. Cieszyło go, że poświęcił się sprzedaży płyt, bo kochał muzykę klasyczną i uwielbiał cały czas przebywać wśród płyt, sprzedawać je klientom, których znał osobiście i kupować je po obniżonej cenie do swojej kolekcji. Zarazem jednak przeklinał dzień, w którym wybrał to zajęcie, bo kiedy po raz pierwszy kazano mu zamieść podłogę, zdał sobie sprawę, że przez resztę życia będzie na poły woźnym, na poły ekspedientem - podobna ambiwalencja cechowała również jego stosunek do uniwersytetu i do ojca. Mieszane uczucia żywił też do Herba Jackmana, swego szefa, który był żonaty z Pat, dziewczyną irlandzkiego pochodzenia. Pat była bardzo ładna i dużo młodsza od Herba. Nicholas kochał się w niej na zabój od wielu lat, aż do czasu, gdy wszyscy się postarzel i często pili razem w Hambone Kelley's, kabarecie w El Cerrito, w którym występował Lu Watters i jego dixielandowa kapela jazzowa.

Poznałem Nicholasa w 1951 roku, po tym, jak zespół Lu Wattersa stał się zespołem Turka Murphy'ego i podpisał kontrakt z Columbia Records. W porze swojej przerwy obiadowej Nicholas często przychodził do księgarni, w której pracowałem, aby poszperać w antykwarycznych egzemplarzach Prousta, Joyce'a i Kafki, starych lekturach obowiązkowych, które studenci uniwersytetu sprzedawali nam, kiedy skończyły się zajęcia z literatury albo przestali się interesować tym przedmiotem. Odcięty od uniwersytetu, Nicholas Brady kupował używane podręczniki do kursów z nauk ścisłych i literatury, na które nie mógł uczęszczać; historię literatury angielskiej miał w małym palcu. Wkrótce zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, zaprzyjaźniliśmy się i wreszcie zamieszkaliśmy razem w mieszkaniu na piętrze domu z brązowymi gontami przy Bancroft Way, niedaleko naszych sklepów.

Właśnie sprzedałem moje pierwsze opowiadanie fantastycznonaukowe Tony'emu Boucherowi z pisma „Fantasy and Science Fiction”; dostałem za nie siedemdziesiąt pięć dolarów i zastanawiałem się nad rzuceniem pracy w księgarni, aby zostać zawodowym pisarzem, co później uczyniłem. Zacząłem zarabiać na życie pisanie książek science fiction.

2

Pierwsze paranormalne doznania Nicholas Brady miał w domu przy Francisco Street, w którym mieszkał od lat. On i jego żona Rachel kupili ten dom za trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów, kiedy się pobrali w 1953 roku. Był to bardzo stary dom - zbudowany przez jednego z farmerów, którzy zakładali Berkeley - stojący na działce o szerokości zaledwie dziesięciu metrów, bez garażu, na glinianej podmurówce, a jedynym źródłem ogrzewania był piec kuchenny. Miesięczna rata wynosiła dwadzieścia siedem i pół dolara, co tłumaczyło, dlaczego Nicholas został tam tak długo.

Wiele razy go pytałem, czemu nigdy nie maluje i nie remontuje domu; dach przeciekał i podczas ulewnych zimowych deszczów Nicholas i Rachel wszędzie podstawiali puste puszki po kawie. Budynek pomalowany był ohydną żółtą farbą, która obłaziła.

- Nie po to kupiłem tak tani dom, żeby w niego pakować forszę - wyjaśniał Nicholas.

Większość pieniędzy wydawał na płyty. Rachel studiowała na wydziale politologicznym. Rzadko zastawałem ją w domu, kiedy do nich przychodziłem. Nicholas powiedział mi któregoś razu, że jego żona zadurzyła się w koledze, który przewodził młodzieżówce Socjalistycznej Partii Robotniczej z siedzibą tuż koło kampusu. Przypominała inne dziewczęta, które się wtedy widywało w Berkeley: dzinsy, okulary, długie, czarne włosy, stanowczy, donośny głos, stale dyskutujący o polityce. Było to oczywiście w epoce McCarthy'ego. Berkeley rozpolitykowało się do granic.

W środy i niedziele Nicholas miał wolne. W środy siedział sam w domu. W niedziele towarzyszyła mu Rachel.

Którejś środy (nie chodzi jeszcze o doświadczenie paranormalne), kiedy Nicholas słuchał w domu *VIII Symfonii* Beethovena na gramofonie Magnavox, przyszło dwóch agentów FBI.

- Zastaliśmy panią Brady? - spytali.

Ubrani byli w garnitury z kamizelkami i przynieśli ze sobą pękate aktówki. Nicholas wziął ich za agentów ubezpieczeniowych.

- Czego od niej chcecie? - zapytał z wrogością w głosie. Sądził, że chcą jej sprzedać polisę.

Agenci wymienili spojrzenia, po czym pokazali Nicholasowi legitymacje. Nicholasa ogarnęła wściekłość i trwoga. Jąkającym się głosem zaczął opowiadać gościom przeczytaną w rubryce „New Yorkera” *O tym się mówi* historię o dwóch agentach FBI, którzy sprawdzali pewnego człowieka, i kiedy przesłuchiwali jego sąsiada, ten powiedział, że obiekt inwigilacji słucha symfonii, na co agenci spytali z podejrzliwymi minami, w jakim języku są te symfonie.

Agenci, którzy stali na ganku, wysłuchali nieskładnie opowiedzianej wersji tej historii i wcale ich nie rozśmieszyła.

- To nie był nasz wydział - odparł jeden z nich.

- Może porozmawiacie ze mną? - powiedział Nicholas w trosce o żonę.

Funkcjonariusze znowu wymienili spojrzenia, kiwnęli głowami i weszli do środka. Przerażony Nicholas usiadł naprzeciwko nich i próbował powstrzymać drżenie.

- Jak panu wiadomo - powiedział tytułem wstępu agent z większym podwójnym podbródkiem - naszym zadaniem jest obrona swobód obywateli amerykańskich przed totalitarnymi zakusami. Nigdy nie angażujemy się w działania przeciwko legalnie funkcjonującym partiom politycznym, takim jak demokratyczna albo republikańska, które spełniają wymogi prawa amerykańskiego stawiane organizacjom politycznym.

Potem zaczął mówić o Socjalistycznej Partii Robotniczej. Wyjaśnił Nicholasowi, że nie jest to legalna partia polityczna, lecz organizacja komunistyczna, która dąży do obalającej amerykańskie swobody rewolucji z użyciem przemocy.

Nicholas wiedział o tym wszystkim, lecz milczał.

- Pańska żona - powiedział drugi agent - mogłaby się nam przydać, bo należy do młodzieżówki SPR; mogłaby nas informować, kto bierze udział w zebraniach i co się tam mówi.

Obaj funkcjonariusze spojrzeli na Nicholasa wyczekująco.

- Muszę to obgadać z Rachel, jak wróci - odparł.

- Czy pan jest zaangażowany w działalność polityczną, panie Brady? - spytał agent z większym podwójnym podbródkiem.

Miał przed sobą notatnik i wieczne pióro. Pomiędzy Nicholasem a funkcjonariuszami stała jedna z aktówek. Skórę wypychał jakiś prostokątny przedmiot - Nicholas wiedział, że rozmowa jest nagrywana.

- Nie - stwierdził zgodnie z prawdą.

Nie robił nic oprócz słuchania egzotycznych białych kruków z muzyką wokalną w obcych językach, zwłaszcza w wykonaniu Tiany Lemnitz, Erny Berger i Gerharda Huscha.

- A chciałby pan? - spytał mniej ważny funkcjonariusz.

- Hm - odparł Nicholas.

- Zna pan Międzynarodową Partię Ludową - stwierdził ważniejszy agent. - Myślał pan o tym, żeby brać udział w jej zebraniach? Odbywają się kilka domów stąd, po drugiej stronie San Pablo Avenue.

- Przydałby nam się ktoś, kto chodziłby na zebrania tutejszego oddziału - powiedział mniej ważny funkcjonariusz. - Interesuje to pana?

- Wynagrodzilibyśmy pana - dodał jego kolega. Nicholas zamrugał, przełknął ślinę i wygłosił pierwszą w swoim życiu przemowę. Agenci nie byli zachwyceni, ale słuchali.

Tego samego dnia, po wyjściu funkcjonariuszy, Rachel wróciła do domu obładowana podręcznikami i nie w sosie.

- Zgadnij, kto dziś o ciebie pytał - powiedział Nicholas, po czym sam zdał jej relację.

- Sukinsyny! Sukinsyny! - powtarzała Rachel.

Dwie noce później Nicholas miał swoje mistyczne przeżycie.

Byli z Rachel w łóżku, spali; Nicholas po lewej stronie, bliżej drzwi sypialni. Wciąż wzburzony wizytą funkcjonariuszy FBI, miał niespokojny sen, stale się wiercił, dręczony zagmatwanymi, nieprzyjemnymi snami. Nad ranem, gdy pokój zaczęło wypełniać światło brzasku, poruszył się tak gwałtownie, że zbudził go ból. Nicholas otworzył oczy.

Obok łóżka stała jakaś postać i patrzyła na niego w milczeniu. Nicholas wbił w nią wzrok, stęknął zdumiony i usiadł. Rachel natychmiast się zbudziła i zaczęła wrzeszczeć.

- *Ich bin's!* - zawołał Nicholas uspokajająco (uczył się niemieckiego w szkole średniej). Chciał przez to powiedzieć, że on i postać są jednym i tym samym, co wyrażał niemiecki zwrot, „*Ich bin's*”. W podnieceniu nie zauważył jednak, że mówi w obcym języku, nawet jeżeli był to język, który pani Altecca wbijała mu do głowy w ostatniej klasie. Rachel nie rozumiała go. Nicholas zaczął ją głaskać, ale dalej mówił po niemiecku. Rachel była zdezorientowana i przestraszona. Nie przestawała wrzeszczeć. Tymczasem postać znikła.

Później, już całkiem rozbudzona, Rachel nie miała pewności, czy rzeczywiście widziała postać, czy tylko zareagowała na nagłe poruszenie się swego męża. To wszystko stało się tak szybko.

- To byłem ja - powiedział Nicholas. - Stałem koło łóżka i patrzyłem na siebie. Rozpoznałem się.

- Co to tam robiło? - spytała Rachel.

- Czuwało nade mną.

Był tego pewien. Poznał po wyrazie twarzy postaci. Nie było więc powodów do strachu. Odniosł wrażenie, że postać, czyli on sam, przybyła z przyszłości, może bardzo odległej, aby zobaczyć, jak Nicholas, jej wcześniejsze wcielenie, radzi sobie w krytycznym momencie swego życia. Wrażenie to było tak wyraźne i silne, że nie potrafił się go pozbyć.

Poszedł do salonu i zdjął z półki słownik niemiecki, chcąc sprawdzić zwrot, którego użył. Tak, zgadzało się. „*Ich bin's*” znaczyło dosłownie „Ja jestem tym”.

Siedzieli z Rachel w salonie, wciąż w pidżamach, i pili kawę rozpuszczalną.

- Chciałabym mieć pewność, że naprawdę to widziałam - powtarzała bez końca Rachel. - Coś mnie przestraszyło, to wiem. Słyszałeś, jak wrzeszczałam? Nie wiedziałam, że potrafię tak wrzeszczeć. Chyba nigdy wcześniej tak głośno nie wrzeszczałam. Ciekawe, czy sąsiedzi słyszeli. Mam nadzieję, że nie wezwą policji. Założę się, że ich pobudziłam. Która godzina? Robi się jasno. Musi być świt.

- Nigdy w życiu mi się coś takiego nie zdarzyło - powiedział Nicholas. - Rany, ale się zdziwiłem, kiedy otworzyłem oczy i zobaczyłem przed sobą... samego siebie. Co za szok. Ciekawe, czy komukolwiek innemu przytrafiło się coś takiego. Rany.

- Jesteśmy tak blisko sąsiadów - martwiła się Rachel. - Mam nadzieję, że ich nie obudziłam.

Nazajutrz Nicholas przyszedł do mnie, aby mi opowiedzieć swoje mistyczne przeżycie i spytać o zdanie. Nie był jednak ze mną całkowicie szczery; początkowo przedstawił mi to nie jako swoje osobiste doświadczenie, lecz jako pomysł na opowiadanie fantastycznonaukowe. Żeby nie wyjść na idiotę, gdybym to uznał za durne.

- Pomyślałem - powiedział - że jako pisarz science fiction potrafisz mi to wyjaśnić. Czy to była podróż w czasie? Czy istnieje coś takiego jak podróż w czasie? A może równoległy wszechświat.

Powiedziałem mu, że chodzi o jego inne ja, które przybyło z równoległego wszechświata. Świadczył o tym fakt, że Nicholas się rozpoznał. Swojego przyszłego ja by nie rozpoznał, miałoby bowiem inne rysy twarzy niż te, które widywał codziennie w lustrze. Nikt nie rozpoznałby swego przyszłego ja. Napisałem o tym w opowiadaniu. Przyszłe ja głównego bohatera odwiedziło go, aby go przestrzec, że zaraz zrobi coś głupiego. Bohater, nie rozpoznawszy swego przyszłego ja, zabił je. Wtedy nie udało mi się jeszcze opublikować tego opowiadania, lecz patrzyłem na sprawę optymistycznie. Mój agent, Scott Meredith, sprzedał wszystkie moje dotychczasowe płody.

- Możesz wykorzystać ten pomysł? - spytał Nicholas.

- Nie, jest zbyt banalny.

- Banalny! - Wyglądał na zbulwersowanego. - Mnie nie wydawał się banalny tej nocy. Sądzę, że postać miała mi do przekazania jakąś wiadomość i emitowała ją telepatycznie, ale zbudziłem się i przerwałem transmisję.

Wyjaśniłem mu, że kiedy ktoś spotyka swoje ja z równoległego wszechświata - czy nawet z przyszłości - nie potrzebuje telepatii. To byłoby nielogiczne, bo przecież nie istniałaby bariera językowa. Telepatia stosowana jest w kontaktach między osobnikami należącymi do różnych gatunków, na przykład pochodzącymi z innych układów gwiazdnych.

- Aha - mruknął Nicholas ze skinieniem głowy.

- Była życzliwa?

- Naturalnie. Przecież to byłem ja, a ja jestem przyjaźnie nastawiony. Wiesz co, Phil, pod pewnymi względami zmarnowałem życie. Co ja robię, w moim wieku pracuję jako ekspedient w sklepie z płytami? Weźmy cię, jesteś zawodowym pisarzem. Do diabła, dlaczego ja nie mogę robić czegoś podobnego? Czegoś sensownego? Ekspedient! Najmierniejsza z miernot! A Rachel zostanie kiedyś profesorem, jak skończy studia. Nie należało rezygnować. Trzeba było zrobić dyplom.

- Poświęciłeś karierę akademicką dla słusznej sprawy, sprzeciwu wobec wojny - pocieszyłem go.

- Zepsułem karabin. Nie walczyłem o żadną sprawę. Po prostu nie umiałem rozłożyć

i z powrotem złożyć karabinu. Zawieruszyłem gdzieś po drodze cyngiel i tyle.

Wyjaśniłem mu, że jego podświadomość jest dużo mądrzejsza od świadomości i że powinien zaufać jej wizji, jej poczuciu wyższych wartości. W końcu chodziło o część jego samego.

- Nie jestem pewien, czy w to wierzę - odparł Nicholas. - Od czasu, gdy ci dwaj agenci FBI przyszli do mnie i mnie sterroryzowali, nie jestem pewien, w co w ogóle wierzę. Chcieli, żebym szpiclował własną żonę! Myślę, że tak naprawdę o to im chodziło. Każą ludziom szpiclować się nawzajem, jak w *Roku 1984*, chcąc doprowadzić do rozkładu społeczeństwa. Jaki sens ma moje życie w porównaniu na przykład z twoim? W porównaniu z czyimkolwiek? Wyjeżdżam na Alaskę. Parę dni temu rozmawiałem z człowiekiem z Southern Pacific. Mają zagłowiec, który pływa tam trzy razy do roku. Mógłbym się nim zabrać. Sądzę, że to właśnie chciało mi powiedzieć moje ja z przyszłości albo z równoległego wszechświata: że moje życie nie ma sensu i muszę podjąć jakąś radykalną decyzję. Przypuszczalnie zaraz bym się dowiedział, co powinienem zrobić, ale wszystko zepsułem, budząc się i otwierając oczy. A właściwie to Rachel odstraszyła go swoim krzykiem. Wtedy sobie poszedł. Gdyby nie ona, wiedziałbym, jak ułożyć sobie przyszłość, a tak nic nie wiem, nic nie robię, nie mam żadnych nadziei i perspektyw prócz tego, że muszę sprawdzić tę sakramencką dostawę od Victora, która na mnie czeka. Czterdzieści dużych pudeł - cały katalog jesienny, który nam wcisnęli, a właściwie nie wcisnęli, bo Herb sam chciał. Z powodu dziesięcioprocentowego upustu.

Zapadł w ponure milczenie.

- Jak wyglądali agenci FBI? - spytałem, bo nigdy nie widziałem na własne oczy łapsa. Wszyscy w Berkeley, łącznie ze mną, lękali się wizyty, jaką złożono Nicholasowi. Takie były czasy.

- Mają grube, czerwone karki i podwójne podbródki. I małe oczka, podobne do węgielków wciśniętych w ciasto. Nie spuszczają z ciebie wzroku. Mówili z dyskretnym, lecz wyraźnym południowym akcentem. Zapowiedzieli, że wrócą, aby porozmawiać z nami obojgiem. Przypuszczalnie zaglądają też do ciebie na rozmowę. O twoim pisarstwie. Czy twoje opowiadania są lewicowe?

- Nie czytałeś?

- Nie czytam science fiction - odparł Nicholas. - Czytam tylko poważnych pisarzy, takich jak Proust, Joyce i Kafka. Jeśli science fiction będzie miało coś poważnego do powiedzenia, to przeczytam.

Zaczął pisać peany na cześć *Finnegans Wake*, zwłaszcza ostatniej części, którą porównał do zakończenia *Ulisses*a. Był przekonany, że oprócz niego nikt nie przeczytał, a w każdym razie nie zrozumiał tej książki.

- Science fiction to literatura przyszłości - orzekłem, kiedy urwał. - Za kilkadziesiąt lat ludzie wylądują na księżycu.

- O nie - sprzeciwił się energicznie Nicholas - nigdy nie wylądują na księżycu. Żyjesz w nierealnym świecie.

- Tak ci powiedziało twoje przyszłe ja? Albo twoje ja z równoległego wszechświata czy cokolwiek to było?

Miałem wrażenie, że to Nicholas żyje w nierealnym świecie, pracując w sklepie z płytami jako ekspedient, a jednocześnie wiecznie przebywając w rzeczywistości wielkiej literatury, rzeczywistości znajdującej się na antypodach jego własnej. Tyle się naczytał Jamesa Joyce'a, że Dublin był dla niego bardziej realny niż Berkeley. A przecież nawet dla mnie Berkeley nie było miastem w pełni rzeczywistym, lecz zanurzonym w swego rodzaju śnie, podobnie jak Nicholas. Całe Berkeley żyło w politycznym śnie, który nie miał nic wspólnego z resztą Ameryki, śnie, który miał wkrótce zostać zgruchotany wskutek zataczającej coraz szersze kręgi reakcji. Taki człowiek jak Nicholas Brady nigdy nie wyjechałby na Alaskę. Był wytworem Berkeley i potrafił przeżyć tylko w tutejszym radykalnym środowisku studenckim. Co on wiedział o reszcie Ameryki? Ja zjeździłem cały kraj, byłem w Kansas, Utah i Kentucky, toteż zdawałem sobie sprawę, że radykałowie z Berkeley stanowią odosobniony przypadek. Może ich poglądy trochę wpłyną na opinie większości, ale ostatecznie zwycięży solidna, konserwatywna Środkowo-Zachodnia Ameryka. A kiedy Berkeley upadnie, Nicholas Brady upadnie razem z nim.

Naturalnie to było dawno temu, przed zamachem na prezydenta Kennedy'ego, przed prezydentem Ferrisem Fremontem i Nową Amerykańską Drogą. Przed tym, jak ciemności zamknęły się wokół nas.

3

Jako człowiek zainteresowany polityką, Nicholas zauważył już obiecujący początek kariery młodego senatora z Kalifornii, Ferrisa F. Fremonta, który pierwsze kroki na scenie politycznej stawiał w położonym daleko na południe od nas Orange County, hrabstwie tak reakcyjnym, że nam w Berkeley wydawało się krainą wymagowaną, utkaną z mgieł ponurego koszmaru, wypływającą z siebie upiory tyleż makabryczne, co realne - bardziej realne, niż gdyby były zrobione z dotykanej materii. Orange County, którego żaden mieszkaniec Berkeley nigdy nie widział, było koszmarem sennym z drugiego końca świata, krańcowym przeciwieństwem Berkeley. Jeżeli Berkeley było niewolnikiem iluzji, oderwania od rzeczywistości, to winę za ten stan rzeczy ponosiło Orange County. Dla Berkeley i Orange County nie było miejsca w tym samym wszechświecie.

Było tak, jakby Ferris Fremont, stojąc pośród pustyń Orange County, ujrzał w wyobraźni tkwiące w okowach nierzeczywistości Berkeley, zadrżał i powiedział do siebie coś w ten deseń: „To musi zniknąć”. Gdyby ci dwaj ludzie, Nicholas Brady na północy i Ferris Fremont na południu, mogli pokonać wzrokiem dzielące ich tysiąc kilometrów i spojrzeć sobie nawzajem w twarz, obaj byliby przerażeni, Ferris Fremont nie bardziej niż Nicholas Brady, który już drżał ze zgrozy, odkąd przeczytał w „Berkeley Daily Gazette” o tym, że do władzy doszedł wydawca z Oceanside, który nie miałby żadnych szans na fotel senatorski, gdyby nie oszkalował swojej rywalki z Partii Demokratycznej, Margaret Burger Greyson, insynuując jej homoseksualizm.

Margaret Burger Greyson niczym się nie wyróżniła jako senator, lecz Fremont oparł swe zwycięstwo nie na sprawach programowych, lecz na zniesławiających przeciwniczkę oskarżeniach. Posłużył się swoim publikowanym w Oceanside dziennikiem do zgnojenia pani Greyson, jak również, za środki finansowe z nieznanych źródeł, wytapetował całe południe stanu plakatami zawierającymi niemiłe aluzje do życia erotycznego pani Greyson. W zgoła nieoczekiwany sposób wykorzystał przy tym pewien drobny epizod z jej kariery senatorskiej. Otóż pani Greyson zagłosowała kiedyś wbrew obietnicom składanym w kampanii wyborczej, po czym, nagabywana na ten temat, odparła nonszalancko: „*Plus ça change...*”

JAKĄ KALIFORNIA MA GWARANCJĘ, ŻE PANI GREYSON ZNOWU NIE ZBOCZY Z OBRANEJ DROGI? I DLACZEGO NIE MOŻE BYĆ NORMALNIE, TYLKO MUSI BYĆ PO FRANCUSKU?

Tego typu historie. Oskarżenia o lesbijstwo opierały się ponoć na autentycznym zdarzeniu z życia pani Greyson, lecz nikt nie wiedział tego na pewno. Pani Greyson broniła się, lecz nie wystąpiła do sądu. Po porażce wyborczej zniknęła w politycznym niebycie, bądź też, jak

zartowali republikanie, w gejowskich barach San Diego. Nie trzeba chyba dodawać, że pani Greyson miała poglądy liberalne. Za czasów McCarthy'ego w odbiorze opinii publicznej nie było zbyt wielkiej różnicy między komunizmem a homoseksualizmem, toteż kampania oszczerstw przyniosła Fremontowi bezproblemowe zwycięstwo.

W owych czasach Fremont był gruboskórnym chamem, nalanym i wiecznie naburmuszonym, z krzaczastymi brwiami i przylizanymi czarnymi włosami, które wyglądały tak, jakby trzymały się na tłuszczu. Nosił garnitur w paski, krzykliwy krawat i dwukolorowe buty, mówiło się też, że ma włochate kłykcie. Często go fotografowano na strzelnicy, bo broń palna była jego konikiem. Chętnie nakładał kapelusz stetson. Jedyna riposta pani Greyson, która spodobała się mediom, padła już po ogłoszeniu wyników i brzmiała tak oto: „Nie wiem o innych jego zbrodniach, ale jego kule zbaczą o pół metra”. Tak czy owak kariera polityczna pani Greyson dobiegła końca, a kariera polityczna Ferrisa F. Fremonta właśnie się rozpoczęła. Natychmiast poleciał do Waszyngtonu, aby poszukać domu dla siebie, swojej żony Candy oraz ich dwóch spasionych synów, Amosa i Dona.

Berkeley zareagowało na to polityczne szambo, delikatnie mówiąc, niezbyt przychylnie. Radykalne środowisko studenckie nie mogło przeboleć faktu, że mandat został zdobyty takimi metodami, a tym bardziej tego, że Fremont błyskawicznie udał się do Waszyngtonu. Radykałowie kierowali się nie tyle sympatią do pani Greyson, co wrogością do zwycięzcy. Przede wszystkim, co podkreślali republikanie, w Berkeley było niemało homoseksualistów, a jeszcze więcej lewaków. Berkeley było stolicą światowego lewactwa.

Stolica światowego lewactwa nie zdziwiła się zbyt, kiedy senatora Fremonta mianowano członkiem komisji badającej działalność antyamerykańską. Nie zdziwiła się również, kiedy senator oskarżył kilku prominentnych liberałów o członkostwo w Partii Komunistycznej. Z zaskoczeniem przyjęła natomiast tezę o Aramcheku.

Nikt w Berkeley, wliczając w to członków Partii Komunistycznej, którzy tam mieszkali i działali, nie słyszał o Aramcheku. Wszyscy byli zbulwersowani. Cóż to jest Aramchek? Senator Fremont twierdził w swoim przemówieniu, że członek Partii Komunistycznej, agent Politbiura, pod presją dał mu dokument, w którym Komunistyczna Partia Stanów Zjednoczonych omawia naturę Aramcheku oraz że z dokumentu tego jasno wynika, iż KPSZ jest tylko jedną z wielu organizacji fasadowych (można rzec, mięsem armatnim), za którymi kryje się prawdziwy wróg, prawdziwe siedlisko zdrady, Aramchek. Nie prowadził on rejestru członków; nie funkcjonował tak jak inne organizacje. Jego członkowie nie wyznawali żadnej konkretnej filozofii, ani publicznie, ani prywatnie. A jednak Aramchek cichcem przejmował władzę nad Stanami Zjednoczonymi. Można by sądzić, że gdzie jak gdzie, ale w stolicy światowego lewactwa ktoś powinien był o tym słyszeć.

W tamtych czasach znałem dziewczynę, która należała do Partii Komunistycznej. Zawsze

sprawiała dziwne wrażenie, jeszcze zanim się zapisała, a po wstąpieniu do partii zrobiła się nie do wytrzymania. Chodziła w szortach i poinformowała mnie, że akt płciowy stanowi formę wyzysku kobiety. Pewnego razu, rozgniewana moim doborem przyjaciół, wrzuciła mi papierosa do kawy w restauracji Lany Blake's przy Telegraph Avenue. Moi przyjaciele byli trockistami. Przedstawiłem ją dwóm z nich publicznie, nie informując jej o ich afiliacjach politycznych. W Berkeley nigdy się tego nie robiło. Następnego dnia Liz przeszła bez słowa obok mojego stolika u Larry Blake's. Sądzę, że miała przeze mnie kłopoty ze swoją partią. W każdym razie spytałem ją kiedyś żartem, czy oprócz Partii Komunistycznej należy też do Aramcheku.

- Co za brednie. Podłe faszystowskie kłamstwo! Aramchek nie istnieje. Wiedziałabym o tym.

- A gdyby istniał, wstąpiłabyś?

- To zależy, co robi.

- Obala Amerykę.

- Nie sądzisz, że monopolistyczny kapitalizm, który tłamsi klasę robotniczą i finansuje wojny imperialistyczne za pośrednictwem marionetkowych reżimów, należy obalić?

- Czyli wstąpiłabyś.

Ale nawet Liz nie mogła wstąpić do Aramcheku, jeśli nie istniał. Już nigdy się z nią nie spotkałem, odkąd wrzuciła mi papierosa do kawy u Larry Blake's. Partia zabroniła jej ze mną rozmawiać, a ona była posłuszna Partii. Nie sądzę jednak, aby udało się jej zajść wysoko w hierarchii Partii Komunistycznej. Była typową działaczką niskiego szczebla, z poświęceniem wykonującą rozkazy, lecz niezdolną ich do końca zrozumieć. Od tej pory często się zastanawiałem nad jej dalszymi losami. Wątpię natomiast, czy ona choć raz się zastanawiała nad moimi. Odkąd Partia wydała zakaz utrzymywania ze mną stosunków, dla Liz przestałem istnieć.

Któregoś wieczoru, podczas wspólnej kolacji z Nicholasem i Rachel, pojawił się temat Aramcheku. Socjalistyczna Partia Robotnicza wydała uchwałę, w której potępiła zarówno Fremonta, jak i Aramchek: senatora jako narzędzie amerykańskiego imperializmu, Aramchek jako narzędzie Moskwy.

- Gracie na dwie strony - ocenił Nicholas. - Ale z was oportuniści w tym SPR.

Rachel poczęstowała go szyderczym, pełnym wyższości uśmiechem dziewczyny, która studiuje w Berkeley nauki polityczne.

- Dalej widzisz się z tym typem? - spytał Nicholas, mając na myśli działacza SPR, w którym durzyła się jego żona.

- Dalej jesteś zakochany w żonie swojego szefa? - skontrowała Rachel.

- Znaczy... - wybąkał Nicholas, bawiąc się kubkiem z kawą.

- Uważam, że Fremont wpadł na genialny pomysł - powiedziałem. - Potępił organizację, która nie istnieje, którą sam wymyślił i która rzekomo przejmuje władzę w Ameryce. Nikt nie może jej zniszczyć, to oczywiste. Nikt nie może się przed nią uchronić. Nikt nie wie, gdzie ona

się następnym razem objawi.

- W Berkeley - odparł Nicholas.

- W Kansas City - ja na to. - W konserwatywnym mateczniku kraju. W Salt Lake City... Gdziekolwiek. Fremont może tworzyć bojówki antyaramchekowskie, prawicowe młodzieżówki, których zadaniem będzie zwalczanie tej organizacji wszędzie tam, gdzie ona wystawi głowę, uzbrojone oddziały zawsze czujnych młodych bojowników w mundurach. Fremont zajędzie na tym do Białego Domu.

Żartowałem, ale, jak wiemy, moje słowa okazały się prorocze. Po śmierci Johna Kennedy'ego, a później jego brata i właściwie wszystkich ważniejszych polityków amerykańskich, potrzeba na to było zaledwie kilku lat.

Celem zamachów na czołowe postacie polityczne Stanów Zjednoczonych, zamachów dokonanych rzekomo przez niezrównoważonych psychicznie samotników, było doprowadzenie do elekcji Ferrisa F. Fremonta. Nie było innego sposobu. Fremont nie potrafił skutecznie rywalizować w otwartej walce. Mimo agresywnych kampanii cieszył się znikomym poparciem społecznym. Jeden z jego doradców przypuszczalnie powiedział mu w którymś momencie: „Jeśli chcesz się dostać do Białego Domu, to najpierw musisz pozabijać wszystkich konkurentów”. Ferris Fremont potraktował tę poradę dosłownie i przystąpił do działania w 1963 roku, po czym systematycznie torował sobie drogę za administracji Lyndona Johnsona. Kiedy Johnson przeszedł na polityczną emeryturę, droga była wolna. Człowiek, który nie umiał rywalizować w otwartej walce, nie musiał tego robić.

Nie ma sensu rozwódzić się nad moralnością Ferrisa Fremonta. Historia wydała już werdykt, zgodny werdykt całego świata - z wyjątkiem Związku Radzieckiego, który wciąż darzy Fremonta wielką estymą. Fakt, że Fremont był powiązany z radziecką działalnością dywersyjną na terenie Stanów Zjednoczonych i wspierany przez radzieckie interesy, a jego strategię opracowali radzieccy analitycy, bywa kwestionowany, niemniej pozostaje faktem. Sowieci go popierali, pravicowcy go popierali i w końcu, z braku innych kandydatów, prawie wszyscy go poparli. Kiedy obejmował urząd, legitymował się potężnym mandatem społecznym. Na kogo innego mieli głosować? Zważywszy na to, że Fremont właściwie nie miał konkurentów, że Partia Demokratyczna była inwigilowana przez jego ludzi do tego stopnia, iż wtyki przewyższały liczebnie autentycznych działaczy, rzecz staje się bardziej zrozumiała. Fremont miał poparcie amerykańskich środowisk wywiadowczych, jak one same lubiły się nazywać, i byli agenci odegrali decydującą rolę w dziesiątkowaniu opozycji politycznej. W systemie jednopartyjnym nie sztuka wygrać wybory przytłaczającą większością.

Można zadać sobie pytanie, dlaczego tak odległe od siebie podmioty, jak Związek Radziecki i amerykańskie środowisko wywiadowcze, miałyby popierać tego samego człowieka. Nie jestem politologiem, lecz Nicholas powiedział mi kiedyś: „Jedni i drudzy lubią skorumpowanych figurantów. Mogą wtedy rządzić zza kulis. I Sowieci, i łapsy lubią rządy cieni. I zawsze będą w ten sposób rządzili, bo ich jedyna metoda to rewolwer przystawiony do głowy”.

Nikt nie przystawił rewolweru do głowy Ferrisowi Fremontowi. To on był rewolwerem przystawionym do naszych głów. Wycelowanym w ludzi, którzy go wybrali. Za nim stali gliniarze tego świata, lewicowi gliniarze w Rosji, pravicowi gliniarze w Stanach Zjednoczonych. Gliniarz to gliniarz. Są tylko różnice rangi między zwierzchnikami i podwładnymi. Naczelnego gliniarza przypuszczalnie nie widzi się nigdy.

Jednak Nicholas również nie był politologiem. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, w jaki

sposób powstała koalicja wspierająca Fremonta; prawdę powiedziawszy nie miał pojęcia, że taka koalicja istnieje. Podobnie jak reszta z nas w tych czasach, z osłupieniem przyglądał się temu, jak kolejni pierwszoplanowi politycy giną w zamachach, a Fremont szybko pnie się po szczeblach władzy. To, co się działo, nie miało sensu. Nie dało się w tym dostrzec żadnego schematu.

Istnieje łacińskie powiedzenie na temat tożsamości sprawcy przestępstwa: „Kto na tym zyskał?” Kiedy zamordowano Johna Kennedy’ego, a potem doktora Kinga, Bobby’ego Kennedy’ego i innych, kiedy George Wallace został kaleką, należało zadać sobie pytanie: „Kto na tym zyskał?” Cała Ameryka straciła na tych makabrycznych, bezsensownych morderstwach, z wyjątkiem jednego pośledniej miary człowieka, któremu droga do Białego Domu stała się otworem i któremu nie groziła eksmisja z Kapitolu. I który w przeciwnym razie nie miałby najmniejszej szansy tam dotrzeć.

Powinniśmy jednak okazać sobie wyrozumiałość, że nie wymyśliliśmy, kto to robi i dlaczego. W końcu w całej historii Stanów Zjednoczonych nic podobnego się nie wydarzyło, jakkolwiek dzieje innych krajów obfitują w tego typu wydarzenia. Rosjanie dobrze o tym wiedzą, podobnie jak Anglicy - weźmy garbatego cudaka Dicka², jak Shakespeare ochrzcił Ryszarda III. Tu właśnie należało szukać paradygmatu: Ryszard, który utorował sobie drogę do tronu morderstwami, nie oszczędzając nawet dzieci i tłumacząc się, że natura uczyniła go brzydkim. Natura uczyniła brzydkim również Ferrisa Fremonta, tak zewnętrznie, jak i w środku. Jeśli o mnie chodzi, to hipoteza ta nie przyszła mi do głowy. Rozważaliśmy wiele możliwości, ale ta nam się nie nasunęła. Barbarzyński umysł nigdy wcześniej nie ubiegał się o amerykański tron.

Nie zamierzam jednak pisać o tym, jak Ferris Fremont doszedł do władzy. Zamierzam pisać o jego upadku. Ta pierwsza historia jest dobrze znana, wątpię zaś, czy ktokolwiek rozumie, w jaki sposób tyran został zdetronizowany. Zamierzam pisać o Nicholasie Bradym i jego przyjaciółach.

Chociaż zrezygnowałem z pracy w księgarni, aby poświęcić się wyłącznie pisarstwu, nadal z przyjemnością zachodziłem do University Music, aby posłuchać nowości i powiedzieć „dzień dobry” Nicholasowi, który spędzał teraz wiele czasu z przedstawicielami rozmaitych dystrybutorów albo w biurze nad robotą papierkową. Od 1953 roku tak naprawdę to on kierował University Music. Właściciel, Herb Jackman, miał inny sklep, w Kensington, i przebywał głównie tam. Było mu stamtąd bliżej do domu. Pat wciąż pracowała w Berkeley, spędzając z Nicholasem większość dni.

O jednej rzeczy wtedy nie wiedziałem: Herb był sercowcem. W 1951 roku miał zawał i lekarz kazał mu przejść na emeryturę. Herb miał dopiero czterdzieści siedem lat i nie wyobrażał sobie życia bez pracy. Kupił więc mały sklep w Kensington, po którym snuł się niespiesznie.

² Według przekładu Leona Ulmcha.

Klienci zjawiali się tylko w soboty, podczas gdy University Music zatrudniało pięcioro ekspedientów i cały czas pracowało na pełnych obrotach.

Nicholas i Pat oczywiście wiedzieli, że Herb ma chore serce. W sobotnie wieczory Herb i jego kumple spotykali się w biurze University Music i grali w pokera. Czasami się do nich przyłączałem. Wszyscy jego koledzy wiedzieli, że jest sercowcem. Była z nich banda nieokrzeszańców, ale bardzo go lubili. Wszyscy byli drobnymi handlowcami z okolicy i mieli wspólne zainteresowania, takie jak lawinowy wzrost liczby ćpunów przy Telegraph Avenue. Nie mieli wątpliwości, jak to się skończy. Nicholas mawiał później, że to właśnie narkotykowa subkultura przy Telegraph zabiła Herba. Przed śmiercią zdążył jeszcze zobaczyć, jak murzyńscy dealerzy bez żenady proponują przechodniom skręty na chodniku po drugiej stronie ulicy, w stronę Dwight. Staroświeckiemu człowiekowi z Oklahomy, jakim był Herb, więcej nie było potrzeba.

Grałem w pokera również z Tonym Boucherem i jego znajomymi, w jego domu przy Dana. Wszyscy byli pisarzami fantastycznonaukowymi, tak jak ja. Nicholas nie grał w pokera. Był zbyt inteligentny, aby robić takie rzeczy. Nicholas był typowym intelektualistą z Berkeley: jego pasje ograniczały się do książek, płyt i dyskusji w kawiarniach przy Avenue. Kiedy mieli z Rachel ochotę wybrać się gdzieś wieczorem, jechali przez Zatokę do San Francisco i kierowali się prosto do North Beach i tamtejszych kawiarni, przy Grant. Po drodze zatrzymywali się w Chinatown, gdzie jedli kolację zawsze w tej samej restauracji, według nich najstarszej w tej dzielnicy: Yee Jun's przy Washington. Schodziło się po schodach do piwnicy, a stoły miały marmurowe blaty. Pracował tam konusowaty kelner imieniem Walter, o którym mówiono, że żywi za darmo bezdomnych studentów, z gatunku tych, którzy włóczyli się po San Francisco i mieli w przyszłości przeistoczyć się z bitników (jak nazwał ich Herb Caen) w hipisów z Haight-Ashbury. Nicholas nigdy nie był ani beatnikiem, ani hipisem - zbyt inteligentny na takie rzeczy - lecz wyglądał jak hipis z jego dzinsami, tenisówkami, krótką brodą i szopą włosów na głowie.

Nicholasa mocno dręczyła perspektywa, że do końca swoich dni pozostanie sprzedawcą płyt. W jego oczach nawet kierowanie University Music do tego się sprowadzało. Kwestia ta stała się dla niego szczególnie bolesna w czasach, kiedy jego żona była bliska uzyskania dyplomu. Zamiast studiować, finansował naukę swojej żony. Miał poczucie, że Rachel patrzy na niego z góry. Ponieważ Berkeley było miastem uniwersyteckim, miał poczucie, że wszyscy patrzą na niego z góry. Był to dla niego trudny okres. Spodziewał się, że jego szef dostanie następnego zawału, po czym Pat, prawna właścicielka University Music, bez wątpienia powierzy kierowanie sklepem jemu - Nicholasowi Brady'emu. Będzie robił to samo, co robił Herb, i przyszło mu do głowy, że przypuszczalnie skończy tak jak on: umrze ze zmartwienia i przemęczenia pracą, która daje niewiele pieniędzy i satysfakcji, umrze w młodym wieku, codziennie trwając na stanowisku od dziewiątej rano do północy. Detaliczna sprzedaż płyt przez niezależnego właściciela była

branżą na wymarciu. Na rynek zaczynały wchodzić duże sieci, takie jak Music Box, Wherehouse i sklepy z taną płytą.

W tym okresie Nicholas miał kolejne przeżycie paranormalne. Opowiedział mi o nim następnego dnia.

Tym razem wiązało się ono z Meksykiem. Nigdy nie był w Meksyku i niewiele wiedział o tym kraju, dlatego też zdumiała go szczegółowość jego snu: każdy samochód, każdy budynek, wszyscy ludzie na chodnikach i w restauracjach rysowali się z niezwykłą precyzją. Nie był to powrót do przeszłości, ponieważ Nicholas widział żółte taksówki. Zobaczył nowoczesne, wielkie miasto, takie jak Mexico City, tętniące życiem, pełne zgiełku, lecz hałas był jakby stłumiony i tworzył nieustanne, buczące tło dźwiękowe. W całym swoim śnie Nicholas nie usłyszał ani jednego wyraźnie wymówionego słowa. Nikt się do niego nie odzywał. W jego śnie nie występowały określone osoby, były tylko samochody, taksówki, szyldy, sklepy, restauracje. Sen miał charakter czysto wizualny. Trwał godzinami i utrzymany był w dziwnej tonacji barwnej: jaskrawy, błyszczący kolor, który Nicholasowi skojarzył się z farbą akrylową.

Sen nawiedził go w nietypowych okolicznościach: za dnia. Około drugiej po południu, w dzień wolny, Nicholas poczuł senność i wyciągnął się na sofie w salonie. Sen zaczął się od razu. Nicholas kupował taco na straganie z meksykańskimi przekąskami. Potem jednak sceneria się powiększyła, jakby otworzono lub podniesiono drzwi. Nicholas nie stał już przed straganem z meksykańskimi przekąskami, lecz rozpościerała się przed nim panorama Meksyku. Pejzaż był romantyczny i fascynujący, mimo nocnej pory mienił się kolorami, kusił różnymi aluzjami i obietnicami. Ten ogromny, obcy krajobraz, rozciągający się we wszystkich kierunkach, nie został odtworzony z pamięci; cudowny, hipnotyczny, przyciągał go ku sobie, toteż po chwili Nicholas znalazł się wewnątrz tego pejzażu. Wszędzie wokół bujnie kwitło życie: szmer ludzkich rozmów, pomruk ruchu ulicznego, a wszystko tak realne, tak niepodważalnie realne.

W pewnym momencie znalazł się w grupie ludzi, którzy zwiedzali jakieś muzeum, położone nad brzegiem oceanu. Zobaczył wiele eksponatów i obrazów, których potem nie mógł sobie przypomnieć, ale ten fragment snu niewątpliwie trwał wiele godzin. Całe to doświadczenie, w czasie rzeczywistym, ciągnęło się prawie osiem godzin. Pamiętał, o której się położył, a po przebudzeniu spojrzął na zegarek. Ośmiogodzinna, absolutnie darmowa wycieczka po malowniczym Meksyku!

Oświadczył mi później:

- To było tak, jakby inny umysł usiłował nawiązać ze mną kontakt. Nie przeżyte życie, moim zdaniem. Miejsca, w których mogłem mieszkać. Doświadczenia, które mogły być moim udziałem.

Cóż miałem mu na to powiedzieć? Monotonne życie, jakie pędził w Berkeley, bez wątplenia

dopominało się o taką barwną podróż.

- Może to znaczy, że powinienes się przenieść do Południowej Kalifornii.
- Nie, to był Meksyk, inny kraj.
- Nigdy się nie zastanawiałeś nad przeprowadzką do LA?

Nie rozbawiło go to.

- Mówił do mnie potężny umysł! Przez nieskończoną przestrzeń! Z innego układu gwiazdowego!

- Dlaczego? - spytałem.

- Sądzę, że zrozumiał, jakie mam potrzeby. Sądzę, że zamierza pokierować moim życiem ku jakiemuś celowi, którego na razie nie dostrzegam. Mam... - Zrobił przebiegłą, tajemniczą minę. - Mam dla niego nazwę: Valis A. Rozległy Aktywny Żywy Inteligentny System A. Nazywam go „A”, bo być może jest tylko jednym z wielu. Ma wszystkie te cechy: jest rozległy, aktywny, inteligentny i tworzy spójny system.

- Wiesz to wszystko tylko dlatego, że duch pokazał ci Meksyk?

- Wyczułem ten system w moim śnie. Intuicyjnie poznałem jego naturę. Czasami leżę w nocy bez snu i próbuję się z nim zespolić. To wynik moich wieloletnich próśb. Prosiłem o to wiele razy.

Zastanawiałem się nad słowem „prośba”, po czym zrozumiałem, że chodzi mu o modlitwę. Chciał mi powiedzieć, że modlił się o to, lecz w Berkeley nikt nie używał słowa „modlitwa”. W Berkeley nie istniało coś takiego jak religia, nie licząc Oklaków³, którzy przywędrowali tutaj podczas drugiej wojny światowej, aby pracować w stocznich Richmond. Nicholas za nic w świecie nie posłużyłby się przy innych słowem „modlitwa”.

Domyśliłem się zatem, że miał inne doświadczenia z Valisem, jak to nazwał.

Mój domysł był słuszny, Nicholas opowiedział mi później o tych doświadczeniach: były to sny oparte na identycznym schemacie, a mianowicie trzymano mu przed oczyma wielkie otwarte księgi, wypełnione pismem, które przywodziło na myśl stare Biblii. W każdym z tych snów albo czytał, albo usiłował czytać litery, z mizernym skutkiem - przynajmniej na poziomie świadomości. Nie sposób było stwierdzić, jak wiele informacji sobie przyswoił, a następnie wyparł do podświadomości lub zapomniał po przebudzeniu: zapewne niemało. Z tego, co mówił, odniosłem wrażenie, że ilość tekstów pokazanych mu we śnie równała się przyspieszonemu kursowi - z jakiego przedmiotu, tego żaden z nas nie potrafił powiedzieć.

³ Oklak – *Oakie* lub *Okie*, pogardliwe przedwojenne określenie wędrujących w poszukiwaniu pracy robotników rolnych, przede wszystkim z Oklahomy, ale także z innych stanów południowego zachodu.

5

Trwało to jakiś czas. Kiedy rok później przypadkiem spotkałem Nicholasa, dalej oglądał we śnie zadrukowane stronice. Zwierzył mi się z ciekawej rzeczy: metodą eksperymentów odkrył, że pismo ukazuje mu się tylko między trzecią a czwartą rano.

- To musi coś znaczyć - powiedziałem.

Jedyne słowa, które potrafił odcyfrować, dotyczyły jego samego, aczkolwiek był pewien, że jego osoba często się pojawia także w innych tekstach. Słowa te brzmiały tak oto:

SPRZEDAWCA PŁYT Z BERKELEY BĘDZIE MIAŁ WIELE KŁOPOTÓW,
A W KOŃCU...

Nic więcej. Resztę zapomniał albo była nieczytelna. We śnie księgę trzymał nie kto inny, tylko ja. Stałem przed nim i wyciągałem ku niemu otwarte stronice, zachęcając go do ich odczytania, co też uczynił.

- Jesteś pewien, że to nie Bóg z tobą rozmawia?

To był kolejny niepopularny temat w Berkeley - o ile w ogóle można go nazwać tematem. Podniosłem go wyłącznie po to, aby się podroczyć z Nicholasem. Jednak on sam powiedział wcześniej, że wielkie stronice staroświeckich ksiąg przypominały mu dawne Biblie. Sam zrobił to porównanie. Wolał wszakże swoją teorię o pozaziemskiej inteligencji z innego układu gwiazdowego, która z nim konwersowała, i z tej przyczyny informował mnie na bieżąco o swoich przeżyciach. Gdyby uznał, że to Bóg się z nim kontaktuje, z pewnością przestałby ze mną o tym rozmawiać i zwróciłby się do pastora lub księdza, miałem zatem szczęście, że przyszła mu do głowy ta teoria.

O tyle miałem szczęście, że historia ta w jakiejś mierze mnie interesowała, a poza tym byłem w nią niejako osobiście zaangażowany, odkąd pojawiłem się we śnie Nicholasa z księgą w ręku. Ale chociaż byłem zawodowym pisarzem fantastycznonaukowym, nie potrafiłem dać wiary temu, że komunikuje się z nim pozaziemska inteligencja z innego systemu gwiazdowego. Nigdy nie brałem takich pomysłów poważnie, może dlatego, że jako pisarz zwykłem czerpać je z własnej głowy w czysto fikcyjnej formie. To, że takie rzeczy miałyby się zdarzać w rzeczywistości, było zupełnie obce mojemu sposobowi myślenia. Nie wierzyłem nawet w latające talerze. Uważałem je za kawał, konfabulację. Niewykluczone zatem, że ze wszystkich osób, które Nicholas znał, wybrał sobie na zausznika najgorszą.

Osobiście byłem zdania, że mamy do czynienia z typowym przykładem eskapizmu. Komunikowanie się z Valisem, jak to nazywał, czyniło jego życie znośnym. Uznałem, że Nicholas, pod naciskiem konieczności, zaczął uciekać od rzeczywistości. Bycie sprzedawcą płyt

w mieście intelektualistów stało się dla niego nie do wytrzymania. Oto klasyczny przykład tego - myślałem - jak ludzki umysł, z braku autentycznych rozwiązań, radzi sobie z nieszczęściem.

Trzymałem się tej teorii na temat Valisa przez kilka lat, aż do dnia - było to pod koniec lat sześćdziesiątych - kiedy na własne oczy zobaczyłem, jak Valis uleczył wadę okołoporodową synka Nicholasa i Rachel. Za daleko wybiegam jednak w przyszłość.

Okazało się, że z początku Nicholas wiele rzeczy przede mną ukrywał. Poddawał wewnętrznej cenzurze to, co do mnie mówił. Nie chciał wyjść na wariata: pragnienie to świadczy o zachowaniu śladowej zdolności poprawnego rozumowania i ograniczonego kontaktu z rzeczywistością. Wiedział, że nie powinien doświadczać tego, czego doświadcza; wiedział, że jeśli istotnie ma takie doznania (a miał), to nie powinien o nich mówić. Wybrał mnie na zausznika, ponieważ pisałem science fiction, uznał zatem, że jestem bardziej tolerancyjny i otwarty na sprawy kontaktów z istotami pozaludzkimi. W tej jednej kwestii Nicholas nie miał wątpliwości: Valis nie był zjawiskiem ludzkim.

Rachel, jego żona, przyjęła wobec tych przeżyć najbardziej okrutną i szyderczą postawę, jaką można sobie wyobrazić. Jej zaciekłość intelektualna po berkeleyowsku stale przybierała na sile. Jeśli Nicholas wspomniał przy niej o Valisie, narażał się na nieopisane kpiny. Można by pomyśleć, że został Świadkiem Jehowy - kolejny uprzywilejowany przedmiot pogardy jego oświeconej żony. Świadkiem Jehowy albo członkiem Młodzieżówki Republikańskiej - tej miary okropność. Dopuszczał się czegoś, co go zasadniczo odróżniało od rozumnych istot ludzkich. I w istocie tak chyba należy zakwalifikować opowieści Nicholasa o jego kontaktach z Valisem. Trudno było ją winić. Tyle że zawsze uważałem, iż mogła sobie darować złośliwości. Powinna go po prostu posłać do Stanowego Ośrodka Higieny Psychiczej na terapię grupową.

Dalej byłem zdania, że Nicholas powinien przeprowadzić się do Południowej Kalifornii, przede wszystkim po to, aby znaleźć się poza Berkeley. I pojechał, ale tylko celem odwiedzenia Disneylandu. Disneyland czy nie Disneyland, była to w każdym razie jakaś podróż. Musiał oddać samochód do przeglądu, zmienić opony; on i Rachel upchali śpiwory, namiot i kuchenkę turystyczną na tylne siedzenie plymoutha i wyruszyli w drogę z zamiarem nocowania na plażach, dla oszczędności. Nicholas miał również tajemną misję, o której nie zająknął się ani słowem swemu szefowi, Herbowi Jackmanowi. Oficjalnie wyjeżdżał na urlop. W rzeczywistości (zwierzył się z tego mnie, swemu najlepszemu przyjacielowi) planował odwiedzić siedzibę Progressive Records w Burbank, gdzie miał znajomego: ich przedstawiciela na zachodnie wybrzeże, Carla Dondero. Ta niewielka wytwórnia wydawała płyty z muzyką folkową, które w Berkeley sprzedawały się lepiej niż gdziekolwiek indziej, a ponieważ Nicholas był nieodrodnym synem Berkeley, spędzał mnóstwo czasu na słuchaniu takich wykonawców folkowych jak Josh White i Richard Dyer-Bennet, miał wszystkie płyty firmy Hudson Back Bay Ballad, jakie się ukazały, i wiedział, kto ponownie wylansował pięciostrunowe banjo (Pete

Seeger, twierdził Nicholas, po czym zaczął rozważania na temat Almanac Singers, dla których Seeger śpiewał anonimowo). Pomysł był następujący: jeśli Nicholasowi spodoba się to, co zobaczy w Progressive Records i co usłyszy od tamtejszego szefostwa, to może się u nich zatrudni. Poznałem przy jakiejś okazji Carla Dondero i obaj uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli Nicholas wyjedzie z Berkeley. W ten sposób Dondero zamierzał osiągnąć ten cel.

Carl Dondero nie pomyślał wszakże o jednym źle wróżącym szczególe, a mianowicie takim, że Los Angeles jest stolicą światowego świrostwa; że tutaj powstaje i przyciąga adeptów każda sekta religijna, paranormalna i okultystyczna; że gdyby Nicholas osiadł na południu stanu, byłby narażony na kontakty z takimi samymi ludźmi jak on, toteż jego stan raczej by się pogorszył, niż polepszył. Nicholas przeprowadziłby się w rejon, w którym obowiązywała wątpliwa definicja zdrowia psychicznego. Czego należałoby oczekiwać ze strony Nicholasa, gdyby wystawił się na toksyczne wpływy LA? Bardzo prawdopodobne, że Valis zostałby upubliczniony, gdyby nikły kontakt Nicholasa z rzeczywistością do reszty się urwał.

Nicholas nie planował jednak wyprowadzki z Berkeley. Łączyły go z tym miastem zbyt mocne więzi. Pragnął tylko zjeść lunch ze starszyzną działu promocji w Progressive Records. Będą go kusili i poili winem, po czym on triumfalnie odmówi i wróci do Berkeley ze świadomością, że odrzucił alternatywne rozwiązanie, które miało ręce i nogi. Do końca swego życia, jako sprzedawca płyt przy Telegraph Avenue, będzie mógł sobie powtarzać, że mając do wyboru nielojalną ucieczkę do LA i pozostanie tutaj, zdecydował się na to drugie.

Lecz kiedy dotarł w okolice LA, a zwłaszcza do Orange County i Disneylandu, kiedy pojeździł sobie po południowej Kalifornii swoim starym plymouthem, dokonał nieoczekiwanego, jakkolwiek mniej lub bardziej żartobliwie zasugerowanego przeze mnie odkrycia. Niektóre rejony przypominały mu Meksyk. Miałem rację. Kiedy zjechał z autostrady koło Anaheim - nie tam, gdzie trzeba, toteż wylądował w mieście Placentia - zobaczył meksykańskie budynki, prowadzone przez nieudolnych kierowców meksykańskie samochody, meksykańskie kawiarnie i drewniane domki pełne Meksykanów. Pierwszy raz w życiu trafił do barrio. Wyglądało tam zupełnie jak w Meksyku, prócz tego, że jeździły żółte taksówki. Nicholas na jawie wszedł w styczność ze światem swego wizyjnego snu. To zupełnie zmieniło jego plany w związku z proponowaną pracą w Progressive Records.

Wrócili z Rachel do Berkeley, lecz nie po to, by zostać. Teraz, kiedy Nicholas wiedział, że świat odmalowany w jego śnie - taki sam jak ten ze snu - istnieje realnie, nic nie mogło go powstrzymać.

- Miałem rację - powiedział mi po powrocie nad Zatokę. - To nie był sen. Valis wskazywał mi, gdzie powinienem zamieszkać. Czeka tam na mnie moje przeznaczenie, Phil, które przekracza wszystko, co potrafisz sobie wyobrazić. Wiedzie prosto do gwiazd.

- Czy Valis sprecyzował, jaki charakter ma przeznaczenie, które cię tam oczekuje?

- Nie. Dowiem się, kiedy przyjdzie czas. Obowiązuje ta sama zasada co w służbach wywiadowczych: człowiek wie tylko tyle, ile jest w danym momencie konieczne. Gdyby miał cały obraz sytuacji, nie wytrzymałby tego. Dostałby świra.

- Nicholas - spytałem - naprawdę rzuciłbyś pracę i przeniósł się do Orange County pod wpływem snu?

- Kiedy tylko zobaczyłem barrio w Placentii, od razu je rozpoznałem. Każdy budynek i każda ulica, każdy przejeżdżający samochód - wszystko było dokładnie takie jak w moim śnie. Przechodnie, nawet neony. Najdrobniejsze szczegóły. Valis chce, żebym się tam przeniósł.

- Spytaj go dlaczego, zanim to zrobisz. Masz prawo wiedzieć, w co się pakujesz.

- Ufam Valisowi.

- A jeśli jest siłą zła?

- Zła? - Nicholas wytrzeszczył na mnie oczy. - Valis to siła najwyższego dobra we wszechświecie!

- Nie wiem, czy bym mu zaufał, gdyby chodziło o mnie i moje życie. Chcę ci uświadomić, że w grę wchodzi twoje życie, Nick. Sam pomyśl, zostawiasz dom, pracę i przyjaciół z powodu snu, który on ci pokazał, z powodu zajawki. Może to jest jasnowidztwo. Może jesteś jasnowidzem.

Napisałem kilka opowiadań o jasnowidzach, a nawet całą powieść, *The World Jones Made*, i uważałem jasnowidztwo za ambiwalentny dar. W opowiadaniach, a zwłaszcza w powieści, umieszczało ono bohatera w zamkniętej pętli, czyniło z niego ofiarę jego własnego determinizmu. Był skazany, podobnie jak skazany wydawał się w tym momencie Nicholas, na odegranie tego, co przewidział wcześniej, jakby zdolność przewidywania przyszłości zmuszała go do stania się jej ofiarą, zamiast pozwolić mu od niej uciec. Jasnowidztwo nie dawało wolności, ale raczej makabryczny fatalizm, czego dowodem był teraz Nicholas: musiał przenieść się do Orange County, ponieważ rok wcześniej miał proroczą wizję tego. Z logicznego punktu widzenia nie miało to sensu. Dlaczego nie mógł postąpić odwrotnie, to znaczy potraktować tej wizji jako przestrogi?

Gotów byłem przyznać, że to, co Nicholas widział w swoim śnie, stanowiło wierne odzwierciedlenie barrio w mieście Placentia w Orange County. Traktowałem to jednak bardziej jako świadectwo paranormalnych zdolności Nicholasa niż jako komunikat od istoty nadprzyrodzonej z innego układu gwiazdowego. Gdzieś trzeba było przeprowadzić granicę zdrowego rozsądku. Gdyby zastosować Ockhama zasadę naukowego skąpstwa, moja teoria okazałaby się najprostsza. Nie było potrzeby wciągać w to innego, potężniejszego umysłu.

Jednakże Nicholas patrzył na to inaczej.

- Tu nie chodzi o to, która teoria jest bardziej oszczędna, lecz jaka jest prawda. Nie komunikuję się z sobą samym. Sam z siebie nie mogę wiedzieć, że moje przeznaczenie czeka na mnie w Placentii. Tylko wyższy umysł, ponadludzki, może to wiedzieć.

- Może twoje przeznaczenie czeka na ciebie w centrum Disneylandu. Mógłbyś spać pod repliką Matterhornu i żywić się hot dogami i colą. Są łazienki. Miałbyś wszystko, czego potrzebujesz.

Rachel, która przysłuchiwała się naszej rozmowie, obdarzyła mnie morderczym spojrzeniem.

- Robię dokładnie to samo co ty: kpię sobie z niego - wyjaśniłem jej. - Nie masz ochoty mieszkać w okolicy LA, prawda, Rachel? Chcesz zostać w Berkeley?

- Nigdy nie zamieszkałabym w Orange County - odparła sucho.

- Sam widzisz - powiedziałem do Nicholas.

- Zastanawiamy się nad rozstaniem - stwierdził Nicholas. - Ona kontynuowałaby studia, a ja mógłbym pójść za głosem przeznaczenia.

A więc sprawa jest poważna. Małżonkowie się rozwodzą, bo mąż miał sen. Nietuzinkowy motyw. Przyczyna rozwodu? Zostawiłem żonę, bo przyśniła mi się zagraniczna kraina... która, jak się okazało, leży kilkanaście kilometrów od Disneylandu, w pobliżu gajów pomarańczowych. Pośród Ameryki z plastiku. Brzmiało to nieprawdopodobnie, lecz Nicholas mówił serio. A przecież byli małżeństwem od lat.

Rozwiązanie problemu przyszło trzy lata później, kiedy Rachel odkryła, że jest w ciąży. To były czasy wkładki domacicznej, która nie działała tak skutecznie, jak sądzono. Położyło to kres jej karierze uniwersyteckiej. Kiedy urodził się mały Johnny, Rachel nie robiło różnicy, gdzie będą mieszkali. Roztyła się i przestała o siebie dbać. Włosy miała wiecznie nieuczesane. Zapomniała wszystkiego, czego się nauczyła na studiach, i przez cały dzień oglądała telewizję.

W połowie lat sześćdziesiątych przeprowadzili się do Orange County. Za kilka lat Ferris F. Fremont miał zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

6

Jak traktować przyjaciela, którego życiem kierują istoty pozaziemskie? Jaką przyjąć wobec niego postawę? Rzadko widywałem Nicholasa po jego przeprowadzce wraz z Rachel do Orange County, lecz kiedy się już zobaczyliśmy - albo oni przyjeżdżali z dłuższą wizytą nad Zatokę, albo ja leciałem ich odwiedzić i przy okazji zahaczyć o Disneyland - Nicholas zawsze mnie informował, co porabia Valis. Po przeprowadzce Nicholasa do Orange County Valis często się z nim kontaktował. Z tego punktu widzenia decyzja była więc słuszna.

Również posada w Progressive Records okazała się o niebo lepsza niż praca sprzedawcy płyt. Detaliczna sprzedaż płyt była ślepą uliczką, o czym Nicholas od dawna wiedział, natomiast przed wytwórniami fonograficznymi otwierały się olbrzymie możliwości. Wielką karierę robiła muzyka rockowa, co nie miało jednak wpływu na Progressive Records, współpracujące wyłącznie z artystami folkowymi. Mimo dominacji rocka wytwórni udawało się umieszczać swoich wykonawców na wysokich miejscach list przebojów. Mieli w swojej stajni najlepszych muzyków folkowych, w tym wielu wywodzących się ze sceny muzycznej San Francisco, na przykład Hungry i Purple Onion. Niewiele brakowało, a podpisaliby kontrakt z zespołem Peter, Paul and Mary, twierdzili również, że nie chcieli zaangażować Kingston Trio. Usłyszałem o tym od Nicholasa. Pracując w dziale promocji, osobiście robił przesłuchania nowym wokalistom, instrumentalistom i zespołom, nagrywał ich tam, gdzie występowali, nie był jednak upoważniony do podpisywania kontraktów. Mógł natomiast decydować o tym, że dany zespół się nie nadaje, i z rozkoszą korzystał z tego przywileju. To było lepsze niż zmienianie papieru toaletowego w ubikacji za kabiną odsłuchową numer trzy w Berkeley.

Wrodzony talent Nicholasa do rozpoznawania dobrego głosu nareszcie się na coś przydał. Umiejętność ta, plus wszystko, czego się nauczył, słuchając późnymi wieczorami w University Music egzotycznych płyt z muzyką wokalną, zapewniały mu stabilną sytuację finansową. Carl Dondero nie pomylił się: robiąc przysługę Nicholasowi, wyświadczył również przysługę Progressive Records.

- Czyli masz superpracę - powiedziałem, gdy siedzieliśmy z Nicholasem i Rachel w ich mieszkaniu w Placentii.

- Jadę na Huntington Beach, żeby posłuchać zespołu Uncle Dave Huggins and His Up-Front Electric Jugs - odparł. - Uważam, że powinniśmy podpisać z nimi kontrakt. To jest właściwie folk-rock. Brzmia trochę jak Grateful Dead w niektórych kawałkach.

Słuchaliśmy longplaya Jefferson Airplane, spory przeskok od muzyki klasycznej, którą Nicholas kochał w czasach berkeleyowskich. Grace Slick śpiewała *White Rabbit*.

- Superlaska - powiedział Nicholas.

- Jedna z najlepszych wokalistek - odparłem. Interesowałem się rockiem od niedawna.

Airplane byli moją ulubioną grupą. Pojechałem kiedyś do Bolinas w Marin County, żeby zobaczyć dom, w którym podobno mieszkała Grace Slick. Stał blisko plaży, daleko od ludzi i zgiełku.

- Szkoda, że nie możesz jej zaangażować - powiedziałem do Nicholasa.

- E tam, widuję od groma superlasek. Więcej lasek niż facetów chce zostać wokalistkami folkowymi. Większość z nich to, w naszej branżowej terminologii, absolutne beztalencia. Słuchają w kółko Baez, Collins czy Mitchell i próbują je naśladować, nic oryginalnego.

- Czyli masz teraz władzę nad ludźmi.

Nicholas milczał, obracając w palcach kieliszek z winem marki Charles Krug.

- Jakie to uczucie? - spytałem.

- Znaczy... To straszne widzieć ich minę, kiedy mówię nie. To jest... - Zrobił gest. - Robią sobie takie wielkie nadzieje. Przyjeżdżają do Hollywood z całego kraju, licząc na nie wiadomo co. Jak w tej piosence Mamas & Papas, *Young Girls Are Coming to the Canyon*. Dzisiaj była jedna dziewczyna, przyjechała autostopem z Kansas City z gitarą za piętnaście dolarów od firmy wysyłkowej... Znała może pięć akordów i musiała czytać słowa z kartki. Z reguły ich nie przesłuchujemy, jeśli nie byli wcześniej nigdzie zaangażowani. Znaczy, nie możemy przesłuchiwać wszystkich chętnych.

Miał smutną minę, kiedy to mówił.

- Co ostatnio mówi Valis? - spytałem.

Sądziłem, że może prowadząc to nowe, mniej klaustrofobiczne życie, nie słyszy już głosów i nie widzi we śnie zadrukowanych stronic.

Twarz Nicholasa przybrała dziwny wyraz. Po raz pierwszy, odkąd w naszych rozmowach pojawił się ten temat, Nicholas wyraźnie nie miał ochoty go poruszać.

- Znaczy... - zaczął, po czym pokazał mi gestem, żebym przeszedł z nim z salonu do sypialni.

- Rachel wprowadziła zasadę - wyjaśnił, zamknąwszy za nami drzwi - że nie wolno mi o tym wspominać. Posłuchaj. - Usiadł na łóżku naprzeciwko mnie. - Odkryłem coś. To, jak wyraźnie go słyszę - jego, ją albo ich - nie wiem, zależy od wiatru. Kiedy wieje wiatr - tutaj dmucha od pustyni ze wschodu albo północy - odbiór jest lepszy. Robię notatki. Spójrz na to.

Wyciągnął szufladę komody. Leżała tam sterta zapisanego papieru maszynowego, około stu kartek. W rogu pokoju stał stolik z przenośną maszyną marki Royal na blacie.

- Mnóstwa rzeczy nigdy ci nie powiedziałem - stwierdził. - O moich kontaktach z nimi. Myślę, że to są „oni”. Wydaje się, że potrafią się połączyć z jedno ciało i umysł, jak coś w rodzaju żywej plazmy. Sądzę, że zamieszkują atmosferę ziemską.

- Jezu!

Nicholas relacjonował z całą powagą:

- Według nich my mieszkamy w skażonym oceanie. Ciągle mam sny, w których widzę

rzeczywistość z ich punktu widzenia, i zawsze patrzą w dół, ja patrzę w dół, na ocean albo jezioro stojącej wody.

- Smog.

- Czują do tego wstręt. Nie zejdą do nas. Jesteś pisarzem science fiction. Czy to możliwe, żeby bez naszej wiedzy w atmosferze ziemskiej istniały formy życia, inteligentne i znajdujące się na wysokim szczeblu rozwoju ewolucyjnego, które interesują się naszym losem i potrafią nam pomóc, jeśli zechcą? Należałoby się spodziewać, że byłyby o tym jakieś wzmianki. To absurdalne; już dawno ktoś by je odkrył. Może - to jedna z moich teorii - może dopiero niedawno przybyły do naszej atmosfery, przypuszczalnie z innej planety albo innego wszechświata. Inna hipoteza, która przyszła mi do głowy, to że wróciły do nas z przyszłości, aby nam pomóc. Bardzo im na tym zależy. Sprawiają wrażenie wszechwiedzących. Wygląda na to, że nie istnieją dla nich żadne fizyczne bariery. Nie mają materialnych ciał, tak samo jak formy energii i plazma, tak samo jak pola elektromagnetyczne. Najprawdopodobniej zlewają się ze sobą, wymieniają informacjami, po czym się rozdzielają. Oczywiście to tylko teoria. Nie wiem, jak jest naprawdę. Takie odnoszę wrażenie.

- Jak to możliwe, że ze wszystkich ludzi na świecie tylko ty je słyszysz?

- Na to nie mam teorii.

- Nie mogą ci tego powiedzieć?

- W sumie rozumiem niewiele z tego, co mówią. Odbieram tylko wrażenia ich obecności. Chcieli, żebym się przeniósł do Orange County. Co do tego się nie pomyliłem. Sądzę, że chcieli mieć ze mną lepszy kontakt dzięki bliskości pustyni i wiatrowi Santa Ana, który często tutaj wieje. Kupiłem mnóstwo książek, żeby zbadać problem, na przykład *Britannicę*.

- Jeśli istnieją, to ktoś inny powinien...

- Zgadzam się. - Skinał głową. - Dlaczego ja? Dlaczego nie zwrócili się do prezydenta Stanów Zjednoczonych?

- Ferrisa F. Fremonta?

Roześmiał się.

- No, do niego chyba rzeczywiście nie. Rozumiem, o co chodzi. Ale jest tak wielu ważnych ludzi... Któregoś razu, posłuchaj tego. - Zaczął grzebać w stercie kartek papieru. - pokazali mi pomysł racjonalizatorski, nowy sposób przenoszenia napędu. Wyjaśnili mi zasadę działania. Widziałem to całe cholerstwo, okrągłe i bardzo ciężkie. Oprócz głównego wału był też drugi, dodatkowy, który obracał się w przeciwnym kierunku. Dzięki temu drgania spowodowane niezrównoważeniem momentu odśrodkowego nawzajem się znoszą. Nie wiem, czy dodatkowa oś była ślepa, czy też przenosiła napęd. We śnie trzymałem całe urządzenie w rękach, było pomalowane na czerwono. Nie wiem, z jakim typem silnika to miało współpracować, ale chyba ze spalinowym, bo po jednej stronie było coś, co przypominało system rozrządu: krzywki

i łańcuch. Chcieli, żebym to wszystko spisał po przebudzeniu. Pokazali mi dobrze zastrugany ołówek i notatnik. Powiedzieli, nigdy tego nie zapomnę, powiedzieli mi: „Ta zasada była znana w twoich czasach”. Rozumiesz, co z tego wynika? - Nicholas był podekscytowany, twarz miał ożywioną i zarumienioną, szybko wyrzucał z siebie słowa. - Dla mnie to znaczy, że przybyli z przyszłości.

- Niekoniecznie - odparłem. - To może znaczyć tylko tyle, że znają naszą przyszłość, a metoda przenoszenia napędu, którą widziałeś, w przyszłości będzie bardzo rozpowszechniona.

Nicholas poruszał w milczeniu ustami, patrząc na mnie skonsternowany.

- Widzisz - wyjaśniłem - istoty znajdujące się na tak wysokim szczeblu rozwoju mogły przekroczyć barierę...

- To się dzieje naprawdę - przerwał mi Nicholas spokojnym głosem.

- Słucham?

Cichym, pewnym tonem Nicholas oświadczył:

- To nie jest literatura. Zanotowałem ponad dwadzieścia tysięcy słów na ten temat. Teorie, badania; to, co widziałem, słyszałem. To, co wiem. Wiesz, co wiem? To do czegoś zmierza, ale nie rozumiem, do czego. Oni nie chcą, żebym rozumiał. Dowiem się, kiedy przyjdzie pora, kiedy będą tego chcieli. W sumie nie mówią mi zbyt wiele. Czasami odnoszę wrażenie, że mówią mi tylko tyle, ile muszą. Więc przestań mi wyjeżdżać z pomyłonymi historiami fantastycznonaukowymi, Phil. Rozumiesz?

Zapadło milczenie. Mierzyliśmy się wzrokiem.

- Co mam powiedzieć? - spytałem w końcu.

- Po prostu nie żartuj sobie z tego. Wystarczy, że spojrzysz na tę sprawę tak, jak ona wygląda: jak na coś bardzo poważnego i być może bardzo ponurego. Czuję, że oni podchodzą do tego śmiertelnie serio, że uprawiają jakąś zabójczą grę na poziomie, który mnie przerasta, który wszystkich nas przerasta. Są tutaj po to, żeby... Kurczę, to wszystko zaczyna mi dawać w kość. Bardzo bym chciał mieć komu o tym opowiadać. To mnie męczy, że nie mogę nikomu powiedzieć. Przenieśli mnie z Berkeley do Orange County... Nawet tego nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego nie możesz?

- Próbowałem.

Nicholas nie rozwinął tej kwestii.

- Sprawiasz wrażenie dojrzałego - stwierdziłem.

- Wyjechałem z Berkeley.

Wzruszył ramionami.

- Spoczywa teraz na tobie prawdziwa odpowiedzialność.

- Wtedy też spoczywała na mnie prawdziwa odpowiedzialność. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że to nie jest zabawa.

- Twoja praca...

- To, co mi mówią. Kiedy śpię. Fakt, że nic nie pamiętam po przebudzeniu, nic nie znaczy. Przeczytałem wystarczająco dużo, aby wiedzieć, że zostało to zarejestrowane w jakiejś części mózgu. To przenika do podświadomości i jest tam magazynowane. Posłuchaj. - Spojrzał na mnie z przejęciem. - Myślę, że oni mnie programują. Łapię jakiś zwrot, jakieś słowo, nic więcej. Nic, na czym mógłbym się oprzeć. Tylko tyle, abym uwierzył, że się ze mną kontaktują. Jeśli mnie programują, to dane przechodzą do mojej podświadomości, bo tak zawsze działa programowanie. Dane znajdują się albo w mózgu, albo w obwodach elektrycznych. W końcu otrzymam bodziec uruchamiający i program zadziała, poprawnie bądź nie, zależnie od tego, czy został dobrze zredagowany. - Urwał, po czym dodał nieobecny głos: - Czytałem o tym. Nie miałbym szans się zorientować.

- Nawet po otrzymaniu bodźca uruchamiającego?

- Nie, wszystko, co bym powiedział i zrobił, wydawałoby się naturalne. Sądziłbym, że to wychodzi ze mnie samego. Jak po hipnozie. Włączasz to, co ci powiedziano, do swojego obrazu świata jako coś logicznego. Choćby było nie wiadomo jak pomyłone, nie wiadomo jak niszczycielskie, nie wiadomo jak...

Znowu umilkł, tym razem na dłużej.

- Zmieniłeś się - powiedziałem. - Oprócz tego, że dojrzałeś. Zupełnie inaczej podchodzisz do tej kwestii.

- To przeprowadzka mnie zmieniła, i badania, które prowadzę. Mogę sobie teraz pozwolić na zakup najlepszych książek z tych dziedzin. Herb Jackman płacił mi grosze, Phil. Ledwo starczało mi na życie.

- To coś więcej niż badania. W Berkeley jest mnóstwo osób, które prowadzą badania. Jakich masz tutaj przyjaciół, znajomych?

- Głównie ludzi z Progressive Records. Fachowców z branży muzycznej.

- Mówiłeś im o Valisie?

- Nie.

- Byłeś u psychiatry?

- Cholera - odparł Nicholas znużonym głosem. - Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to nie jest sprawa dla psychiatry. Jeśli tak sądziłem, to w zamierzchłej przeszłości. Wiele lat temu i w świrniętym mieście. Orange County nie jest świrnięte, tylko bardzo konserwatywne i bardzo solidne. Świry mieszkają na północy w LA County, nie tutaj. Minałem strefę świrów o sto kilometrów. Przestrzeliłem. Nie, nie przestrzeliłem. Specjalnie rzucili mnie tutaj, do centralnego Orange County. Żebym znalazł się daleko od miast typu Berkeley, zaskorupiałych w swojej mentalności. Żebym znalazł się w miejscu, w którym mógłbym się zastanowić i zajrzeć do swojego wnętrza, spojrzeć na siebie z dystansem i ze zrozumieniem. Nabrać pewności siebie.

Jeżeli coś się zmieniło, to właśnie to: nabrałem pewności siebie.

- Może masz rację.

Nicholas mówił dalej jakby do siebie:

- Tam, w Berkeley, wydawało się, że to jest bardziej zabawa, te wewnętrzne kontakty z innym umysłem, w środku nocy, bez udziału mojej woli, leżę biernie i muszę słuchać, czy tego chcę, czy nie. W Berkeley byliśmy dziećmi. Nikt, kto mieszka w Berkeley, nie staje się naprawdę dorosły. Może dlatego Ferris Fremont tak bardzo nienawidzi Berkeley.

- Bardziej zajmuje twoje myśli, odkąd tu zamieszkałeś?

- Tak, Ferris Fremont bardziej zajmuje moje myśli, odkąd tu zamieszkałem - powtórzył moje słowa, ale w jego ustach nabrały podwójnego znaczenia.

Dzięki wyimaginowanemu głosowi Nicholas stał się w pełni ukształtowaną osobą, nie zaś nie dokończoną istotą, którą był w Berkeley. Gdyby pozostał w Berkeley, aż do śmierci żyłby jako nie dokończona osoba, nigdy nie poznałszy, co to znaczy być w pełni ukształtowanym człowiekiem. O jakiego rodzaju wyimaginowany głos tutaj chodzi? Przypuśćmy, że Kolumb usłyszał wyimaginowany głos, który kazał mu popłynąć na zachód. Dzięki niemu odkrył Nowy Świat i zmienił bieg historii... W takim wypadku trudno byłoby nam obronić użycie w tym kontekście słowa „wyimaginowany”, ponieważ konsekwencje usłyszenia przez Kolumba tego głosu odcisnęły się na losach całego świata. Co byłoby bardziej rzeczywiste, „wyimaginowany” głos, który kazał mu popłynąć na zachód, czy „prawdziwy” głos, który powiedziałby mu, że pomysł jest absurdalny?

Gdyby Valis nie zwrócił się do niego we śnie, nie pokazał mu obrazów obiecujących lepszy los, nie przemówił do niego przekonująco, Nicholas odwiedziłby Disneyland i wróciłby do Berkeley. Obaj o tym wiedzieliśmy. Nie miało znaczenia, czy ktokolwiek inny oceniał to w ten sposób. Znałem go i wiedziałem, że sam z siebie, bez niczyjej pomocy, nie wydostałby się z koleiny, w którą wpadł. Coś wkroczyło do życia Nicholasa i wyrwało go z uścisku złej karmy. Coś rozkuło żelazne okowy. Uświadomiłem sobie, że w ten sposób człowiek staje się kimś, kim nie jest: robiąc coś, czego nie potrafiłby zrobić - w przypadku Nicholasa chodziło o zupełnie nieosiągalny krok w postaci przeprowadzki z Berkeley do południowej Kalifornii. Wszyscy jego koledzy zostali; ja zostałem. Coś niezwykłego: człowiek wychowany w Berkeley siedzi w swoim nowoczesnym mieszkaniu (w Berkeley nie było nowoczesnych mieszkań) w Placentii, ubrany w kwiecistą koszulę w stylu południowo-kalifornijskim, płócienne spodnie i pełne buty. Już zdążył się wtopić w tutejszy styl życia. Cząsy niebieskich dzinsów minęły.

Wyimaginowana obecność Valisa - któremu Nicholas musiał wymyślić imię, bo nie znał prawdziwego - uczyniła z niego człowieka, którym nie był. Gdyby poszedł do psychiatry, do końca życia pozostałby tą samą osobą co dawniej. Psychiatra skierowałby jego uwagę na genezę głosu, a nie na jego intencje i skutki. Rzeczony psychiatra przypuszczalnie dalej mieszkał w Berkeley. Żadne nocne głosy, żadna niewidzialna obecność, rysująca obrazy szczęśliwszego życia, nie zatruwałyby Nicholasowi umysłu.

- Dobra, Nick, wygrałeś - powiedziałem.

- Słucham? - Spojrzał na mnie trochę zmęczonym wzrokiem. - A, rozumiem. Tak, chyba wygrałem. Phil, jak mogłem zostać w Berkeley tak długo? Dlaczego ktoś inny, cudzy głos, nie mój, musiał zbudzić mnie do życia? Dlaczego to było konieczne?

- Hm.

- Najbardziej niewiarygodne jest nie to, że usłyszałem Valisa, że posłuchałem Valisa, lecz że bez niego, czy też bez nich, nawet nie przyszłoby mi do głowy, żeby się tutaj przenieść. Wyjechać z Berkeley, zostawić pracę u Herba Jackmana - nie do pomyslenia.

- Tak, to jest najbardziej niewiarygodne.

Miał rację. Była to lekcja na temat normalnego biegu ludzkiego istnienia. *Homo* nie spętany: wolno mu mozolnie przemierzać swą kolistą drogę, niby kawałkowi martwej skały okrążającemu martwe słońce, bezmyślnie i bez celu, głuchemu na otaczający go wszechświat, równie ślepemu jak zimnemu. Istota, której nigdy nie przyjdzie do głowy żaden nowy pomysł; której zakazana jest wszelka oryginalność. To dawało do myślenia.

- Nieważne, kim są, Phil, nie mam innego wyboru, jak tylko im zaufać. W każdym razie będę robił to, czego ode mnie chcą.

- Myślę, że się zorientujesz, kiedy program ruszy.

O ile rzeczywiście - otrzeźwiająca myśl - został zaprogramowany.

- Sądysz, że zauważę? Będę zbyt zajęty, żeby zauważyć.

To mnie zmroziło: wyobraziłem go sobie, jak natychmiast przystępuje do działania i rozmazuje się, jakby miał szesnaście ramion.

- Oni... - podjął Nicholas.

- Wolałbym, żebyś nie mówił o nich w liczbie mnogiej. To mnie rozstraja. Byłbym spokojniejszy, gdybyś mówił „on”.

- Jak w tym dowcipie o kanarku, który waży dwie tony: gdzie śpi?

- Gdzie chce.

- Mówię „oni”, bo widziałem więcej niż jednego. Kobietę i mężczyznę. A dwoje to już „oni”.

- Jak wyglądali?

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że to było w snach - odparł Nicholas po chwili milczenia.

- A sny deformują. Świadomy umysł stawia barierę.

- Żeby się bronić - uzupełniłem.

- Mieli troje oczu. Dwoje normalnych i jedno z obiektywem zamiast źrenicy. W samym środku czoła. Trzecie oko widziało absolutnie wszystko. Mogli je włączać i wyłączać, wyłączone zupełnie znikало. Było niewidoczne. W tych momentach... - wziął głęboki wdech i zadrżał - ...wyglądali zupełnie jak my. My... nigdy się niczego nie domyślaliśmy.

Umilkł.

- O mój Boże! - powiedziałem głośno.

- Aha - poparł mnie Nicholas ze stoickim spokojem.

- Mówili?

- Byli niemi. Głuchonimi. Znajdowali się w okrągłych komorach podobnych do batyskafów, biegło do nich mnóstwo kabli, jak w sprzęcie wzmacniającym dźwięk, sprzęcie telekomunikacyjnym, kabli telefonicznych. Kable i wzmacniacze pomagały porozumiewać się z nami, przetwarzały ich myśli w słyszalne i zrozumiałe dla nas słowa, i sprawiały, że oni mogli słyszeć nas. To był dla nich wysiłek.

- Nie wiem, czy mam ochotę tego słuchać.

- Do diabła, piszesz o tym cały czas. W końcu przeczytałem kilka twoich powieści. Ty...

- Piszę fikcję. To wszystko fikcja.

- Mieli przerośnięte czaszki.

- Co?

Nie nadażalem za nim. Przytłaczało mnie to.

- Żeby trzecie oko się zmieściło. Ogromne czaszki. Zupełnie inny kształt niż nasze, bardzo długie. Egipski faraon miał taką, Echnaton. I jego dwie córki, ale nie żona. To było dziedziczne w jego linii.

Otworzyłem drzwi sypialni i wróciłem do salonu, gdzie Rachel siedziała i czytała.

- On zwariował - stwierdziła Rachel chłodno, nie odrywając oczu od książki.

- Zgadza się. Całkiem zwariował. Pusto pod sufitem. Mnie nic do tego, ale nie chciałbym znaleźć się tutaj, kiedy program się uruchomi.

Bez słowa przewróciła kartkę.

Nicholas wyszedł z sypialni i zbliżył się do nas. Wyciągnął ku mnie kartkę papieru, tak żebym mógł ją zobaczyć.

- To jest znak, który pokazali mi kilka razy, dwa przecinające się łuki, zresztą sam widzisz. Trochę przypomina chrześcijańską rybę, symbol, w którym dwa łuki tworzą rybę widzianą z boku. Co ciekawe, jeżeli łuk przecina się raz...

Różowofioletowy promień światła, o średnicy paru centymetrów, wystrzelił z trzymanej

przez Nicholasa kartki w stronę jego twarzy. Nicholas zamknął oczy, skrzywił się z bólu, upuścił kartkę i szybko podniósł rękę do czoła.

- Nagle dostałem koszmarnej migreny - powiedział otępiałym głosem.

- Nie widziałeś tego promienia światła? - spytałem. Rachel odłożyła książkę i zerwała się na nogi.

Nicholas odjął rękę od czoła, otworzył oczy i zamrugał.

- Oślepiłem - oznajmił.

Milczenie. Staliśmy wszyscy troje bez ruchu.

- Teraz dostrzegam poruszające się fosfeny⁴ - rzekł po chwili. - I poświatę. Nie, nie widziałem żadnego promienia światła. Ale widzę krąg fosfenów. Różowy. Teraz rozróżniam kilka przedmiotów.

Rachel podeszła do niego i chwyciła go za ramię.

- Lepiej usiądź.

Dziwnym, pozbawionym wyrazu, niemal mechanicznym głosem Nicholas oświadczył:

- Rachel, Johnny ma wadę okołoporodową.

- Lekarz powiedział, że nie ma absolutnie nic...

- Ma prawostronną uwięźniętą przepuklinę pachwinową. Jelito zeszło już do moszny. Johnny musi zostać natychmiast zoperowany. Podejdź do telefonu, podnieś słuchawkę i wykręć numer doktora Evenstona. Powiedz mu, że przywozisz Johnny'ego na ostry dyżur do szpitala St. Jude w Fullerton. Powiedz, żeby tam przyjechał.

- Dzisiaj wieczór? - spytała Rachel przerażona.

- Johnny może lada chwila umrzeć.

Z zamkniętymi oczami powtórzył jeszcze raz to samo, słowo w słowo, dokładnie takim samym tonem. Kiedy na niego patrzyłem, nagle odniosłem wrażenie, że choć oczy ma zamknięte, widzi słowa. Mówił, jakby je czytał z telepromptera, jak aktor w telenoweli. To nie był jego ton, jego rytm. Nicholas przebiegał umysłem słowa, które dla niego napisano.

Pojechałem z nimi do szpitala. Rachel prowadziła, Nicholas, który wciąż miał problemy z oczami, siedział obok niej z maleństwem w ramionach. Ich lekarz, doktor Evenston, mocno poirytowany, czekał na nich w sali przyjęć. Najpierw powiedział im, że kilka razy sprawdzał, czy Johnny ma jakieś przepukliny, i nic nie znalazł. Potem zabrał Johnny'ego. Czas mijał. W końcu doktor Evenston wrócił i powiedział opanowanym tonem, że istotnie była prawostronna uwięźnięta przepuklina pachwinowa, która być może cofnęłaby się sama, lecz wymagała natychmiastowej interwencji chirurgicznej, bo istniała groźba martwicy.

W drodze powrotnej do mieszkania w Placentii spytałem:

⁴ *Phosphene* – obraz powstający przy ucisku na gałkę oczną.

- Co to za ludzie?
- Przyjaciele - odparł Nicholas.
- Twój los wyraźnie leży im na sercu. I twojego dziecka też.
- Nic złego nie może się stać.
- Ale takie moce!
- Przetransmitowali informacje do mojej głowy, ale nie uzdrowili Johnny'ego. Oni tylko...
- Uzdrowili go.

Zabranie go do szpitala i zwrócenie uwagi lekarza na wadę okołoporodową równało się uzdrowieniu. Po co uciekać się do sił nadprzyrodzonych, skoro naturalne środki lecznicze są w zasięgu ręki? Przypomniałem sobie coś, co powiedział Budda, kiedy zobaczył, jak rzekomy święty szedł po wodzie: „Za miedziaka mogę wsiąść na prom i skutek będzie ten sam”. Nawet dla Buddy praktyczniejsze było przepłynąć przez rzekę normalnie. Normalne i nadnormalne nie stanowią w końcu przeciwstawnych obszarów rzeczywistości. Nicholas nie zrozumiał mojej intencji. Sprawiał jednak wrażenie oszołomionego. Gdy Rachel jechała w ciemnościach, on wciąż masował sobie czoło i oczy.

- Informacje zostały przetransmitowane w jednym rzucie, nie sekwencyjnie - powiedział. - Zawsze tak się to odbywa. W informatyce to się nazywa system analogowy, w przeciwieństwie do cyfrowego.

- Jesteś pewien, że to przyjaciele? - spytała ostro Rachel.
- Każdy, kto ratuje życie mojego dziecka, jest przyjacielem.

- Skoro potrafili przesłać wszystkie te precyzyjne informacje bezpośrednio do twojej głowy w jednej eksplozji barwnego światła - wtrąciłem się - to nic nie stoi na przeszkodzie, aby ci powiedzieli, kim są, skąd pochodzą i jakie mają zamiary. Twoja niewiedza w tych kwestiach wynika z celowego wstrzymywania przez nich informacji. Nie chcą, żebyś wiedział.

- Gdybym wiedział, powiedziałbym ludziom - odparł Nicholas. - Oni nie chcą...
- Dlaczego?

- To by im nie pozwoliło osiągnąć celu - oznajmił Nicholas po chwili milczenia. - Oni walczą z...

Urwał.

- Nie powiedziałeś mi wielu rzeczy, które wiesz na ich temat.
- Wszystko jest w notatkach.

W milczeniu minęliśmy kilka przecznic, po czym podjął:

- Wszystko sprzysięga się przeciwko powodzeniu ich przedsięwzięcia. Oczywiście jest zatem, że muszą działać z wielką ostrożnością. Bo inaczej misja się nie powiedzie.

Nie rozwinął tematu. Przypuszczalnie nie wiedział nic więcej. Jego wiedza najprawdopodobniej składała się w większości z domysłów popartych wielomiesięczną refleksją.

Przygotowałem sobie w głowie małą przemowę i teraz ją wygłosiłem.

- Istnieje szansa, przyznaję, ale bardzo niewielka, że zjawisko, z którym masz do czynienia, jest natury religijnej; że informacji udziela ci Duch Święty, który jest przejawieniem Boga. Wszyscy jesteśmy z Berkeley, tam się wychowaliśmy i tkwimy zamknięci w ograniczonej świeckiej perspektywie uniwersyteckiego miasta. Obca jest nam skłonność do rozważań teologicznych. Lecz uzdrowienie to cud charakterystyczny dla Ducha Świętego, o ile dobrze pamiętam. Powinieneś się na tym znać, Nicholas, byłeś kiedyś przecież kwakrem.

- Tak. - Skinał głową. - Kiedy Duch Święty zstąpi na kogoś, to go uzdrowia.

- Słyszałeś w głowie jakieś obce języki, których nie znasz? - spytałem.

Ponownie skinał głową.

- Tak. W snach.

- Głosolalia.

- Greka koine. Po przebudzeniu zapisałem kilka słów fonetycznie, tyle, ile zapamiętałem. Rachel uczyła się przez rok greki. Rozpoznała je. Sprawdziliśmy w słowniku: greka koine.

- Ale czy to...

- To się kwalifikuje jako glosolalia. W Dziejach Apostolskich członkowie innych ludów rozumieją słowa apostołów w swoich własnych językach, w Pięćdziesiątnicę, kiedy po raz pierwszy zstąpił na nich Duch Święty. Glosolalia to nie bredzenie, tylko mówienie językami, których się wcześniej nie znało. Duch Święty wkłada słowa do głowy, aby można było głosić Ewangelię wszystkim narodom. Ludzie z reguły błędnie rozumieją to zjawisko. Ja sam sądziłem, że to mówienie od rzeczy, dopóki nie przestudiowałem tego tematu.

- Czytałeś Biblię? - spytałem. - Podczas swoich badań?

- Nowy Testament. I księgi proroków.

- Nick nie zna greki - wtrąciła się Rachel. - Był przekonany, że to nie istniejące słowa. - Z jej głosu zniknęła złośliwość i okrucieństwo, za sprawą przeżytego szoku i okazanej troski o Johnny'ego. - Nick bardzo ostrożnie opowiedział paru osobom zainteresowanym okultyzmem o swoich snach po grecku, a oni stwierdzili: „To minione życie. Jest pan reinkarnacją osoby, która mówiła po grecku”. Ale ja nie wierzę w to wytłumaczenie.

- Twoim zdaniem jakie jest wytłumaczenie? - spytałem.

- Nie wiem. Greckie słowa były pierwszą rzeczą, która cokolwiek dla mnie znaczyła, którą potraktowałam poważnie. A dzisiaj zdiagnozowanie przepukliny u Johnny'ego... i widziałam tę różowawofioletową iskrę światła, która na niego przeskoczyła. Naprawdę nie wiem, Phil. To nie pasuje do niczego, o czym do tej pory słyszałam. Wydaje się, że Nick nawiązuje chwilowe kontakty z dobroczynnymi nadnaturalnymi manipulatorami, których nie znamy - ale są to jedynie fragmentaryczne, zagadkowe wizje. Tylko tyle, ile chcą mu pokazać. Za mało, aby dokonać ekstrapolacji. Greka koine używana była przed dwoma tysiącami lat, co by znaczyło, że są

bardzo starzy. Może niechcący im się to wypsnęło i zdradzili się ze swoim wiekiem.

Nicholas oświadczył chrapliwym głosem, w którym słychać było napięcie:

- Ktoś się we mnie budzi. Po dwóch tysiącach lat albo prawie tylu. Jeszcze się nie zbudził, ale jego pora się zbliża. Obiecano mu to bardzo dawno temu, kiedy żył tak jak my.

- Jest człowiekiem? - spytałem.

- O tak! - Skinął głową. - Albo kiedyś był. Programowanie, któremu mnie poddają, ma za zadanie go obudzić. Mają z tym problemy, a w każdym razie to szalenie trudne. Wymaga bardzo wielu czynności. Ten człowiek, ta osoba jest dla nich ważna. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, kim on jest. Nie wiem, co robi.

Umilkł i zamyślił się, po czym rzekł, głównie do siebie, jakby powtarzał coś, co wielokrotnie wcześniej powiedział lub pomyślał:

- Nie wiem, co się ze mną stanie, kiedy to nastąpi. Może nie istnieją co do mnie żadne plany.

- Jesteś pewien, że nie zonglujesz sześciora różnymi teoriami, żeby sprawdzić, która pierwsza spadnie na ziemię? - spytałem. - Potrafię odróżnić teorię od rzetelnej wiedzy. To czcze spekulacje. Nie wiesz, prawda?

- Nie wiem - przyznał Nicholas.

- Od jak dawna wyznajesz tę teorię?

- Nie wiem. Wszystkie mam spisane.

- W kolejności od najbardziej do najmniej prawdopodobnej?

- W kolejności, w jakiej przyszły mi do głowy.

- I każda w swoim czasie wydawała ci się równie prawdziwa.

- Któraś musi być prawdziwa. W końcu się dowiem. Muszę.

- Równie dobrze możesz się nie dowiedzieć aż do grobowej deski - stwierdziła Rachel.

- W końcu zrozumieć - powtórzył z uporem Nicholas.

Może nie. Może Rachel ma rację. Nicholas będzie wiecznie błędził, sterta papierów będzie rosła wraz z kolejnymi teoriami, coraz bardziej sensacyjnymi, coraz bardziej skomplikowanymi, coraz odważniejszymi. Wreszcie śpiący w jego wnętrzu człowiek, którego próbują zbudzić do przytomności, pojawi się, weźmie sprawy w swoje ręce i dokończy za Nicholasa jego tezę. Nicholas napisze: zadaję sobie pytanie, czy... być może... jestem pewien, że... nie ulega wątpliwości... A potem przybyły z zamierzchłej przeszłości człowiek powstanie do życia i napisze: Masz rację. Jest tak, jak mówisz. Jam jest.

- Zawsze kiedy tak mówisz - wyznała Rachel - najbardziej martwi mnie to, jaki on będzie dla mnie i Johnny'ego, kiedy go obudzą, ale dzisiejszy wieczór chyba pokazuje, że będzie się troszczył o Johnny'ego.

- I to lepiej ode mnie - stwierdził Nicholas.

- Nie będziesz stawiał oporu? - spytałem. - Po prostu pozwolisz sobą zawładnąć?

- Z radością na to czekam.

- Czy w waszym budynku są jakieś wolne mieszkania? - spytałem Rachel.

Pomyślałem sobie, że jako wolny strzelec mogę mieszkać gdziekolwiek, niekoniecznie nad Zatoką.

Uśmiechnąwszy się nieznacznie, Rachel odparła:

- Uważasz, że powinieneś być pod ręką, aby nad nim czuwać?

- Coś w tym rodzaju.

8

Wszystko wskazywało na to, że oboje zaakceptowali zagarnięcie Nicholasa przez tę istotę. Sprawiali wrażenie, że pogodzili się z tym bez lęku. Taka reakcja była ponad moje siły. Cała ta historia wydawała mi się przerażająca i wbrew naturze, uważałem, że należy się bronić wszelkimi dostępnymi środkami. Wyeksmitowanie ludzkiej osobowości przez... przez nie wiadomo co. Oczywiście jeżeli teorie Nicholasa były trafne. Bo przecież mógł się z gruntu mylić. Mimo to, a może właśnie dlatego, chciałem być w pobliżu. Nicholas przez całe lata był moim najlepszym przyjacielem i wciąż nim pozostawał, chociaż dzieliło nas tysiąc kilometrów. Poza tym, podobnie jak jemu, spodobała mi się okolica Placentii. Spodobało mi się barrio. W Berkeley nie było niczego takiego.

- To ładny gest - pochwaliła mnie Rachel - być przy przyjacielem w takim momencie.

- To więcej niż gest.

- Zanim się przeprowadzisz do Placentii, muszę ci opowiedzieć o pewnym odkryciu, którego przypadkiem dokonałam. Sądzę, że nie zdajesz sobie z tego sprawy. Jechałam jedną z tych wysadzanych palmami uliczek, przed siebie, chciałam po prostu, żeby Johnny się uspokoił i zasnął, zanim wrócimy do mieszkania, i zobaczyłam dom z zielonymi gontami, na którym wisiała tablica z napisem: „W tym domu urodził się Ferris F. Fremont”. Spytałam naszego administratora, który potwierdził: „Tak, Ferris Fremont urodził się w Placentii”.

- Teraz go tutaj nie ma - przypomniał nam Nicholas. - Jest w Waszyngtonie, pięć tysięcy kilometrów stąd.

- Ale jakie to groteskowe - nie ustępowała Rachel - mieszkać w mieście, w którym przyszedł na świat tyran! Tak jak on, dom jest mały i brzydki, w ohydny kolorze. Nie wysiadłam z samochodu. Nie chciałam zbliżać się do domu, chociaż był chyba otwarty i w środku kręcili się ludzie. Jakby urządzono tam muzeum, zapewne można obejrzeć podręczniki szkolne i łóżko, w którym spał, jak w tych zabytkowych domach, które można oglądać przy kalifornijskich autostradach.

Nicholas skierował na żonę enigmatyczne spojrzenie.

- I nikt wam o tym nie wspomniał? - spytałem.

- Odnoszę wrażenie - stwierdziła Rachel - że tutejsi nie lubią o tym mówić. Wolą zachować to w tajemnicy. Fremont przypuszczalnie sam sfinansował przekształcenie domu w muzeum. Nie zauważyłam tabliczki stanowej, którą wieszają na zabytkowych budynkach.

- Chciałbym je zwiedzić - powiedziałem.

- Fremont... - rozmyślał na głos Nicholas. - Największy kłamca w dziejach świata. Podejrzewam, że w rzeczywistości wcale się tam nie urodził. Zapewne polecił firmie public relations, żeby wybrali miejsce, w którym powinien być się urodzić. Chciałbym to zobaczyć. Jedź

tamtędy, Rachel. Rzucimy okiem.

Skreśliła w lewo. Jechaliśmy bardzo wąskimi uliczkami, wysadzonymi drzewami i nie zawsze wyasfaltowanymi. Było to stare miasto. Już kiedyś tamtędy przejeżdżałem.

- To jest przy Santa Fe - powiedziała Rachel. - Pamiętam, że to zauważyłam i pomyślałam, że chętnie wywiozłabym Fremonta z miasta na taczkach. - Podjechała do krawężnika i zatrzymała samochód. - Tam po prawej - pokazała.

Widzieliśmy tylko niewyraźne kontury domów. W którymś z nich oglądano program telewizyjny po hiszpańsku. Zaszczekał pies. Jak zwykle było ciepło. Na domu, w którym rzekomo urodził się Ferris F. Fremont, nie zainstalowano specjalnego oświetlenia. Nicholas i ja wysiedliśmy i ruszyliśmy we wskazanym przez Rachel kierunku, a ona została w samochodzie, ze śpiącym dzieckiem na kolanach.

- Nie ma za wiele do oglądania, a do środka już dzisiaj nie wejdziemy - powiedziałem do Nicholasa.

- Chcę sprawdzić, czy to jest miejsce, które widziałem w moim proroczym śnie.

- Z tym będziesz musiał poczekać do jutra.

Szliśmy powoli chodnikiem. Ze szpar między płytami sterczała trawa. Nicholas ukuł się w palec u nogi i zaklął. Doszliśmy do rogu i stanęliśmy.

Nicholas pochylił się, aby obejrzeć słowo wypisane w betonie chodnika, bardzo stare słowo, profesjonalnie odcisnięte, kiedy beton jeszcze nie wysechł.

- Spójrz! - powiedział Nicholas. Pochyliłem się i odcyfrowałem to słowo.

ARAMCHEK

- Wygląda na to, że tak się pierwotnie nazywała ta ulica - stwierdził Nicholas. - Zanim ją przechrzcili. A więc stąd Fremont wziął nazwę tej konspiracyjnej organizacji: ze swego dzieciństwa. Widywał ją odcisniętą w płycie chodnikowej. Sam pewnie już tego nie pamięta. Pewnie się tutaj bawił.

Pomyśl, że Ferris Fremont bawił się tutaj jako mały chłopiec - pomyśl, że Ferris Fremont kiedykolwiek i gdziekolwiek był małym chłopcem - przerastał moją wyobraźnię. Ferris Fremont jeździł na trzykołowym rowerku koło tych domów, podskakiwał na tych samych wystających płytach, na których my potykaliśmy się tego wieczoru. Jego matka przypuszczalnie mówiła mu, żeby uważał na jeżdżące ulicą samochody. Chłopiec bawił się tutaj i snuł w głowie fantazje o przechodniach, o tajemniczym słowie ARAMCHEK wypisanym w betonie pod jego nogami, tygodniami i miesiącami próbował zgadnąć, co ono znaczy, jego dziecinny umysł dopatrywał się w nim tajemnych i okultystycznych treści, które miały się rozwinąć w dorosłym życiu Ferrisa Fremonta. Które miały zakwitnąć w bujne złudzenia paranoidalne na temat ogromnej organizacji

konspiracyjnej, organizacji bez określonych przekonań i składu członkowskiego, lecz jakimś sposobem będącej tytanicznym wrogiem społeczeństwa, którego należy wytropić i wytepić. Zastanawiałem się, ile z tego przyszło mu do głowy, kiedy był jeszcze dzieckiem. Może już wtedy wyobraził sobie całą tę historię. Jako dorosły tylko ją ogłosił.

- To mogła być nazwa firmy budowlanej, a nie pierwotna nazwa ulicy - powiedziałem. - Czasami zostawiają taki napis po skończeniu roboty.

- Może inspektor przybił jakby pieczętkę, że skontrolował wszystkie aramy⁵. Co to jest aram? Albo może tu było miejsce, w którym sprawdzało się aramy. Wstawiali metalowy słupek w mały otwór w trotuarze i brali odczyt, podobnie jak z wodomierza.

Roześmiał się.

- Tajemnicza sprawa - stwierdziłem. - To nie brzmi jak nazwa ulicy. Chyba że nazwali ją dla upamiętnienia jakiejś osoby.

- Jednego z pierwszych osadników słowiańskich w Orange County. Pochodzącego z Uralu. Hodował bydło i uprawiał pszenicę. Może był właścicielem wielkiego rancza, z puli zabranej Meksykanom i rozdawanej przez rząd osadnikom amerykańskim. Ciekawe, jak wyglądał jego znak do piętnowania bydła. Aram plus znaczek kontrolny.

- Robimy to samo co Ferris.

- Ale w sposób znacznie bardziej racjonalny. Nie jesteśmy świrami. Ile można wycisnąć z jednego słowa?

- Może Ferris Fremont wie więcej od nas. Może zlecił komuś naukowe zbadanie sprawy, kiedy był już dorosły i bogaty. Może to było spełnienie jego marzeń z dzieciństwa: zbadać tajemnicze słowo ARAMCHEK i dowiedzieć się, co ono naprawdę znaczyło i dlaczego odcisnęli je w trotuarze na wieczną rzeczony pamiątkę.

- Szkoda, że Ferris nie zapytał kogoś o znaczenie tego słowa.

- Sądzę, że zapytał - powiedziałem. - I dalej pyta. W tym cały problem: wciąż chce się dowiedzieć. Nie zadowolily go żadne z otrzymanych odpowiedzi, typu „dawna nazwa ulicy” albo „nazwa firmy budowlanej”. To mu nie wystarczyło. Tajemnicze ARAMCHEK kryło w sobie coś bardziej obiecującego.

- Dla mnie nie kryje w sobie nic obiecującego. To tylko dziwne słowo odcisnięte Bóg wie jak dawno temu w betonowym chodniku. Chodźmy.

Wróciliśmy do samochodu i po chwili Rachel wiozła nas do mieszkania.

⁵Gra słów *to check* znaczy m.in. sprawdzić, skontrolować.

Kilka lat po tym, jak Ferris F. Fremont został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych, przenieśliśmy się z Zatoki San Francisco do południowej Kalifornii, aby być blisko mego przyjaciela Nicholasa Brady'ego. Moja kariera pisarska rozwijała się znakomicie. W 1963 roku moja książka *Człowiek z Wysokiego Zamku* uzyskała Nagrodę Hugo za najlepszą powieść fantastycznonaukową roku. Traktowała o wymyślnym równoległym świecie, w którym Niemcy i Japonia wygrały drugą wojnę światową i podzieliły Stany Zjednoczone między siebie, ze strefą buforową pośrodku. Kilka innych moich powieści zostało dobrze przyjętych i doczekałem się rzetelnych komentarzy krytycznych na temat mojej twórczości, a zwłaszcza mojej naprawdę odjechanej powieści *Trzy stygmaty Palmera Eldritch'a*, opowiadającej o narkotycznych wizjach, których doświadczali bohaterowie zażywający psychodeliki. Była to moja pierwsza książka, w której pojawił się wątek narkotykowy, i wkrótce zyskałem reputację człowieka, który sam ma do czynienia z prochami. Ta zła sława przyczyniła się do znacznego wzrostu sprzedaży moich powieści, ale później odbiła mi się czkawką.

Prawdziwe problemy związane z narkotykami zaczęły się po tym, jak Harlan Ellison, w antologii zatytułowanej *Dangerous visions*, napisał we wstępie do jednego z moich opowiadań, że „powstało ono pod wpływem LSD”, co oczywiście mijало się z prawdą. Chęć rozgłosu, która powodowała Harlanem, sprawiła, że miałem od tej pory opinię ostrego ćpuna. W kolejnym wydaniu antologii pozwolono mi sprostować w posłowniu tę informację, lecz szkoda została już wyrządzona. Policja zaczęła interesować się mną i ludźmi, którzy mnie odwiedzali. Nasiliło się to od wiosny 1969 roku, kiedy tyran został prezydentem i Stany Zjednoczone ogarnął mrok terroru.

W swoim przemówieniu inauguracyjnym Ferris Fremont mówił o wojnie wietnamskiej, którą Stany Zjednoczone prowadziły od wielu lat, i oznajmił, że będzie to wojna na dwa fronty: jeden dziesięć tysięcy kilometrów dalej, drugi u nas w kraju. Jak później wytłumaczył, chodziło mu o wewnętrzną wojnę z Aramchekiem i wszystkim, do czego dążyła ta organizacja. W istocie, oświadczył Fremont, chodzi o jedną wojnę prowadzoną w dwóch obszarach świata. Z tych dwóch batalii ważniejsza jest krajowa, tutaj bowiem rozstrzygnie się kwestia przetrwania Stanów Zjednoczonych. Żółtki nie zrobią inwazji i nie przejmą władzy, ale Aramchek jest do tego zdolny. Aramchek ogromnie się rozrósł pod rządami dwóch poprzednich administracji, wyjaśnił Fremont. Teraz, po objęciu prezydentury przez republikanina, można się będzie rozprawić z Aramchekiem, a potem wygrać wojnę wietnamską. Bez tego nie zwyciężymy, przekonywał Fremont, nie zwyciężymy, dopóki Aramchek będzie działał w kraju, podkopując siły, determinację i wolę walki narodu amerykańskiego. Panujące w Stanach Zjednoczonych antywojenne nastroje, zdaniem Ferrisa Fremonta były wynikiem działalności Aramcheku.

Zaraz po zaprzysiężeniu go jako prezydenta Ferris Fremont wydał regularną wojnę wszelkim widocznym przejawom tej działalności i na tym stopniowo budował machinę represji.

Operacja defensywna w kraju została nazwana Mission Checkup, przy czym z wielu znaczeń słowa checkup chodziło o to medyczne⁶. Gra toczy się o fundamenty zdrowia moralnego Ameryki, wyjaśnił Fremont, poleciwszy służbom wywiadowczym, by zabrały się do roboty. Podstawowe założenie brzmiało, że antywojenne nastroje są efektem działań rozległej podziemnej organizacji wywrotowej. Prezydent Fremont dążył do uleczenia Ameryki z jej choroby. Zniszczy „drzewo zła” przez „wykorzenienie jego nasienia” - ta niespójna metafora nie poderwała narodu do walki. „Nasionami drzewa zła” byli dysydenci antywojenni, do których się zaliczałem. Już miałem na pieńku z władzami z powodu moich rzekomych ekscesów narkotykowych, a teraz znalazłem się w podwójnych tarapatach ze względu na moje pacyfistyczne przekonania, wyrażane w mojej publicystyce, jak również w publicznych dyskusjach i przemówieniach. Sprawa z narkotykami była dla mnie ogromnym obciążeniem jako dla osoby, która chciała przeciwstawić się wojnie. Wystarczyłoby, aby władze aresztowały mnie pod zarzutem posiadania narkotyków, i moja wiarygodność polityczna zostałaby skutecznie unicestwiona. Wiedziałem, że oni o tym wiedzą. Świadomość ta nie zmniejszyła liczby nie przespanych nocy.

Nie byłem wszakże jedyną osobą w Ameryce, która się martwiła. Pamiętając o swojej lewicowej fazie berkeleyowskiej, Nicholas zaczął się zastanawiać, na ile jest bezpieczny po dojściu Ferrisa F. Fremonta do władzy i zainaugurowaniu przez niego Mission Checkup. Nicholas zajmował przecież wysokie stanowisko w Progressive Records, firmie, której bardzo dobrze się powodziło. Jednym z podstawowych zadań Mission Checkup było wykrywanie i demaskowanie takich ludzi jak Nicholas - „uśpionych”, według terminologii Fremonta. W tym celu rząd zaczął rekrutować tak zwanych Przyjaciół Amerykańskiego Narodu, agentów w cywilu, którzy tropili i przeświatlali każdego, kogo podejrzewali o to, że stanowi zagrożenie dla porządku publicznego, ze względu na to, co robił w przeszłości, tak jak Nicholas, ze względu na to, co robił obecnie, tak jak ja, lub ze względu na to, co mógł zrobić w przyszłości, wobec czego cały naród znajdował się w obszarze ich zainteresowania. Panowcy nosili białe opaski z gwiazdą w kole i wkrótce widziało się ich wszędzie, na terenie całych Stanów Zjednoczonych czuwali nad tym, by setki milionów obywateli moralnie się prowadziły.

Na równinach Środkowego Zachodu rząd zaczął zakładać olbrzymie obozy internowania, w których miano umieszczać osoby zatrzymane przez panowców i inne parapolicyjne agendy. Obozy te nie będą wykorzystywane, wyjaśnił prezydent Fremont w transmitowanym przez telewizję wystąpieniu, „chyba że i dopiero kiedy okaże się to konieczne”, czyli chyba że

⁶ Checkup znaczy m.in. badania kontrolne.

i dopiero kiedy opór wobec wojny znacząco się nasili. Do wszystkich osób, którym chodził po głowie sprzeciw wobec wojny wietnamskiej, wysłano zatem czytelny sygnał: możesz zostać zakwaterowany w Nebrasce, gdzie będziesz uprawiał kopaczką kolektywne pole rzepy. Obozy pełniły funkcję odstrasżającą, a ponieważ z nich nie korzystano, nie podlegały nadzorowi sądowemu. Jako straszak znakomicie odgrywały swoją rolę.

Osobiście miałem jedno nieprzyjemne starcie z tajnym agentem PAN-u, jednym z tych bez opaski. Napisał do mnie na papierze firmowym małej studenckiej stacji radiowej z okolic Irvine. Chciał przeprowadzić ze mną wywiad, bo studenci z Irvine byli zainteresowani moją twórczością. Odpisałem, że się zgadzam, ale kiedy do mnie przyszedł, po paru pytaniach stało się oczywiste, że to agent PAN-u w cywilu. Spytał, czy napisałem pod pseudonimem jakieś powieści pornograficzne, po czym agresywnym tonem zaczął mnie obrzucać zwariowanymi oskarżycielskimi pytaniami. Czy biorę narkotyki? Czy jestem ojcem którychś spośród murzyńskich pisarzy fantastycznonaukowych z nieprawego łoża? Czy jestem Bogiem, oprócz tego, że jestem szefem Partii Komunistycznej? I, oczywiście, czy Aramchek mnie finansuje? Doświadczenie to wytrąciło mnie z równowagi. Musiałem wyrzucić go za drzwi siłą. Stał na zewnątrz i wciąż obrzucał mnie inwektywami, już po zamknięciu przeze mnie drzwi na zamek. Po tym zdarzeniu bardzo ostrożnie dobieierałem ludzi, którym pozwalałem zrobić ze sobą wywiad.

Jednak większe szkody niż wizyta panowca podającego się za dziennikarza radia studenckiego, spowodowało włamanie do mojego domu pod koniec 1971 roku. Za pomocą wojskowych materiałów wybuchowych otworzono moją metalową szafkę na dokumenty i gruntownie przetrzebiono. Po powrocie do domu stwierdziłem, że podłoga jest zalana wodą i zasypana kawałkami tynku, szafka zniszczona, a większość dokumentów i wszystkie zużyte czeki skradzione. Cały dom splądrowano. Okna z tyłu zostały rozbite od zewnątrz, a zamki w drzwiach wyłamane. Policja przeprowadziła dochodzenie tylko *pro forma* i z cwaniackimi minami zwierzyli mi się, że ich zdaniem ja sam dokonałem włamania.

- Po co miałbym to robić? - spytałem inspektora, który zajmował się tą sprawą.

- O - odparł z szerokim uśmiechem - pewnie w celu odsunięcia od siebie podejrzeń.

Nigdy nikogo nie aresztowano, mimo że policja przyznała w pewnym momencie, że wie, kto to zrobił i gdzie znajdują się skradzione mi przedmioty. Na pocieszenie poinformowali mnie, że chociaż nie odzyskam swoich rzeczy, to z drugiej strony nie zostanę aresztowany. Widać nie znaleźli nic, co wystarczałoby do postawienia mi jakichkolwiek zarzutów. Doświadczenie to było dla mnie wielkim olśnieniem. Uświadomiło mi, jaką skalę przybrały nadużycia władzy i jak daleko posunął się proces likwidacji naszych konstytucyjnych swobód za prezydenta Fremonta. Opowiedziałem możliwie największej liczbie ludzi o włamaniu rabunkowym do mojego domu, lecz bardzo szybko się zorientowałem, że większość nie chce wiedzieć, nawet antywojenni liberałowie. Reagowali albo strachem, albo obojętnością, kilku zaś sugerowało, podobnie jak

policja, że najprawdopodobniej zrobiłem to sam, aby „odsunąć od siebie podejrzenia”; jakiego rodzaju podejrzenia, tego nie mówili.

Spośród przyjaciół, którzy okazali mi współczucie, wyróżniał się Nicholas. Uważał jednak, że włamano się do mojego domu skradziono dokumenty ze względu na niego. Wyobrażał sobie, że to on był prawdziwym celem.

- Chcieli się dowiedzieć, czy zamierzasz o mnie napisać. Ty jeden mógłbyś zwrócić na nich uwagę opinii publicznej, umieszczając ich w powieści fantastycznonaukowej. Miliony ludzi by o tym przeczytały. Tajemnica wyszłaby na jaw.

- Jaka tajemnica?

- Fakt, że reprezentuję władzę pozaziemską, która przewyższa wszelką władzę ludzką i na którą przyjdzie czas.

- A. No, ja sądzę, że to jednak mną się interesowali, ponieważ to do mnie się włamali i moje papiery przeczytali albo ukradli.

- Chcieli sprawdzić, czy tworzymy organizację.

- Chcieli sprawdzić, kogo znam. Do jakich organizacji należę i na konta jakich organizacji wpłacam pieniądze. Dlatego zabrali wszystkie moje zużyte książeczki czekowe, co do jednej, z parudziesięciu lat. Nie widzę tu żadnego związku z tobą i twoimi snami.

- A zamierzasz o mnie napisać? - spytał Nicholas.

- Nie.

- Tylko nie podawaj mojego prawdziwego nazwiska. Muszę się chronić.

- Kurczę - zezłościłem się - dzisiaj nikt nie zdoła się ochronić, skoro mamy Mission Checkup i wszystkich tych przyszczatych panowców, którzy węszą i spozierają zza szkieł grubych jak dno butelki coli. Skończymy w obozach Nebraski i dobrze o tym wiesz, do cholery. Jak możesz się spodziewać, że ciebie oszczędzą? Spójrz, co mi zrobili, zabrali mi notatki do przyszłych książek, owoc wieloletniej pracy. Można powiedzieć, że mnie zniszczyli. Już samo zastraszenie... psiakrew, za każdym razem, kiedy napiszę kilka stron, mam świadomość, że po powrocie ze sklepu mogę ich już nie zastać, tak jak tamtego dnia. Nic nie jest bezpieczne, nic i nikt.

- Myślisz, że były inne włamania tego typu?

- Tak.

- Nie czytałem o tym w gazetach.

Wpatrywałem się w niego dłuższą chwilę.

- Sądzę, że raczej by tego nie podano - zreflektował się zmieszany.

- Raczej nie. O włamaniu do mojego domu nikt nie napisał. Oprócz tego, że przez tydzień figurowało w rubryce „Kradzieże”. „Philip K. Dick z Placentii poinformował nas, że wieczorem 18 listopada 1971 roku skradziono mu sprzęt stereofoniczny wartości 600 dolarów”. Ani słowa o skradzionych dokumentach, skradzionych książeczkach czekowych i szafkach otwartych za

pomocą materiałów wybuchowych. Jakby to było zwykłe włamanie, sprawka ćpunów, którzy szukali czegoś, co mogliby sprzedać. Ani słowa o ścianie za szafką, która poczerniała od gorąca wybuchu. Ani słowa o wielkiej stercie namoczonych ręczników i koców, których użyli do przykrycia metalowej szafki, kiedy detonowali C-3; uwalnia się tyle ciepła, że...

- Widzę, że znasz się na tym - przerwał mi Nicholas.

- Przystudiowałem ten temat - odparłem krótko.

- Zastanawiam się, czy moje czterysta stron notatek jest bezpieczne. Może powinienem je złożyć w sejfie bankowym.

- Wywrotowe sny.

- To nie są sny.

- Policja snów. Węsząca za wywrotowymi snami.

- Jesteś pewien, że to policja się włamała? To mogli być prywatni ludzie, źle ci życzący, dajmy na to... dajmy na to z powodu pronarkotykowego stanowiska, jakie zajmujesz w swoich książkach.

- W moich książkach nigdy nie było i nigdy nie będzie żadnego „pronarkotykowego stanowiska” - odparłem z gniewem. - Piszę o narkotykach i o braniu narkotyków, ale to nie znaczy, że jestem ich zwolennikiem. Inni ludzie piszą o przestępczości i przestępcach, ale nie czyni to z nich zwolenników przestępczości.

- Twoje książki trudno zrozumieć. Mogły zostać błędnie interpretowane, zwłaszcza po tym, co Harlan Ellison o tobie napisał. Twoje książki są takie... no, są świrnięte.

- Chyba masz rację.

- Naprawdę, Phil, piszesz dziwniejsze rzeczy niż którykolwiek z autorów amerykańskich, autentycznie psychotyczne książki, książki o wariatach i narkomanach, o wszelkiej maści odmieńcach i wyrzutkach społecznych; o ludziach, których nikt przed tobą nie opisał. Nie możesz mieć za złe rządowi, że interesuje się osobą, która pisze takie książki, prawda? Znaczący, twój główny bohater zawsze funkcjonuje poza systemem, jest życiowym wykołajcem, który w końcu w taki czy inny sposób...

- *Et tu*, Nicholas - przerwałem mu szczerze oburzony.

- Przepraszam, Phil, ale... znaczy, dlaczego nie możesz pisać o normalnych ludziach tak jak inni autorzy? O normalnych ludziach, którzy mają normalne zainteresowania i robią normalne rzeczy? A tak co otworzę twoją książkę, to jakiś wykołajec wegetuje za pensję z jakiejś beznadziejnej pracy, bierze narkotyki, jego dziewczyna jest w szpitalu psychiatrycznym, ale on mimo to ją kocha...

- Dobra, już wystarczy. Wiem, że to policja się do mnie włamała, bo dom za moim ewakuowano. Murzyńska rodzina, która tam mieszka, ma dziesięcioro dzieci, więc zawsze ktoś jest, bez przerwy. Wieczorem w dniu włamania zauważyłem, że dom z tyłu jest zupełnie pusty

i nikogo w nim nie było przez cały tydzień. A wszystkie wybite okna i wylamane drzwi u mnie znajdują się z tyłu, od ich strony. Żadni włamywacze pracujący na własny rachunek nie ewakuowaliby kilkunastoosobowej rodziny. To zrobiła policja.

- I zrobi to znowu, Phil. Przypuszczalnie chcieli sprawdzić, o czym jest twoja następna książka. A skoro już o tym mowa: o czym jest twoja następna książka?

- W każdym razie nie o tobie. To mogę ci zagwarantować.

- Znaleźli maszynopis?

- Maszynopis mojej nowej książki znajdował się w sejfie u mojego adwokata. Umieściłem go tam miesiąc przed włamaniem.

- O czym była ta książka?

Po chwili milczenia powiedziałem:

- O państwie policyjnym w Ameryce wzorowanym na radzieckim gułagu. Na tamtejszym państwie policyjnym, które wykorzystuje niewolniczą pracę więźniów. Ma tytuł *Płyńcie, lzy moje, rzekł policjant*.

- Co cię skłoniło, żeby dać maszynopis do sejfu u swojego adwokata?

Niechętnie przyznałem:

- Znaczący, kurczę, Nick. Szczerze mówiąc, miałem sen.

Dłuższa chwila milczenia.

Nicholas słusznie obawiał się zainteresowania PAN-u swoją osobą. Niedługo po naszej rozmowie, gdy siedział za swoim biurkiem w Progressive Records i słuchał kasyty z nowym wokalistą, dwóch panowców złożyło mu nie zapowiedzianą wizytę.

Dwaj agenci rządowi, dobrze zbudowani i w średnim wieku, mieli tłuste czerwone karki i obaj byli ubrani w nowoczesne jednorzędowe garnitury i eleganckie krawaty. Przyszli z aktówkami, które postawili na biurku między sobą a Nicholasem. Nicholasowi przypomnieli się dwaj agenci FBI, którzy odwiedzili go wiele lat wcześniej w Berkeley, ale tym razem nie był przestraszony i wściekły: był tylko przestraszony.

- Wydajemy za dużo protest songów? - spytał, myśląc sobie, że potrafi bez problemu wykazać, iż odpowiedzialność za to ponosi nie on, lecz szef promocji, Hugo Wentz.

Większy z agentów powiedział:

- Nie, pańska wytwórnia została przez nas zaklasyfikowana na poziomie trzecim, co jest bardzo dobrym osiągnięciem, przyszliśmy tutaj raczej po to, aby pogratulować firmie Progressive Records, która wypada znakomicie w porównaniu z większością branży fonograficznej.

- Sytuacja wygląda fatalnie - włączył się drugi agent. - Z czego z pewnością zdaje pan sobie sprawę, panie Brady. Regularnie nagrywa się mnóstwo komunistycznych piosenkarzy i nadaje w radiu wiele protest songów, mimo że sieci i ważniejsze rozgłośnie niezależne w większości z nami współpracują.

Nicholas wiedział, że nadawanie protest songów było wbrew polityce przyjętej przez stacje radiowe. Z tego właśnie powodu Progressive Records ich nie nagrywało. To miało się z celem: żaden didżej by ich nie puścił. Chodziło o biznes, a nie o zasady.

- Panie Brady, przyszliśmy tutaj w związku z następującym drugoplanowym aspektem działalności Mission Checkup - stwierdził większy z agentów. - W swojej pracy musiał pan spotykać się z wieloma wokalistami i zespołami, których wytwórnia nie zaangażowała, prawda? Podejrzewam, że podpisujecie kontrakt z jednym wykonawcą na stu.

Nicholas skinął głową.

- Wiemy również, jaką otrzymuje pan tutaj pensję - ciągnął większy z agentów. - I wiemy, że ma pan synka, który potrzebuje kosztownej opieki ortodontycznej, że jest pan zadłużony, że bardzo by pan chciał zamienić mieszkanie na dom, że Rachel grozi odejściem od pana, jeśli nie pošle pan Johnny'ego do specjalnej szkoły ze względu na jego jąkanie się... Dobre mam informacje? Omówiliśmy sprawę z pańskimi zwierzchnikami, chcą znaleźć jakiś sposób, aby panu pomóc, i mamy następującą propozycję: jeżeli dostarczy pan rządowi kopię słów piosenek każdego przesłuchiwanego wykonawcy o sympatiach prokomunistycznych, otrzyma pan ryczałtową sumę stu dolarów od jednego artysty. Według naszych szacunków mógłby pan w ten

sposób uzupełnić swoje miesięczne dochody o dwa tysiące dolarów, o których nie musiałby pan informować urzędu skarbowego. Byłyby to pieniądze wolne od podatku. Naturalnie ustalenie, którzy z podanych przez pana artystów są prokomunistyczni, należy do nas, ale nawet jeśli uznamy za takich tylko połowę pańskich typów, powinien pan osiągnąć...

- I gwarantujemy panu - włączył się drugi panowiec - że ten układ pozostanie między nami. Nikt inny, czy to w Progressive Records, czy gdzie indziej, nie dowie się o tym. Przydzielimy panu numer rejestracyjny, pod którym będzie pan składał raporty i wszystko, łącznie z wypłatami, będzie księgowane pod tym numerem.

- Ale jeśli ci artyści nie zostaną zaangażowani - spytał Nicholas - to co złego mogą zrobić?

- Mogą zmienić wymowę swoich tekstów - odparł większy z agentów - tak, aby przestały być prokomunistyczne, i dostać angaż gdzie indziej.

- Ale jeśli teksty przestaną być wywrotowe, to co to szkodzi? Po co się nimi przejmować?

- Kiedy zrobią karierę - wyjaśnił większy z agentów - znowu zaczną dyskretnie włączać do swoich tekstów trujące wywrotowe treści. A kiedy już wyrobią sobie markę, kiedy staną się sławni, bardzo trudno będzie ich usunąć. To potencjalnie bardzo niebezpieczna sytuacja: ktoś przemycy kontrowersyjne treści do zwyczajnych tekstów, a potem coraz bardziej radykalizuje ich wymowę. Rozumie pan zatem, dlaczego interesujemy się nie tylko tymi, którzy już coś nagrali i są znani. Musimy znać również nazwiska tych, którzy jeszcze nic nie nagrali.

- Pod pewnymi względami oni są najbardziej niebezpieczni - stwierdził drugi z agentów.

Tego samego wieczoru Nicholas opowiedział mi o swojej rozmowie z dwoma agentami rządowymi. Był już wtedy wściekły, wściekły i roztrzęsiony.

- Zamierzasz przyjąć propozycję? - spytałem.

- Kurczę, nie. - Ale potem dodał: - Wiesz co, nie mogę uwierzyć, że rząd naprawdę interesuje się tymi nieudacznikami. Myślę, że chodzi o sprawdzenie mojej lojalności. Ci dwaj panowcy chcieli mnie podejść. Wiedzieli o mnie wszystko. Wygląda na to, że mam swoje akta w Waszyngtonie.

- Każdy z nas ma swoje akta.

- Jeśli wiedzą o wadzie zgryzu Johnny'ego i o tym, co powiedziała mi Rachel, to na pewno wiedzą też o moich kontaktach z Valisem. Lepiej będzie, jeśli spalę moje notatki.

- Jak wyglądałyby akta na temat Valisa? Akta na temat wyższej formy życia z innego układu gwiazdnego... Ciekawe, pod czym by je zewidencjonowali. I czy uzyskałyby specjalne zaszeregowanie.

- Chcą się dorwać do Valisa za moim pośrednictwem.

- Valis cię obroni.

- Więc uważasz, że nie powinienem tego robić?

- Chryste, nie!

Wprawił mnie w osłupienie.

- Ale uznają mnie za nieprawomyślnego, jeśli odmówię. Tego szukają: dowodu na nieprawomyślność. I będą go mieli!

- Sraj na nich. A w każdym razie powiedz nie.

- Wtedy będą wiedzieli. I wyląduję w Nebrasce.

- W takim razie mają cię, cokolwiek byś zrobił.

- Otóż to. Mają mnie, odkąd ci dwaj agenci FBI naszli mnie w latach pięćdziesiątych. Wiedziałem, że moja opozycyjna przeszłość w końcu się na mnie zemści. Czasy berkeleyowskie... Powód, dla którego rzuciłem studia.

- Zepsułeś karabin.

- To był sabotaż! Już wtedy byłem pacyfistą, jednym z pierwszych. Wiedziałem, że pachołki Fremonta mnie wytropią. Wystarczyło im tylko przejrzanie zasobów archiwalnych na mój temat. Moje nazwisko wyskoczyło na monitorze, pierwszy działacz antywojenny w Ameryce. A teraz mam do wyboru współpracować z nimi albo zostać aresztowany.

- Mnie nigdy nie aresztowano, a udzielałem się w ruchu antywojennym dużo aktywniej niż ty. Przecież ty nie kiwnąłeś palcem, odkąd wyjechałeś z Berkeley. Odkąd przyszło do ciebie FBI.

- To niczego nie dowodzi. Jestem „uśpiony”. Na pewno uważają, że to Aramchek kontaktuje się ze mną nocami. Valis to mój kryptonim dla Radia Wolne Aramchek.

- Aramchek to słowo odcisnięte w płycie chodnikowej.

- Aramchek to wszystko, co sprzeciwia się Fremontowi. Posłuchaj, Phil. - Nicholas wziął głęboki, chrapliwy wdech. - Myślę, że będę musiał pójść na współpracę, a przynajmniej udawać.

- Dlaczego?

- Popatrz, co tobie zrobili. Włamali ci się do domu, połowa papierów zniknęła, od tego czasu nie możesz pisać, z przyczyn psychicznych, z przyczyn praktycznych. Boże drogi, przyjrzyj się sobie! Przecież ty masz nerwy w strzępach. Wiem, że nie śpisz po nocach, w każdej chwili się spodziewasz, że znowu przyjdą i splądrują ci dom albo cię aresztują. Widzę, co z tobą zrobili. W końcu jestem twoim najlepszym przyjacielem.

- Przeżyję.

- Nie masz żony i małego dziecka - stwierdził spokojnie Nicholas. - Żyjesz sam, Phil. Nie masz rodziny. Co by było, gdyby tego wieczoru, kiedy rozbili okna z tyłu i wylamali drzwi, twój synek był sam w domu? Mogliby...

- Czekali, aż wyjdę. Przez tydzień warowali na zewnątrz. Widziałem ich. Czekali, aż w środku nikogo nie będzie.

- Rząd zatrudnia do takich akcji komandosów, którzy wrócili z Wietnamu. Rewizja i rekwizycja, tak to nazywają. Operacja wojskowa z użyciem militarnych oddziałów i militarnych

materiałów wybuchowych. Widziałem odcisk buta wojskowego na szafie w twoim gabinecie; sam mi go pokazałeś. Phil, do twojego domu włamali się uzbrojeni żołnierze. A ja mam Rachel i Johnny'ego.

- Jeśli pójdziesz na współpracę, twoje ciało może przeżyć, ale dusza umrze.

- Będę im podawał bezużyteczne dla nich nazwiska. Agresywne rockowe teksty, które nic nie znaczą.

- A jak rozliczysz się ze swoim sumieniem, kiedy aresztują jednego z nieudanych artystów, na których doniesiesz?

Nicholas spojrział na mnie smętnie. Od początku naszej znajomości nigdy nie widziałem u niego takiej nieszczęśliwej miny.

- Bo aresztują - powiedziałem - i dobrze o tym wiesz. Wciąż mogą aresztować mnie. Dalej wisi mi to nad głową.

- O to mi właśnie chodzi. Nie chcę, żeby to wisiało nad moją głową, ze względu na Rachel i Johnny'ego. Chcę być przy moim synku, kiedy będzie dorastał. W moim życiu nie ma nic cenniejszego. Nie chcę się znaleźć w obozie pracy przymusowej na jakimś zadupiu i plewić chwastów pod uprawę rzepy.

- Ferris Fremont zawładnął nie tylko całym krajem. Zawładnął również ludzkimi umysłami. I zgnoił je.

- Biblia mówi: „Nie osądzaj”.

- Biblia mówi: „Moje królestwo nie jest z tego świata” - zirytowałem się. - Co oznacza, że trzeba się później gęsto tłumaczyć.

- Ja już tutaj muszę się gęsto tłumaczyć.

- To jest nic w porównaniu z tym, co cię czeka później. Pytałeś Valisa, co masz robić?

- Ja nie pytam Valisa. On, oni, sami mi mówią.

- Powiedz im, żeby ci kazali nie kablować.

- Na razie milczą. A skoro milczą, to zachowuję się tak, jakby wszystko było normalnie.

- Pójdziesz na współpracę z Mission Fuck-Up - tak to wszyscy szyderczo nazywaliśmy - a gwarantuję ci, że Valis już nigdy się z tobą nie skontaktuje.

- Muszę to zrobić, nie mam innego wyjścia.

- Na mój temat też złożysz raport? - spytałem. - Na temat mojej twórczości?

- Sami mogą sobie przeczytać twoją twórczość. Wszystko jest opublikowane.

- Mógłbyś puścić farbę o *Płyńcie, lzy moje*, bo to jeszcze nie wyszło. Wiesz, o czym to jest.

- Przykro mi, Phil, ale moja żona i syn są dla mnie najważniejsi.

- To ja po to się przenosiłem do południowej Kalifornii.. - powiedziałem z goryczą.

- Phil, nie mogę dopuścić do tego, żeby się dowiedzieli o Valisie. Przykro mi, ale to zbyt ważne. Ważniejsze niż ty, ja czy ktokolwiek inny.

Świadomość, że mój bliski przyjaciel będzie regularnie, za pieniądze, donosił pacholkom Ferrisa Fremonta, niezbyt mi się podobała. Kiedy sobie uzmysłowiłem, że Nicholas wie o mnie wszystko, co można wiedzieć, ogarnęło mnie dławiące i przytłaczające poczucie zagrożenia.

- Jeśli Valis istnieje, to cię obroni, jak sam mi dawno temu mówiłeś - przypomniałem mu. - A jeśli nie istnieje, to nie musisz go chronić, a tym samym nie masz powodu kablować. Tak czy inaczej powinienes im powiedzieć, żeby się wypchali.

W rzeczywistości myślałem o sobie. W mojej działalności antywojennej nie byłem aż tak ekstremalny i nie przewidywałem, żebym miał się zbytnio udzielać w przyszłości, ale panowcom to by wystarczyło. A Nicholas był poinformowany o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami.

Wtedy zaczął się pojawiać pierwszy prawdziwy wyłom w naszej przyjaźni. Nicholas niechętnie przyznał, że posiadane przez PAN dane na jego temat są niewystarczające, aby odmowa współpracy zagroziła jego rodzinie i posiadzie, widziałem jednak, że polemizuje w tej kwestii nie tylko ze mną, lecz także z sobą samym. Prawda była taka, że nie mogłem już ufać mojemu najdroższemu przyjacielowi Nicholasowi Brady'emu, którego znałem i kochałem od dawnych berkeleyowskich czasów. Łapsy wykonali swoje zadanie: wbili klin między dwóch mężczyzn, który dawniej mieli do siebie całkowite zaufanie.

Zniszczenie naszej przyjaźni odzwierciedlało w skali mikro to co działo się na wszystkich płaszczyznach amerykańskiego życia pod rządami F.F. Na podstawie tego, co przytrafiło się nam, można było wyrobić sobie pogląd, jak straszliwe tragedie rozgrywają się w całym kraju. Weźmy na przykład młodych artystów, którzy przychodzili do Progressive Records, aby zaprezentować swoje umiejętności wokalne-muzyczne. Pracownik wytwórni, który ich przesłuchiwał, był płatnym agentem, który donosił na nich służbom bezpieczeństwa. Bez wątpienia to samo działo się we wszystkich innych wytwórniach fonograficznych. Weźmy kolegów Nicholasa z pracy. Mielł teraz pośród siebie - przynajmniej potencjalnie - płatnego informatora, który uzupełniał swoje zarobki kosztem ich bezpieczeństwa i wolności. A wszystko po to, żeby mały Johnny mógł iść do ortodonty. Ależ powód!

Prawdziwy motyw był oczywiście inny: Nicholas martwił się o własną wolność i bezpieczeństwo. A zatem transakcja wymienna: narażał, a w każdym razie zamierzał narazić, na szwank wolność i bezpieczeństwo innych, aby uchronić siebie przed utratą tych wartości. Lecz gdyby wiele osób postąpiło tak samo, skumulowałyby się to w powszechne zagrożenie. Dla przykładu załóżmy, że dwóch panowców zwróciłoby się do mnie z propozycją, abym donosił na Nicholasa. Wiedziałem już, że istnieje realna szansa, iż on będzie donosił na mnie. Jak bym w związku z tym zareagował? Znalazłbym się w znacznie gorszej sytuacji i ich naciski mogłyby okazać się skuteczne.

Wkrótce poszłaby w ruch znana policyjna technika wzajemnego wygrywania ludzi

przeciwko sobie: „Lepiej zakapuj Nicholasa Brady’ego, zanim on zakapuje ciebie”. Innymi słowy, musisz zniszczyć swojego przyjaciela, zanim on zniszczy ciebie. Napuściliby nas na siebie, a jedynym zwycięzcą byłby Ferris F. Fremont. Policja stosuje te same numery od czasów Medów i ludzie wciąż się na nie nabierają. Po złożeniu pierwszego donosu, zwłaszcza za pieniądze, Nicholas do końca życia byłby podatny na policyjny szantaż. Policja podstawiła mu pętlę stryczka, a on dobrowolnie wsadzał do niej głowę. Wyprzedzał życzenia swoich prześladowców. Gdzie się podział człowiek, który wolał zepsuć karabin i zrezygnować ze studiów, niż wbrew swej woli uczestniczyć w szkoleniu wojskowym? Wyglądało na to że spłynął do rynsztoka wygodnego mieszczańskiego życia. Nicholas miał teraz ciepłą posadkę i świetne perspektywy na przyszłość, już nie wspominając o władzy nad ludźmi. Tu kryła się przyczyna. Idealizm ustąpił miejsca bardziej przyziemnym motywacjom: bezpieczeństwu, władzy i zapewnieniu bytu rodzinie. Czas dokonał na moim przyjacielu przerażającej czarodziejskiej sztuczki. Nicholas nie kroczył już ulicą, podśpiewując sobie stare piosenki marszowe z czasów hiszpańskiej wojny domowej. Co więcej, gdyby któryś z młodych artystów zgłosił się do niego z takim tekstem, Nicholas miałby okazję bez wysiłku zarobić sto dolarów.

- Powiem ci, co zrobię - przestrzegłem Nicholasa - jeśli będziesz szpiclował dla rządu. Po pierwsze, zadzwonię do szefostwa Progressive Records i ostrzegę ich. Po drugie, zaparkuję samochód przed waszym głównym wejściem i kiedy zobaczę młodych artystów idących w stronę budynku z gitarami, wielkimi nadziejami i absolutnym zaufaniem do ciebie, zatrzymam ich i powiem im, że płacą ci za...

- Psiakrew.

- Mówię serio.

- No to raczej nie mogę tego zrobić.

Na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi.

- Masz rację. Nie możesz tego zrobić.

- Zgnoją mnie. Jest tak samo jak z tymi typami z FBI, którzy przyszli do mnie w Berkeley. Im chodzi o mnie. Zdajesz sobie sprawę, jakie mogą być konsekwencje, jeśli zaszkodzą Valisowi?

- Valis może zadbać o siebie.

- Ale ja nie.

- W takim razie nie różnisz się od reszty z nas. Bo ja też nie mogę.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Płynął z niej następujący morał, którym nie podzieliłem się z Nicholasem: jeśli zamierzasz kablować na ludzi, nie zdradzaj się z tym nikomu. Rozmawianie tym ze mną było błędem, ponieważ natychmiast zaczęły nękać wizje Nicholasa składającego na mnie donosy.

Tego wieczoru zadzwonił do mnie znajomy policjant.

- Wiele osób ma dostęp do pańskiego domu, prawda? - spytał.

- No, chyba tak.

- Dostałem cynk, który panu przekazuję. Ktoś ukrywa u pana prochy i tutejsze PAN o tym wie. Jak nas wyślą, żebyśmy je znaleźli, to będziemy musieli pana aresztować.

- Chociaż wiecie, że kto inny je ukrywa?

- Tak. Takie jest prawo. Niech pan je lepiej znajdzie i wyrzuci do kibla, zanim zrobimy nalot.

Spędziłem resztę dnia na szukaniu narkotyków. W sumie znalazłem pięć działek w pięciu osobnych miejscach, w tym jedną w telefonie. Wszystkie zniszczyłem, ale nie mogłem mieć żadnej pewności, czy nie ma tego więcej. Poza tym osoba, która podłożyła mi to cholerstwo, mogła to zrobić jeszcze raz.

Następnego dnia przyszło do mnie z wizytą dwoje młodych panowców: smukły chłopak w białej koszuli, płóciennych spodniach i krawacie oraz dziewczyna w długiej spódnicy. Można ich było wziąć za mormońskich misjonarzy, ale oboje mieli opaski PAN-u. Młodzi panowcy byli najgorsi, więc widok moich gości nie zachwycił mnie. PAN-owskie młode kadry stanowiły żelazne ramię tej instytucji.

- Możemy usiąść? - spytał radośnie chłopak.

- Jasne - odparłem, nie ruszając się. Mój znajomy gliniarz ostrzegł mnie w samą porę.

Dziewczyna, ze skrzyżowanymi ramionami usadowiona na sofie, powiedziała:

- Mamy wspólnych znajomych. Nicholas Brady.

- A.

- Tak - podjął chłopak. - Jesteśmy jego znajomymi. Dużo o panu mówił. Jest pan pisarzem, prawda?

- Aha.

- Nie przeszkadzamy panu w pracy?

Wcielona uprzejmość i dobre wychowanie.

- Nie.

- Napisał pan kilka ważnych powieści - oznajmiła dziewczyna. - *Ubik*, *Człowiek na Wysokim Zamku*...

- *Człowiek z Wysokiego Zamku* - poprawiłem ją. Sypnęła się: nigdy nie czytali nic mojego.

- Pan i pan Brady - stwierdziła dziewczyna - niewątpliwie położyliście ogromne zasługi dla kultury masowej, pan swymi opowiadaniem, on jako osoba, która wyławia obiecujących muzyków. Czy to dlatego obaj mieszkacie w tym regionie, stolicy światowego przemysłu rozrywkowego?

- Orange County jest stolicą światowego przemysłu rozrywkowego?

- Południowa Kalifornia.

- No, łatwiej jest tutaj poznać odpowiednich ludzi.

- Pan i pan Brady przyjaźnicie się od lat, prawda? - spytał chłopak. - W Berkeley mieszkaliście w jednym pokoju.

- Aha.

- Potem on się tutaj przeprowadził, a po kilku latach pan do niego dołączył.

- No tak, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Zechciałby pan podpisać pod przysięgą oświadczenie o lojalności politycznej Nicholasa Brady'ego i jego żony?

Zupełnie zaskoczony wykrztusiłem:

- Co?

- Czy też nie zechciałby pan?

- Oczywiście, że tak.

- Poprosimy pana, aby pan przygotował takie oświadczenie w ciągu najbliższych kilku dni - powiedziała dziewczyna. - pomożemy panu zredagować ostateczną wersję w naszej siedzibie. Zostawimy panu kilka wzorów, na których będzie się pan mógł oprzeć, wraz z podręcznikiem.

- Po co? - spytałem.

- Aby pomóc pańskiemu przyjacielowi.

- Dlaczego potrzebuje pomocy?

- Nicholas Brady ma podejrzaną przeszłość, sięgającą czasów Berkeley - odparł chłopak. - Jeśli ma zachować zajmowane obecnie stanowisko, będzie mu potrzebne wsparcie przyjaciół. Jest pan gotów udzielić mu tego wsparcia, prawda? Jest pan jego przyjacielem.

- Udzielę Nicholasowi wszelkiego możliwego wsparcia i wszelkiej możliwej pomocy.

Mówiąc te słowa, poczułem instynktownie, że złapałem przynętę, wpadłem w jakąś niejasną policyjną pułapkę.

- Znakomicie - powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się, po czym oboje wstali i skierowali się do wyjścia. Chłopak położył plastikową teczkę na stoliku do kawy.

- Pańska wyprawka - wyjaśnił. - Instrukcje, użyteczne wskazówki, wzory. Jest pan pisarzem, więc z pewnością nie będzie pan z tym miał żadnych trudności. Poprosimy pana, aby oprócz oświadczenia na temat swego przyjaciela sporządził pan również krótki zarys autobiograficzny, aby osoba, która będzie czytała pańskie oświadczenie, trochę o panu wiedziała.

- Jakiego rodzaju zarys?

Teraz byłem już przerażony do głębi, nie miałem żadnych wątpliwości, że dałem się wciągnąć w pułapkę.

- To również jest ujęte w podręczniku - odparła dziewczyna, po czym oboje wyszli. Zostałem

sam z czerwono-biało-niebieską plastikową teczką. Usiadłem, otworzyłem teczkę i zacząłem przeglądać broszurę z instrukcjami, wydrukowaną na wysokiej jakości błyszczącym papierze. Widniała na niej prezydencka pieczęć i faksymile podpisu F.F.F.

Szanowny obywatelu!

Zostałeś poproszony o napisanie krótkiego tekstu na temat, który znany jest Ci najlepiej: siebie samego! Zależy wyłącznie od Ciebie, które sprawy uznasz za istotne, a które postanowisz pominąć. Jednakże zostaniesz zaklasyfikowany nie tylko pod kątem tego, co zamieścisz, ale również pod kątem tego, co pominiesz.

Być może o sporządzenie krótkiego życiorysu poprosiła Cię delegacja Twoich znajomych i sąsiadów, Przyjaciół Amerykańskiego Narodu. Być może robisz to z własnej inicjatywy. Być może zasugerowała Ci to policja z Twojej dzielnicy, mając na względzie...

Przeszedłem do broszury z instrukcjami, jak napisać oświadczenie o lojalności przyjaciela.

Szanowny obywatelu!

Zostałeś poproszony o napisanie krótkiego tekstu na temat, który jest Ci dobrze znany: Twojego bliskiego przyjaciela! Zależy wyłącznie od Ciebie, które sprawy uznasz za istotne, a które postanowisz pominąć. Jednakże oddasz swemu przyjacielowi największą przysługę, jeśli potraktujesz swoje zadanie w sposób możliwie najbardziej wyczerpujący. To, co o nim napiszesz, pozostanie, rzecz jasna, wyłącznie do wiadomości urzędu.

Być może o sporządzenie tego oświadczenia poprosiła Cię delegacja Twoich znajomych i sąsiadów, Przyjaciół Amerykańskiego...

Podszedłem do maszyny do pisania, wkręciłem papier i przystąpiłem do komponowania zarysu autobiograficznego.

OŚWIADCZENIE

Ja, Philip Dick, będąc zdrowy na umyśle i w miarę zdrowy na ciele, pragnę złożyć zeznanie na okoliczność bycia wysokim urzędnikiem organizacji zwanej przez jej wrogów Aramchekiem. Do organizacji tej należę od wielu lat. W trakcie mego szkolenia dywersyjno-szpiclowskiego nauczyłem się tak subtelnych i tak skutecznie zniekształcających rzeczywistość technik kłamstwa, że to, co mówię, jest pozbawione jakiegokolwiek wartości dla sprawujących władzę w tym - będącym obiektem naszej działalności - państwie, St. Zj. Am. Poczyniwszy te niezbędne wyjaśnienia, sporządzę teraz oświadczenie na temat mojego przyjaciela od czasów młodości, Nicholasa Brady'ego, który, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, od wielu lat jest tajnym stronnikiem

i zwolennikiem linii politycznej Aramcheku, zmieniając poglądy wraz z nieustannymi zmianami w oficjalnej doktrynie Aramcheku, która musi nadażać za fluktuacjami doktrynalnymi w Chińskiej Republice Ludowej oraz innych państwach socjalistycznych, nie wyłączając ZSRR, jednego z naszych najznakomitszych rekrutów w walce przeciwko Ludzkości, którą toczyliśmy od czasów powstania naszej organizacji w Średniowieczu.

Być może moje stanowisko stanie się jaśniejsze, jeśli dodam kilka słów na temat Aramcheku. Organizacja ta, będąca agendą Kościoła rzymskokatolickiego, wyznaje zasadę, że cel uświęca środki. Stosujemy zatem najszczytniejsze z możliwych środków, nie troszcząc się o cele, wiemy bowiem, że Pan Bóg w swej nieskończonej mądrości zanieś tam, gdzie trzeba, każdą kulę wystrzeloną przez zwykłego śmiertelnika. Przyjąwszy taką perspektywę, stosujemy wszelkie dostępne nam fortele, strategie i zasoby, dążąc do pomieszczenia szyków Ferrisowi F. Fremontowi, miłościwie nam panującemu marionetkowemu tyranowi St. Zj. Am. Pozwolę sobie podać jeden przykład. W czasach jego dzieciństwa za pomocą szablonu odcisnęliśmy nazwę naszej organizacji w płycie chodnikowej opodal domu, w którym urodził się nasz prezydent, chcąc jak najmocniej wbić mu do głowy fakt, że prędzej czy później DORWIEMY GO.

Podpisałem ten dokument, po czym przystąpiłem do analizy sytuacji, w której się znalazłem. Nie przedstawiała się najlepiej. Rozpoznałem tę czerwono-biało-niebieską plastikową teczkę. Był to słynny zestaw „I ty możesz zostać agentem”, jak to szyderczo nazywaliśmy - pierwszy krok w procesie przekształcania obywatela w aktywnego członka państwowego systemu wywiadowczego. Podobnie jak kontrola skarbową, nie omijało to żadnego obywatela. Tak się żyło za F.F.F.

Gdybym nie dostarczył zarysu autobiograficznego i oświadczenia na temat Nicholasa, panowcy złożyliby mi kolejną wizytę, lecz tym razem zachowywaliby się mniej uprzejmie. Gdybym dostarczył nie spełniający oczekiwań raport o Nicholasiu i sobie samym, grzecznie zażądałoby uzupełnienia nadesłanego materiału. Technika tę po raz pierwszy zastosowali Północni Koreańczycy na wziętych do niewoli Amerykanach: dostawałeś kartkę papieru i ołówek z poleceniem, abyś napisał o sobie, co ci się podoba, bez żadnych sugestii ze strony twoich strażników. To zdumiewające, jakie więźniowie ujawniali o sobie informacje, znacznie przekraczające swym zakresem to, co zeznaby pod presją. Kiedy przyszła godzina donoszenia, człowiek był największym wrogiem siebie samego, kablem zaciśniętym wokół własnej szyi. Gdybym siedział przy maszynie do pisania wystarczająco długo, powiedziałbym im wszystko o sobie i Nicholasiu, a kiedy skończyłby mi się zasób faktów, raczyłbym ich szalonymi konfabulacjami, obliczonymi na przykucie uwagi - i zaskarwienie sobie podziwu - mojej publiczności.

W człowieku tkwi katastrofalne pragnienie dogodzenia innym.

De facto niczym się nie różniłem od tych wziętych do niewoli Amerykanów: byłem jeńcem wojennym. Stałem się nim w listopadzie 1968 roku, kiedy F.F.F. został wybrany na prezydenta. Wszyscy nimi byliśmy. Przebywaliśmy teraz w ogromnym więzieniu, bez murów, ograniczonym przez Kanadę, Meksyk i dwa oceany. Byli strażnicy, klawisze, kable i gdzieś na Środkowym Zachodzie cela odosobnienia w postaci obozów internowania. Większość ludzi zdawała się tego nie zauważać. Nie było fizycznych krat i drutu kolczastego, nie popełnili przestępstw, nie zostali aresztowani ani postawieni przed sądem, nie spostrzegli zatem, że ich sytuacja uległa przerażającej zmianie. Był to klasyczny przypadek człowieka, który został porwany, nie ruszając się z miejsca. Ponieważ nigdzie ich nie zabrano i ponieważ sami wynieśli nową tyranie do władzy, głosując w wyborach, wszystko wydawało im się w porządku. Poza tym lekko licząc jedna trzecia z nich, gdyby miała świadomość, w jakim żyje systemie, uznałaby go za dobry pomysł. Jak im powiedział F.F.F., można było teraz doprowadzić do honorowego zakończenia wojny w Wietnamie, a w kraju do rozbicia tajemniczej organizacji Aramchek. Lojalni Amerykanie znowu mogli swobodnie odetchnąć. Ich wolność czynienia tego, co im się każe, została uratowana.

Ponownie zasiadłem do maszyny i sporządziłem kolejne oświadczenie. Miałem świadomość, jakie to ważne, aby dobrze się z tego wywiązać.

DO AMERYKAŃSKICH SIŁ POLICYJNYCH

Ja, Philip K. Dick, nigdy was nie lubiłem, a włamanie do mojego domu tudzież fakt, że skrzętnie chowacie prochy w moich gniazdkach i telefonie, mówią mi, że wy również za mną nie przepadacie. Przy całej mojej, odwzajemnianej, antypatii do was, jest ktoś, kogo jeszcze bardziej nie lubię, a mianowicie PAN NICHOLAS BRADY. Uważam, że wy także powinniście zapalać do niego antypatią. Pozwolę sobie wyniszczyć powody, dla których tak sądzę.

Po pierwsze, PAN NICHOLAS BRADY nie jest człowiekiem w zwykłym sensie tego słowa. Zawładnęła nim (a dokładniej, ku zaskoczeniu nas wszystkich pewnego dnia zawładnie) obca forma życia pochodząca z innego układu gwiazdowego. Przesłanka ta daje asumpt do daleko idących spekulacji.

Być może, zważywszy na to, że param się zawodowo pisaniem fantastyki naukowej, wyobrażacie sobie, że konfabuluje, aby sprawdzić waszą reakcję. Mylicie się, drogie siły policyjne. Jakże bym pragnął, aby tak było. Na własne oczy widziałem, jak PAN NICHOLAS BRADY dał dowód na to, że dysponuje niezwykłymi, nadprzyrodzonymi mocami, nadanymi mu przez pozaziemski i pozaludzki byt zwany Valisem. Widziałem, jak PAN NICHOLAS BRADY przenika przez ściany. Widziałem, jak topi wzrokiem szkło. Pewnego dnia, tytułem demonstracji swych oszałamiających mocy, PAN NICHOLAS BRADY sprawił, że na nie ogrodzonym pastwisku koło autostrady nr 91 zmaterializowało się Cleveland, po czym zniknęło, ku osłupieniu

wszystkich oprócz nas. Kiedy przyjdzie mu ochota, PAN NICHOLAS BRADY znosi ograniczenia czasowo-przestrzenne. Może wrócić do zamierzchłej przeszłości bądź przeskoczyć o wiele stuleci w przyszłość. Jeśli zechce, może przenieść się bezpośrednio na Alfa Centauri bądź jakąkolwiek inną...

Szlag trafił, pomyślałem. Przerwałem pisanie. Moim zamiarem było tak jaskrawe przerysowanie, aby panowcy nie wierzyli mi ani przez sekundę.

Zacząłem się więc zastanawiać nad chłopakiem i dziewczyną, którzy przynieśli mi zabójczy zestaw „I ty możesz zostać agentem”. Podczas rozmowy specjalnie im się nie przyglądałem, lecz obraz ich twarzy odcisnął mi się w pamięci. Dziewczyna, pomyślałem, całkiem-całkiem: ciemne włosy, zielone oczy, inteligentny wyraz twarzy, wiele lat młodsza ode mnie. Wtedy mnie to jednak nie zaniepokoiło.

Wziąłem do ręki czerwono-biało-niebieską teczkę i znalazłem przyklejoną do niej białą kartkę z nazwiskami i numerami telefonów dwójki panowców. Ano, pomyślałem, może jest inne wyjście z sytuacji. Może nie muszę zastosować się do ich żądań. Może powinienem poprosić o pomoc w przygotowaniu tych oświadczeń.

Kiedy opracowywałem w myślach strategię, jaką powinienem przyjąć wobec czarnowłosej dziewczyny z PAN-u, zadzwonił telefon. Był to Nicholas.

Powiedziałem mu, co się wydarzyło tego wieczoru.

- Zrobisz to? - spytał. - Napiszesz o mnie oświadczenie?

- No... - zacząłem.

- To nie takie łatwe, kiedy chodzi o ciebie samego, prawda?

- Kurde, stary, podkładają mi w domu prochy. Znajomy gliniarz dał mi cynk wczoraj wieczorem. Szukałem ich całą noc.

- Na mnie też coś mają. Albo mają, albo coś spreparują, tak jak w twoim przypadku. Jedziemy na tym samym wózku, Phil. Zdecyduj, co zamierzasz zrobić, ale jeśli na mnie doniesiesz...

- Proszę mnie, żebym poświadczył o twojej lojalności wobec ustroju - przerwałem mu, ale wiedziałem, że ma rację.

W pewnym sensie wpadliśmy do tego samego szamba. Metody nacisku były te same.

Nicholas miał słuszość, kiedy powiedział: „To nie takie łatwe, kiedy chodzi o ciebie samego”.

„Sraj na nich”, zasugerowałem mu kiedyś.

Bardzo użyteczna rada... Teraz przyszła kolej na mnie. I była to rzecz bolesna. Wbijiała mi się głęboko w duszę, świdrowała, jątrzyła, paliła. I nie przychodziło mi do głowy absolutnie żadne rozwiązanie.

Oprócz takiego, żeby zadzwonić do dziewczyny z PAN-u i spróbować ją omotać. Zależała od tego moja wolność, moje życie. A także wolność i życie Nicholas.

Dziewczyna nazywała się Vivian Kaplan. Zaczekałem godzinę, aby na pewno zdążyła wrócić do domu, po czym wykręciłem numer.

- Halo?

Przywitałem się, przedstawiłem i wyjaśniłem, że pisanie oświadczenia o Nicholasie idzie mi strasznie opornie.

- Może dlatego, że tak dużo o nim wiem. Chyba więcej niż ktokolwiek inny. Trudno zdecydować, co zamieścić, a co pominąć. W końcu chciałbym zostać pozytywnie sklasyfikowany.

Sądziłem, że to ostatnie zdanie ją przekona.

- Jestem pewna, że się pan z tym upora - odparła Vivian Kaplan. - Jest pan zawodowym pisarzem. Nawet gospodynie domowe i mechanicy jakoś sobie radzą.

- Może moje problemy wynikają właśnie z tego, że jestem zawodowym pisarzem.

- Jak to?

- No, piszę fantastykę. Jestem przyzwyczajony do zmyślania różnych rzeczy.

- Nie wolno panu nic zmyślać w tych dokumentach, Phil.

- Niektóre fakty z życia Nicholasa sprawiają wrażenie czystej fantazji, słowo daję!

To ją trochę zmieszało.

- Tak?

- Kompromitacja, która zmusiła go - zmusiła nas troje - do wyjazdu z Berkeley i osiedlenia się tutaj. W większości trzyma te sprawy w najgłębszej tajemnicy.

- „Kompromitacja”, „tajemnica” - powtórzyła Vivian.

- Nie mógł zostać w Berkeley. Czy wchodziłoby w grę, żeby pani przyszła do mnie jeszcze raz i omówiła ze mną tę sprawę?

- Ale tylko na chwilę - zastrzegła się Vivian.

- Tylko żeby pomóc mi zacząć - powiedziałem ucieszony. Pół godziny później mały czerwony chevy II zaparkował na moim podjeździe. Wsiadła z niego Vivian Kaplan, z torebką w dłoni i ubrana w krótki płaszcz ze sztucznej skóry. Wpuściłem ją do środka.

- Jestem pani naprawdę zobowiązany - zagadnąłem, posadziwszy ją w salonie. Wziąłem od niej płaszcz i powiesiłem w szafie.

Vivian wyjęła z torebki mały notatnik i długopis.

- Na czym polegała kompromitacja pana Brady'ego w Berkeley? Niech pan dyktuje, ja zaprotokołuję.

Przyniosłem z kuchni butelkę wina, pięcioletniego Louis Martini.

- Dziękuję, nie piję - powiedziała Vivian.

- Tylko na spróbowanie. To dobry rocznik.

- Jak na spróbowanie, to niech będzie.

Nalałem nam obojgu wina. Puściłem w tle muzykę i zrobiłem kameralne oświetlenie. Jednak Vivian chyba tego nie zauważyła. Skupiona czekała na to, co miałem do powiedzenia. Wina nawet nie tknęła.

- Nicholas rozmawia z Bogiem - oznajmiłem. Wytrzeszczyła oczy i rozdziawiła usta.

- To się zaczęło jeszcze w Berkeley. Jako dziecko był kwakrem. Jestem pewien, że macie to w swoich archiwach. Kwakrzy wierzą, że Duch Święty może nawiedzić człowieka i mówić do niego. Przez całe życie Nicholas czekał, aż Bóg - który jest tożsamy z Duch Świętym, zwłaszcza dla trynitarianina, a obaj z Nicholasem jesteśmy trynitarianinami⁷ - przemówi do niego. Kilka lat przed naszym wyjazdem z Berkeley, na początku lat sześćdziesiątych, Bóg przemówił do niego po raz pierwszy.

Vivian nic nie notowała, tylko słuchała.

- Od tego czasu Nicholas utrzymuje zażyłe stosunki z Bogiem. Rozmawia z nim tak samo jak my teraz ze sobą rozmawiamy.

- Chryste, to nie do wykorzystania - powiedziała Vivian. - Nie mogę tego umieścić w raporcie.

- Zna pani inne osoby, które regularnie komunikują się z Bogiem? Całe życie Nicholasa obraca się wokół tego. Mówienie do Boga i słuchanie Jego odpowiedzi to dla niego wszystko. Co zresztą zrozumiałe. Chciałbym być na jego miejscu.

Vivian odłożyła długopis.

- Jest pan pewien, że nie jest psychicznie chory? Mnie to przypomina historie opowiadane przez wariatów.

- Powinna to pani zanotować. Zdradzę pani kilka rzeczy które Bóg mu przekazał.

- Nic mnie to nie obchodzi! - zdenerwowała się Vivian - To nie ma żadnego podtekstu politycznego. Na co nam tego typu informacje?

- Bóg powiedział, że spuści plagi na cały ten kram i zmyje go z powierzchni ziemi. Plagi z gatunku płynnych, sądząc po tym, jak przedstawił sprawę. Coś z wodą.

- Co za pierdoły!

- Oświadczył również, jak się zdaje, że umieści na niebie tęczę. Już po fakcie, jako znak pokoju między Bogiem a człowiekiem.

- Nie stać pana na nic lepszego? - spytała cierpko Vivian.

- Mówiłem pani, że mam kłopoty z zapisaniem tego. Dlatego prosiłem, żeby pani do mnie przyszła.

⁷ Denominacja wymyślona przez autora.

Usiadłem na sofie obok niej i wziąłem do ręki jej długopis.

- Zapiszę pierwsze zdanie. „Nicholas Brady...”

- Ściągnął mnie pan tutaj, żeby mi opowiedzieć o przeżyciach religijnych pańskiego przyjaciela? Nie możemy nic zrobić w sprawie przeżyć religijnych. Bóg nie ma w sobie nic antypaństwowego. Nie figuruje na naszej liście. Nie ma pan dla mnie nic innego?

- W Berkeley rozmawianie z Bogiem to kompromitacja. Nick był tam skończony, kiedy zwierzył się z tego ludziom. Przepędzili go jak zwierzę.

- Czego można się spodziewać po Berkeley? Sami ateści i komuchy. Nie dziwi mnie to. Ale tu jest Orange County. Tu jest realny świat.

- Chce pani powiedzieć, że tutaj to nie stanowi problemu?

- Oczywiście, że nie.

Odetchnąłem z ulgą.

- W takim razie Nicholas nareszcie jest bezpieczny.

- Phil, na pewno wie pan o Nicholasiu inne rzeczy, które, rozumie mnie pan, które odsunęłyby te historie z Bogiem na dalszy plan.

- Boga nie można odsunąć na dalszy plan. Jest wszechmogący i wszechwiedzący.

- Mam na myśli w kontekście charakterystyki politycznej, którą próbujemy sporządzić.

- Niech się pani napije wina - zaproponowałem, podając jej kieliszek.

- Nie piję wina - odparła podnieconym tonem. - Ale przyniosłam ze sobą trochę super trawki.

Otworzyła torebkę i zaczęła grzebać w środku. Nie byłem szczególnie zaskoczony. To się zgadzało z moim obrazem metod stosowanych przez służby bezpieczeństwa.

- Potrzebuję pudełeczka do ugniecenia - powiedziała. - I coś płaskiego w rodzaju karty kredytowej. To się nada.

Znalazła w portfelu wizytówkę.

- Niech mi pani pozwoli zobaczyć.

Wyciągnąłem dłoń i Vivian położyła na niej lufkę trawy. Zaniósłem narkotyk do łazienki, gdzie natychmiast zamknąłem za sobą drzwi. Wrzuciłem marihuanę do ubikacji i spuściłem wodę. Nie znajdą w moim domu kontrabandy, a w każdym razie tej lufki.

- Co pan robi? - zawołała ostro Vivian zza zamkniętych drzwi. Zaczęła się dobijać. - Co pan zrobił?

Spuściłem wodę jeszcze raz, dla pewności, po czym niespiesznie otworzyłem drzwi.

- Wyrzucił pan do ubikacji? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak.

- Dlaczego? Zresztą nieważne. Stało się. Mam trochę świetnego haszu, zapalimy sobie. Na szczęście przyniosłam ze sobą fajeczkę.

Wróciła do salonu. Poszedłem za nią. Zdałem sobie sprawę że z haszem nie pójdzie mi już

tak łatwo. Nikt dobrowolnie nie rozstanie się z haszem, zwłaszcza po tym, co właśnie zrobiłem.

Vivian siedziała na sofie, bosą i z kolanami podciągniętymi pod brodę, i zapalała w fajeczce małą porcję haszu.

- Proszę.

Podawała mi fajeczkę, gdy poszedł z niej dym.

- To najlepszy hasz, jaki miałam od miesiąca. Można naprawdę odlecieć.

- Nie chcę w moim domu narkotyków.

- Nikt nie zobaczy.

- Jestem inwigilowany.

- Każdy myśli, że jest inwigilowany. Jaram od dwóch lat i ani razu mnie nie przyskrzynili.

- Tak, ale pani jest panowcem.

- Dlatego to dla mnie jeszcze bardziej niebezpieczne. Większość panowców nie bierze. To bardzo ryzykowne, być w PAN-ie i jarać. Mogę to robić tylko wśród takich ludzi jak pan. To jeden z powodów, dla których byłam zadowolona, kiedy mnie do pana przydzielili. Dlatego przyszedłem, kiedy pan zadzwonił, żebyśmy mogli sobie razem zajarać.

- Ja nie biorę.

- Oczywiście, że pan bierze. Wszyscy o tym wiedzą. Jest pan jednym z największych ćpunów w Ameryce. Można to przeczytać w notach biograficznych do pańskich książek. Weźmy to, co Harlan Ellison napisał w *Dangerous Visions*. Mamy to w trzech egzemplarzach. I wszyscy pana przyjaciele mówią, że pan bierze.

- To było zmyślane, żeby nakręcić sprzedaż.

- Bierze pan. Ale mówmy sobie na ty, skoro już razem jaramy, zgoda? - Skinałem głową. - Oddawaj fajeczkę. Teraz moja kolej się sztachnąć.

Fajeczki nie można tak łatwo spuścić z wodą w ubikacji, więc oddałem ją Vivian, która zaciągnęła się głęboko i twarz jej poczerwieniała.

Oddając mi fajeczkę, powiedziała, krztusząc się:

- Po haszu dostaję chcicy.

- Aha. No.

- A ty dostajesz chcicy?

Sztachnęła się jeszcze raz. Oczy miała szkliste i wzrok jej się rozmywał. Całe jej ciało wydawało się wiotkie, cudownie odprężone.

- Chodźmy do sypialni - zaproponowałem..- Za chwilę. Jak skończymy z haszem.

Dalej paliła, teraz rytualnie, opieszale i z delectacją. Jej troski, jej zdenerwowanie kwestią mojego raportu i wyrzuceniem przeze mnie lufki trawy - wszystko to się rozwiało.

Przyszła pora, aby się odegrać na tyranii politycznej, która mnie prześladowała. Kiedy mała Vivian Kaplan zostanie moją kochanką, nie będę się musiał więcej przejmować moim raportem.

Wzięłem ją za rękę, odłożyłem fajeczkę na stolik i postawiłem Vivian na nogi.

- Zżywasz pigułkę? - spytałem, kiedy ją prowadziłem korytarzem do sypialni. Musiałem ją podtrzymywać, żeby się nie osunęła na ścianę.

- Oczywiście, że tak - odparła.

Odruchowo zaczęła rozpinąć bluzkę, kiedy zbliżaliśmy się do otwartych drzwi sypialni. Nucąca pod nosem i uśmiechnięta pod wpływem haszu weszła do środka, a ja kopnięciem zamknąłem za nami drzwi.

- Chwileczkę - powiedziałem, gdy usiadła na skraju łóżka i zaczęła zdejmować spódnice. - Zaraz przyjdę.

Wróciłem do salonu, gdzie została fajeczka. Ostrożnie włożyłem ją do torebki Vivian i zasunąłem zamek - jeśli wpadnie policja i znajdzie narkotyk, nie będzie wątpliwości, do kogo on należy. Na przekór wysiłkom Vivian nie będą mogli mnie zapuszkować za posiadanie.

- Pospiesz się! - zawołała Vivian z sypialni. - Zaczynam odpływać.

Kiedy wróciłem, leżała naga na łóżku, a jej ubranie tworzyło stertę na krześle przy stoliku z maszyną do pisania.

- Czasami po haszu chce mi się spać - powiedziała. - Muszę od razu zabrać się do rzeczy, bo później jestem za bardzo odleciana.

Kochaliśmy się. Pod koniec Vivian istotnie zapadła w głęboki, niczym nie zmacony sen. Świetnie, mówiłem sobie, gdy szedłem na palcach do łazienki wziąć prysznic, jestem teraz panem sytuacji - a nie ofiarą. Ta dziewczyna nie będzie mnie już więcej szpiclowała. Zamieniłem wroga w coś jeszcze lepszego niż w przyjaciela: we współnika seksualnego.

Umyty wróciłem do sypialni i zastałem Vivian śpiącą pod kołdrą.

- Vivian - powiedziałem, szarpiąc ją za ramię - przynieść ci coś? Napijesz się czegoś?

- Jestem głodna - wymamrotała głosem ciężkim od snu. - Jak odleczę, to zawsze jestem potem głodna. Kiedy zaczynałam palić hasz, zjadałam później wszystko, co miałam w lodówce. Połowę kurczaka, pizzę, dwa hamburgery, karton mleka... Wszystko, co znalazłam.

- Mogę ci podgrzać zamrożoną wołowinę w cieście.

- Masz coś zimnego do picia, pepsa czy coś w ten deseń?

Miałem puszkę piwa bezalkoholowego Coors, którą jej przyniosłem. Vivian siedziała w bieliźnie na łóżku i piła piwo.

- Co robisz, kiedy nie pracujesz dla PAN-u? - spytałem. - Znaczący, chyba nie cały czas wykonujesz dla nich zlecenia?

- Uczę się.

- Gdzie? Stanowy w Fullerton? Santa Ana College?

- Valentia High. Jestem w ostatniej klasie. W czerwcu zdaję maturę.

- Chodzisz do ogólniaka! - wyrzekłem wstrząśnięty. - Vivian... - Odebrało mi głos.

Dygotałem ze strachu. - Ile ty masz lat, do jasnej ciasnej?

- Siedemnaście. We wrześniu skończę osiemnaście.

Chryste Panie! Wszystko zrozumiałem. Nieletnia. A seks z nieletnią to przestępstwo. Tak samo ciężkie jak prochy - nawet cięższe. Wystarczy, że zgłosi to policji. Automatycznie mnie aresztują.

- Vivian - zazgrzytałem zębami - nie masz prawa ze mną spać. Nie wiesz o tym? - Zacząłem gromadzić w jednym miejscu jej ubranie. - Musisz stąd natychmiast iść!

- Nikt nie wie, że tu jestem - odparła spokojnie Vivian. Dalej piła piwo. - Poza Billem.

- Co za Bill, do cholery?

- Chłopak, z którym tu dzisiaj przyszedłem. Powiedziałam mu, że zadzwonię do niego, jak wrócę do domu, żeby wiedział, że nic mi się nie stało. Jesteśmy zaręczeni.

Sytuacja mnie przerosła. Opadłem bezwładnie na krzesło naprzeciwko niej i wpatrywałem się w nią tępo.

- On się nie pogniewa - stwierdziła Vivian. - Bylebyś na czas złożył raport. Tylko na tym mu zależy, na gromadzeniu punktów. Mamy system norm i Bill zawsze przekracza normę. Jest najbardziej zaangażowanym panowcem w naszej grupie. Dlatego go lubię. Jakby równoważy moją, wiesz, obojętną postawę, jak oni to nazywają. Mało mi zależy na punktach i wyrabianiu normy. Po prostu lubię poznawać ludzi, których nam przydzielają.

A ja sam się w to wplątałem. To był mój pomysł, mój podstęp, zwabić dziewczynę wieczorem do domu pod jakimś pretekstem, żeby się z nią przespać. Chciałem zrobić hop do łóżka, a wylądowałem na więziennej pryczy. Cudownie. Co powinienem teraz zrobić? Mają mnie, bez dwóch zdań. Współpraca ze służbami albo więzienie okręgowe, nie mam innego wyboru. A w więzieniu okręgowym ludzie umierają, zatłuczeni pałkami na śmierć. To jest na porządku dziennym. Zwłaszcza więźniowie polityczni.

Będę do końca życia pisał raporty, powiedziałem sobie. I donosy na przyjaciół. Jeśli zażądamy, żebym napisał całą książkę o Nicholasie, będę musiał się zgodzić. Vivian Kaplan ma mnie w garści. Chyba zostałem wrobiony, pomyślałem nagle. Ona mnie skusiła. To dlatego wysyłają atrakcyjne młode dziewczyny; nieletnie, które nie wyglądają na nieletnie. Dziewczyny z haszem, długimi nogami i zachęcającym, niewinnym uśmiechem, które chętnie przyjadą do ciebie późnym wieczorem bez obstawy. Dziewczyny, których numery telefoniczne widnieją na tym cholernym zestawie donosiciela, wielkie jak byk. Równie dobrze mogłyby mieć wypisane na czole „Przeleć mnie”.

- Wróćmy do tej sprawy z Bogiem - powiedziała Vivian rzeczowym tonem. Hasz przestał działać i razem z nim z Vivian wyparowała słodycz. - Nie możesz tego wykorzystać, Phil. Nie interesuje nas to, że Nicholas Brady rozmawia z Bogiem. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy podtrzymuje związki z Partią Komunistyczną z czasów berkeleyowskich, kiedy był aktywnie

zaangażowany politycznie. Mój zwierzchnik sądzi, że Brady załatwił sobie pracę w Progressive Records, żeby móc dyskretnie lansować nowych lewicowych artystów. To ich stała metoda. Oczywiście sam Brady nie prowadzi żadnej działalności. Jednak musi utrzymywać kontakty z ludźmi, którzy udzielają mu instrukcji, choćby tylko korespondencyjnie. Mógłbyś czytać jego korespondencję, prawda? W ten sposób partia sprawuje kontrolę: pocztą z Nowego Jorku, gdzie operuje KGB. W ten sposób miejscowy rezydent jest powiązany z Moskwą i międzynarodową siecią planowania. Chcemy wiedzieć, którzy z zaangażowanych przez niego artystów są kryptokomunistami i od kogo otrzymuje polecenia. To są dwa zasadnicze kierunki...

- Nicholas chce po prostu zarobić parę groszy - przerwałem jej znużonym tonem. - Żeby go było stać na posłanie dziecka do ortodonta.

- Nie spotyka się z nikim z Nowego Jorku? Albo nie rozmawia przez telefon?

- Załóżcie mu podsłuch, ja mam to gdzieś...

- Gdybyś mógł dostać w swoje ręce jego billing i sprawdzić, czy dzwonił do Nowego Jorku, to by...

- Vivian, nie zrobię tego.

- Czego?

- Nie będę szpiclował Nicholasa. Ani nikogo innego. Spadajcie na drzewo. Zabieraj swój zestaw małego donosiciela i zjeżdżaj. Już się dosyć nasłuchałem.

- Sporo na ciebie mamy - stwierdziła Vivian po chwili milczenia. - Sporo osób dużo wie na twój temat.

- I co z tego? - odparłem zrezygowany i zmęczony tym wszystkim, gotowy rzucić rękami, cokolwiek miałyby się stać. Istniały granice tego, co mogli mi zrobić.

- Czytałam twoje akta.

- No i?

- No i starczy tego na postawienie zarzutów, które dałoby się udowodnić w sądzie.

- I tu się mylisz - powiedziałem, ale to ja blefowałem, nie ona. Oboje o tym wiedzieliśmy. Zauważyłem wyraz pewności na jej twarzy.

- Chcesz, żebyśmy dobrali się do ciebie zamiast Nicholasa?

Wzruszyłem ramionami.

- Da się to załatwić - ciągnęła. - Tak naprawdę możemy zniszczyć was obu, wasze życia są ze sobą splecione. Jak jeden się wywróci, to automatycznie pociągnie za sobą drugiego.

- Tak powiedział ci twój zwierzchnik w kwaterze głównej PAN-u?

- Omawialiśmy sprawę. W większej grupie.

- No to róbcie, co chcecie. Wiem już o prochach, które mi tutaj podrzucacie. Znalazłem je i zniszczyłem. Dostałem cynk.

- Nie mogłeś znaleźć wszystkiego.

- Jest tego nieskończona ilość?
- Nie, ale osoba, która je ukryła...

Urwała.

- Jeśli on potrafi je ukryć - odparłem ze znużeniem - to ja potrafię je znaleźć. A jak znaję, to po sprawie. Tak jak z trawką, którą przyniosłaś. Panowiec, który pali trawkę... To się nie trzyma kupy. Ty i twoja sakramencka fajeczka, Chryste Panie, jak tylko wyjęłaś trawkę, wiedziałem, że próbujesz mnie zrobić.

- Phil, już od dawna mamy na ciebie aż za dużo. To, co zrobiłam dzisiaj wieczór, to jest nic. Że się z tobą przespałam..

- Pozwól, że rzucę okiem na twoje prawo jazdy.

Przyszła mi do głowy pewna myśl. Może Vivian wcale nie jest nieletnia. Minałem ją pędem i pobiegłem do salonu. Vivian puściła się za mną, próbując mnie wyprzedzić, ale korytarz był za wąski. Pierwszy dotarłem do salonu i do jej torebki.

- Nie dotykaj tego! - wrzasnęła.

Złapałem jej torebkę, dałem z nią szpulę do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi na klucz. W ułamku sekundy wytrząsnąłem zawartość torebki na łazienkowy dywanik.

Prawo jazdy dawało Vivian dziewiętnaście lat. Nie była nieletnia. A więc za tą przynętą policyjną nie było sideł. Ten problem z głowy. Uzmysłowiło mi to jednak, jak niewiele mnie dzieli od przepaści, jak niewiele brakuje, abym wpadł w otchłań wiecznej zatury.

Otworzyłem drzwi łazienki. Vivian nie było nigdzie widać. Nadstawiłem ucha i usłyszałem jej głos gdzieś w oddali. Rozmawiała w sypialni przez telefon.

Kiedy tam wszedłem, odłożyła słuchawkę i zmierzyła mnie wyzywającym spojrzeniem.

- Mogę dostać z powrotem moje rzeczy? - spytała.
- Jasne. Leż na dywaniku w łazience. Sama sobie pobieraj.

Towarzyszyłem jej do łazienki, gdzie uklękła i zaczęła zbierać z podłogi dokumenty, kosmetyki, portfel i rozmaite drobiazgi.

- Co zrobiłaś? Zadzwoń do PAN-u i powiedz, że plan nie wypalił?

Vivian powkladała wszystko z powrotem do torebki, wstała z klęczek, bez słowa poszła do sypialni, aby włożyć buty, wróciła do salonu po płaszcz, po czym, zgromadziwszy wszystkie swoje rzeczy, łącznie z fajeczką do haszu, otworzyła drzwi frontowe i poszła podjazdem do swego samochodu.

Odprowadziłem ją. Noc była ciepła i przyjemna. Miałem doskonały nastrój. Uniknąłem kolejnej policyjnej pułapki.

- Jeszcze się zobaczymy, Phil - powiedziała Vivian.

- Nie - odparłem, otwierając dla niej drzwi samochodu. - Nie mam ochoty więcej się z tobą widzieć. W łóżku ani gdzie indziej.

- A jednak jeszcze się zobaczymy.

Vivian wsiadła i zapaliła silnik.

- Nic na mnie nie masz - stwierdziłem. - Nic mnie nie obliguje do tego, żebym się z tobą spotkał.

- Spytaj mnie, co robiłam, kiedy brałeś prysznic.

Patrzyłem, jak spokojnie siedzi za kierownicą.

- Ty...

- Schowałam tak, że nigdy nie znajdziesz.

Zaczęła szybko podciągać szybę do góry.

- Co schowałaś?

Złapałem za szybę, ale Vivian dalej kręciła korbką. Pociągnąłem za klamkę, ale guzik był wciśnięty.

- Kokainę - odparła.

Okno się zamknęło, wrzuciła bieg, samochód z rykiem szarpnął do przodu i z piskiem opon skręcił ostro w prawo. Stałem i patrzyłem bezsilnie, jak młoda funkcjonariuszka odjeżdża.

Gówno prawda, pomyślałem. Kolejny bluff, tak jak z nieletniością. Ale... Skąd mogę mieć pewność? Spędziłem pod prysznicem co najmniej piętnaście minut. Vivian Kaplan miała piętnaście minut zupełnej swobody, mogła przez ten czas schować wszystko, co chciała - schować, pogrzebać w moich rzeczach, przeczytać moje teksty, sprawdzić, co gdzie jest... Mogła zrobić wszystko, na co miała ochotę. Przypuszczalnie pójście ze mną do łóżka było podstępem obliczonym na odwrócenie mojej uwagi od zasadniczej sprawy. A zasadniczą sprawą był fakt, że funkcjonariuszka rządowa, która przedstawiła się jako taka i miała służbową opaskę, uzyskała ode mnie niczym nie obwarowane pozwolenie na poruszanie się po moim domu przez pełen kwadrans, bez świadków. Była u mnie całkowicie legalnie. Zaprosiłem ją. A wszystko po telefonie od znajomego gliny, który mnie przestrzegał.

Szkoda tracić czas na przestrzeganie mnie, powiedziałem sobie w nie kontrolowanym przyływie rozpaczliwej wściekłości. Jestem za mocno pieprzony. Nie słucham, co się do mnie mówi, dalej robię głupoty. Zapraszam ich do siebie. Potem zamykam się na piętnaście minut w kabinie prysznic, pozwalając im hasać po całym domu. Mogła mi podłożyć nie tylko prochy, ale nawet pistolet. Nie zatrzymam już tego, stoczę się na samo dno. Ofiara policyjnego podstępu, który został przeprowadzony idealnie, bo ja odważyłem za nich większość roboty.

Przypuścmy jednak, że to kolejne kłamstwo. Przypuścmy, że nie schowała żadnej koki. Działka koki jest mikroskopijna. Mógłbym szukać tygodniami i nie znaleźć, a jeśli nic nie ma, to doprowadzę się do szaleństwa, wpędzę się w paranoidalną psychotyczną gorączkę, lecz nie znajdę - nie znajdę i nigdy się nie dowiem, czy byłem parę centymetrów od celu, czy też kokaina nigdy nie istniała. Jednocześnie, w każdej sekundzie dnia i nocy, będę czekał, kiedy wpadną

gliny i mnie zgarną - wywalą dziurę w ścianie i natychmiast znajdą kokę. Dziesięć lat kicia.

Nagle zmroziła mnie myśl, że może Vivian dzwoniła, aby dać sygnał do akcji. Sygnał, na który policja czekała. Może Vivian dała im znać, że część podłożonych wcześniej narkotyków jest na swoim miejscu, że jeśli włamią się i zrobią rewizję, to coś znajdą.

W takim razie moje dni - moje godziny - są policzone. Nie ma sensu szukać. Lepiej usiąść. Wróć do domu i usiądź sobie.

Tak uczyniłem. Zamknąłem drzwi frontowe i usiadłem na sofie. Po jakimś czasie wstałem i włączyłem radio. Znowu usiadłem. Słuchałem publicznego wykonania koncertu fortepianowego Es-dur Beethovena, siedziałem, słuchałem, czekałem, nadstawiałem uszu, czy nadjeżdża samochód. To było okropne przeżycie. Czas rozciągał się nieskończenie. W końcu musiałem iść do kuchni i spojrzeć na zegar kuchenki gazowej, bo nie miałem nawet przybliżonego pojęcia, która jest godzina. Minęła godzina, potem dwie. Nikt nie przyjechał: żadnych aut, żadnego łomotania do drzwi, żadnej broni przeładowywanej „na pompkę” i mężczyzn w mundurach. Tylko włączone radio i pusty dom, jeśli nie liczyć mnie.

Przesunąłem ręką po czole. Było gorące i mokre od potu. Poszedłem do łazienki po termometr, strzepnąłem i zmierzyłem sobie temperaturę. 39,1: ze strachu i napięcia dostałem gorączki. Moje ciało rozchorowało się od stresu, któremu było poddawane, niesprawiedliwego i nie zasłużonego, ale bardzo realnego. Vivian postąpiła bardzo sprytnie, że się zmyła, kiedy tylko mi o tym powiedziała. Niezależnie od tego, czy mówiła prawdę. Gaz do dechy i rura. Jeśli się tu znowu pokaże, to ją zamorduję. Wie o tym. Nawet się nie zbliży.

Jeśli wyjdę z tego cały i zdrowy, powiedziałem sobie, to napiszę o tym książkę. Spróbuję to jakoś przemycić do powieści. Żeby inni wiedzieli. Osoba i postępek Vivian Kaplan przejdą do historii. Obiecuję to sobie, żeby mieć motywację do dalszego życia.

Nigdy nie przechodź po pisarzu, jeśli nie masz pewności, że się nie podniesie za twoimi plecami. Jeśli spalisz go na stosie, to sprawdź, czy rzeczywiście nie żyje. Bo jeśli przeżyje, przemówi. Przemówi w formie pisemnej, na zadrukowanej stronie, którą niełatwo jest zniszczyć.

Ale czy ja żyję? - zadałem sobie pytanie.

Czas pokaże. Na razie czułem się tak, jakby zadano mi śmiertelny cios, głęboko wbito klingę. Ból był nie do wytrzymania. Ale może przeżyję. Przeżyłem atak na swój dom. Przeżyłem bardzo wiele. Przypuszczalnie to też przeżyję. A wtedy PAN będzie miało kłopoty, zwłaszcza Vivian Kaplan.

Powiedziałem to sobie, ale tak naprawdę w to nie wierzyłem. Byłem przekonany, że PAN i ich szef Ferris Fremont trzymają mnie w garści. I sam zastawiłem na siebie pułapkę - to było najgorsze, to najbardziej bolało. Moja własna przebiegłość zdradziła mnie, wydała w ręce wroga. To było trudne do zniesienia.

Gliniarze nie przyjechali. Cokolwiek kombinowała Vivian Kaplan, rzecz rozeszła się po kościach i mogłem dać sobie na luz. Temperatura ciała wróciła do normy, ciśnienie krwi przypuszczalnie też. Zacząłem rozsądniej myśleć. Spytałem jednak prawnika, jak się zachowywać w związku z podkładaniem mi przez policję narkotyków.

- Niech pan napisze list do brygady antynarkotykowej Orange County. Przedstawi im sytuację.

- Czy oni...

- Dalej mogą zrobić panu nalot, ale jeśli znajdą w archiwach pański list, powinni potraktować pana z większą wyrozumiałością.

Nic się jednak nie zdarzyło. Znowu mogłem spać w nocy. Vivian najwyraźniej blefowała. Zacząłem zauważać, że dużo się wokół mnie blefuje. Widać policja upodobała sobie tę metodę. Dzięki niej podejrzanym sam wykonywał czarną robotę, jak dowodnie pokazało moje zachowanie.

Takich jak ja jedzą na śniadanie, powiedziałem sobie. Mój pomysł, aby zwabić Vivian i wytarzać się z nią na sianie, poważnie nadwreżył we mnie wiarę w moją taktykę. Straciłem przekonanie, czy rzeczywiście ja i ludzie tacy jak ja koniec końców zwyciężą. Aby tak się stało, musiałbym się wyleczyć z głupoty.

Rzecz jasna, opowiedziałem o wszystkim Nicholasowi. Rzecz jasna, nie dowierzał mi.

- Co zrobiłeś?! - zawołał. - Przespałeś się z panówką, która miała w torebce prochy? Chryste Panie! Gdyby dali ci piłkę do metalu ukrytą w cieście, przeciąłbyś kraty, ale nie żeby uciec z więzienia, tylko żeby się do niego zakraść. Chcesz, żebym przyniósł ci ciasto? Rachel z ochotą je upiecze. Piłkę załatw sobie sam.

- Vivian wykręcała mi tyle numerów naraz, że się zgubiłem.

- Siedemnastoletnia dziewczyna wsadza inteligentnego dorosłego mężczyznę do więzienia. Mimo że on jest superostrożny.

- To nie byłby pierwszy raz - stwierdziłem zgodnie z prawdą.

- Trzymaj się od niej z daleka - poradził mi Nicholas. - Żadnych kontaktów. Umilaj sobie czas z dziwkami, jeśli musisz. Z każdą, tylko nie z nią.

- Dobra - rzuciłem rozdrażniony.

Wiedziałem jednak, że jeszcze się zobaczę z Vivian Kaplan. Ona mnie znajdzie. W starciu z władzami będzie następna runda - może nawet kilka. Dopóki nie uznają, że Nicholas i ja jesteśmy całkowicie unieszkodliwieni.

Zadałem sobie pytanie, czy rzekoma opieka, którą Valis roztacza nad Nicholasem, obejmuje także mnie. W końcu jechaliśmy na tym samym wózku: dwie ważne stacje w sieci kultury popularnej, jak to ujęli panowcy. Filary *vox populi*, że się tak wyrażę.

Chyba jedynym podmiotem, do którego mogliśmy się zwrócić w tej tyrańskiej sytuacji, był Valis. Valis kontra F.F.F. Książę tego świata - Ferris Fremont - i jego wróg z innego wymiaru, wróg, o którego istnieniu Fremont nawet nie wiedział. Płód umysłu Nicholasa Brady'ego. Prognoza nie była zachęcająca. Wolałbym coś lub kogoś bardziej konkretnego. Ale lepsze to niż nic. Świadomość istnienia takiego sprzymierzeńca napawała pewną otuchą. Nicholas, podczas naszych zakonspirowanych rozmów w cztery oczy, roztaczał przede mną wizje zakrojonych na ogromną skalę operacji Valisa i jego transcendentnych sił przeciwko okrutnej niewoli, w której się znajdowaliśmy. To było z pewnością lepsze niż oglądanie telewizji, która wyświetlała głównie propagandowe fabuły wyśpiewujące peany na cześć policji, władzy w ogóle, wojny, wypadków samochodowych i Dzikiego Zachodu. W filmach tych zwyciężały proste cnoty. John Wayne stał się oficjalnym bohaterem ludowym Ameryki.

Po za tym nadawano cotygodniowe „Rozmowy z człowiekiem, któremu ufamy” - Ferris F. Fremont siedział w oświetlonej ogniem z kominka alkowie w Białym Domu.

Nakłonienie mas do słuchania przemówień Ferrisa Fremonta stanowiło niemały problem, ponieważ prezydent potwornie przynudzał. Ludzie czuli się tak, jakby siedzieli na nie kończącym się wykładzie z jakiegoś specjalistycznego zagadnienia ekonomicznego - i to było właśnie to, bo Fremont zawsze podawał statystyki podsunięte mu przez poszczególne resorty. Wszystko wskazywało na to, że za jego pozbawioną wyrazu osobą kryła się w Białym Domu potężna ekipa, nigdy nie widziana, która nieprzerwanym strumieniem dostarczała mu informacji na każdy temat związany z jego rządami. Fremont najwyraźniej nie uważał tego za nieciekawe.

- Wytop żelaza - mamrotał, błędnie odczytując połowę słów z kartki - wzrósł o trzy procent, wzbudzając uzasadniony optymizm w sektorze rolnym.

Zawsze miałem poczucie, że ponownie znalazłem się w szkole, a kwestionariusze, które musieliśmy później wypełniać, wzmacniały to wrażenie.

Lecz mimo że Ferris Fremont grał rolę prezentera danych dostarczanych mu przez jego ekipę, nie był marionetką. Kiedy oddalał się od scenariusza, który dla niego przygotowano, wychodziła na wierzch jego prawdziwa natura dzikiej bestii. Lubił to robić, kiedy wchodziły na tapetę sprawy związane z Ameryką i jej honorem. Miejscem, gdzie amerykańscy chłopcy strzegli tego honoru, była Azja Wschodnia, i Fremont nigdy nie przepuścił okazji do wygłoszenia jakiegoś zaimprovizowanego komentarza na ten temat. W takich chwilach jego ziemista twarz nabrzmiewała ponurą determinacją i, jękając się, wygłaszał deklaracje nieprzejednania skierowane do wszystkich tych, którzy przemyśli wali o wejściu w konflikt z potęgą amerykańską. Jeśli uwierzyć Fremontowi, mieliśmy tej potęgi na kopy. Połowa czasu schodziła mu na ostrzeganiu nieokreślonych wrogów naszego państwa, żeby z nim nie zadzierali. Z reguły przyjmowałem, że chodzi o Chińczyków, chociaż rzadko widział powód, by wymienić ich z nazwy. Jako człowiek urodzony w Kalifornii, zarezerwował dla Chińczyków specjalne miejsce

w swoim sercu. Jego słowa kazały podejrzewać, że Chińczycy policzyli nam zbyt drogo za położenie torów kolejowych - sprawa, o której nie potrafił zapomnieć, a zresztą honor by mu na to nie pozwolił.

Był najgorszym mówcą, jakiego w życiu słyszałem, słowo daję. Często życzyłem sobie, żeby niewidzialna ekipa jego komilitonów z Białego Domu wyłoniła ze swych szeregów osobę umiejacą mówić i wydelegowała ją, aby dokończyła wygłaszanie przygotowanej dla Fremonta przemowy. Jeśliby odziać tę osobę w odpowiednio dobrany prążkowany garnitur i krzykliwy krawat, niewielu ludzi zauważyłoby różnicę.

Te syntetyczne pogawędki nadawane były przez wszystkie stacje telewizyjne w porze najwyższej oglądalności i mądrzej było ich słuchać. Należało to robić przy otwartych drzwiach frontowych, aby patrole panowców mogły przeprowadzić wrywkowe kontrole. Rozdawali niewielkie kwestionariusze z różnymi prostodusznymi pytaniami na temat przemówienia z danego dnia. Należało zaznaczyć właściwe odpowiedzi i wrzucić kwestionariusz do skrzynki na listy. Olbrzymia ekipa w Białym Domu skrupulatnie sprawdzała odpowiedzi, aby się przekonać, czy ludność rozumie to, co słyszy. Mielśmy obowiązek wpisać na kwestionariuszu swój numer ubezpieczenia społecznego. Władze ewidencjonowały dane na temat obywateli według numerów ubezpieczenia społecznego. Każdemu zakładano teczkę, w której przechowywano przesłane pocztą testy wyboru, nikt nie wiedział, po co. Ocenialiśmy, że te czki muszą być bardzo opasłe. Może kwestionariusze zawierały pytania pułapki, tak jak część K w Minnesota MultiPhasic badająca poziom prawdomówności.

Czasami pytania rzeczywiście sprawiały wrażenie podstępnych i otwierały pole do odpowiedzi, które mogły ściągnąć na nas kłopoty.

Siła militarna Rosji w stosunku do wolnego świata (1) maleje; (2) wzrasta; (3) pozostaje mniej więcej na tym samym poziomie.

Rachel, Nicholas i ja, wspólnie wypełniając kwestionariusze, naturalnie zaznaczyliśmy (2). Głoszona przez władze ideologia stale podkreślała wzrastającą potęgę Rosji i potrzebę podwojenia budżetu zbrojeniowego przez wolny świat w celu dotrzymania kroku wrogowi.

Jednak dalsze pytanie kazało się zastanowić, czy to rzeczywiście jest właściwa odpowiedź.

Rosyjska technika jest (1) bardzo dobra; (2) przeciętna; (3) typowo nieudolna.

Jeśli zaznaczyłbyś (1), to by wyglądało, że komplementujesz komunistów. Odpowiedź (2) wydawała się najlepsza, bo przypuszczalnie była zgodna z prawdą, ale (3) było tak sformułowane, że należało sądzić, iż każdy prawomyślny obywatel powinien je bez zastanowienia zaznaczyć. W końcu czego można się spodziewać po zniewolonych słowiańskich umysłach? Oczywiście typowej nieudolności. To my jesteśmy bardzo dobrzy, nie oni.

Ale jeśli rosyjska technika jest typowo nieudolna, to jakim sposobem (2) ma stanowić poprawną odpowiedź na poprzednie pytanie? Jakim cudem kraj z typowo nieudolną techniką stał

się silniejszy od nas? Nicholas, Rachel i ja wróciliśmy do poprzedniego pytania i zmieniliśmy odpowiedzi na (1). Teraz nie kłóciły się już z „typowo nieudolną” techniką. Cotygodniowy kwestionariusz zawierał wiele pułapek. ZSRR, niby japoński zapasnik, był zarazem durny i cwany, silny i słaby, z dużymi szansami na zwycięstwo i skazany na nieuchronną porażkę. My, mieszkańcy wolnego świata, mieliśmy tylko jedno zadanie: nie ustawać w czujności. Temu służyło regularne wypełnianie kwestionariuszy.

Rozwiązanie powyższego dylematu podał nam tydzień później Ferris Fremont. Jakim sposobem naród z typowo nieudolną techniką stał się silniejszy od nas? Poprzez działalność wywrotową w naszym państwie, poprzez zwodzenie Amerykanów na manowce defetyzmu i podcinanie tym samym ich woli walki. Kolejny kwestionariusz zawierał pytanie na ten temat:

Największym wrogiem, któremu musi stawić czoło Ameryka, jest (1) Rosja; (2) nasz bezprecedensowo wysoki poziom życia; (3) tajne elementy infiltrujące nasze społeczeństwo.

Wiedzieliśmy, że należy odhaczyć (3). Jednak Nicholas był tego wieczoru w nieco wariackim nastroju. Chciał zaznaczyć (2).

- To nasz poziom życia nas zgubi, Phil - powiedział, puszczając do mnie oko. - Zaznaczymy wszyscy (2).

- A ja ci mówię, że zgubi nas robienie sobie jaj z kwestionariuszami - odparłem. - Oni traktują te odpowiedzi poważnie.

- Nawet ich nie czytają - zaproponowała Rachel. - Chcą tylko sprawdzić, czy ludzie słuchają cotygodniowych przemówień Fremonta. Jak mieliby przeczytać dwieście milionów kwestionariuszy na tydzień?

- Czytanie maszynowe, komputer to robi - wyjaśniłem.

- Głosuję za zaznaczeniem (2) przy tym pytaniu - oświadczył Nicholas i tak uczynił.

Wypełniliśmy kwestionariusze do końca, po czym z inicjatywy Nicholasa poszliśmy razem do skrzynki pocztowej, aby wrzucić trzy ofrankowane koperty dostarczane przez rząd.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedział do mnie Nicholas, gdy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz.

- Dobra.

Sądziłem, że chodzi mu o kwestionariusze. Nicholasa zaprzętało jednak coś innego. Gdy tylko zaczął mówić, zrozumiałem, dlaczego zachowywał się tak dziwnie.

- Odebrałem najbardziej zdumiewającą ze wszystkich dotychczasowych transmisję od Valisa - oznajmił ściszym, bardzo poważnym głosem. - Zupełnie mną to wstrząsnęło. To, co było wcześniej... Zresztą opowiem ci. Znowu ukazała mi się ta kobieta. Siedziała w nowoczesnie urządzonej kawiarni, na podłodze koło stolika do kawy. Miała wokół siebie kilkunastu facetów, wszystkich ubranych w drogie garnitury ze wschodniego wybrzeża, stroje członków establishmentu. Mężczyźni byli młodzi. Toczyli jakąś zażartą dyskusję. Nagle kobieta, kiedy

zdali sobie sprawę z jej obecności, ona... - Urwał - Włączyła swoje trzecie oko, to z obiektywem zamiast źrenicy Skierowała je na nich i, Phil, czytała im w duszach. Wszystkiego się o nich dowiedziała: co zrobili i nie przyznają się do tego co zamierzają. Cały czas się przy tym uśmiechała. Oni się nie domyślali, że kobieta ma to wszechwidzące oko i czyta w nich jak w książce. Nie było przed nią tajemnic, nie dało się przed nią nic ukryć. Wiesz, czego się o nich dowiedziała?

- Powiedz mi.

- Byli spiskowcami. Zorganizowali wszystkie zamachy: na doktora Kinga, obu Kennedych, Jima Pike'a, Malcolma X, George'a Lincolna Rockwella: szefa partii nazistowskiej... To wszystko ich sprawka. Phil, Bóg mi świadkiem, ona to zobaczyła. I kiedy na nią patrzyłem, spłynęło na mnie zrozumienie, kim ona jest: sybillą. Rzymską sybillą, która strzeże republiki. Naszej republiki.

Dotarliśmy do skrzynki pocztowej. Nicholas zatrzymał się, odwrócił do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Przekazała mi, że widziała ich i wie, co zrobili. I że odpowiedzą za to. Fakt, że ich widziała, gwarantuje to. Nie ma sposobu, aby uniknęli konsekwencji za to, co zrobili.

- A oni nie zdawali sobie sprawy z jej obecności.

- Nawet się nie domyślali, że ich czyny są znane, że ona o nich wie. Nie przyszło im to do głowy, dalej dowcipkowali i śmiali się jak paczka przyjaciół, a ona obserwowała ich tym trzecim okiem, okiem z obiektywem, i uśmiechała się razem z nimi. A potem oko z obiektywem zniknęło i znowu wyglądała jak zwyczajna osoba. Niczym się nie różniła od normalnych kobiet.

- Jaki jest cel spisku?

- To wszystko kolesie Ferrisa Fremonta - odparł Nicholas chrapliwym głosem. - Bez wyjątku. Dano mi do zrozumienia, zrozumiałem, że rzecz dzieje się w Waszyngtonie, w pokoju hotelowym, w luksusowym hotelu.

- Jezu. Więc tak, dostrzegam tu dwie odrębne informacje. Po pierwsze, nasza sytuacja jest gorsza, niż sądziliśmy. Po drugie, otrzymamy pomoc.

- O, ta kobieta nam pomoże, bez dwóch zdań. Mówię ci, stary, nie chciałbym być w ich skórze. A oni dalej szczerzyli kły i dalej się wygłupiali. Myślą, że im się udało. Są w błędzie. Już po nich.

- Myślałem, że raczej po nas.

- Nie, po nich.

- Musimy coś zrobić?

- Ty chyba nie, ale... - Nicholas zawahał się. - Myślę, że ja będę musiał coś zrobić. Myślę, że się mną posłużą, kiedy przyjdzie pora. Kiedy przystąpią do działania.

- Już przystąpili do działania. Choćby to, że ci powiedzieli. Jeśli powiedzą wystarczającej

liczbie ludzi, to będzie zupełnie inna rozmowa. Jeśli ludzie dowiedzą się prawdy o tym, w jaki sposób obecny reżim doszedł do władzy. Po trupach, po trupach kilku spośród najwybitniejszych postaci naszych czasów.

- To przerażające.

- Jesteś pewien, że ci się to wszystko po prostu nie przyśniło?

- To było we śnie - przyznał Nicholas. - Jeszcze nigdy mi czegoś takiego nie przetransmitowali. Phil, widziałeś, co się stało tego wieczoru, wiesz, z Johnnym.

- Czyli to Ferris i Fremont zlecił zamachy.

- Tego dowiedziała się sybilla, tak.

- Dlaczego wybrała akurat ciebie, żeby ci to przekazać?

- Phil, ile trwa wydanie książki? Od momentu, kiedy zaczynasz pisać?

- Minimum półtora roku.

- To za długo. Ona nie zamierza tyle czekać. Widziałem to po niej. Czuję to.

- A ile zamierza czekać?

- Myślę, że w ogóle. Myślę, że dla nich planowanie i działanie to jedno i to samo. Planują i działają jednocześnie. Dla nich pomyśleć, to zrobić. Są formą absolutnego intelektu, czystymi umysłami. Ta kobieta to wszechwiedzący umysł, przed którym nic się nie ukryje. Ciarki człowieka przechodzą.

- Ale to bardzo dobra nowina.

- W każdym razie dla nas. Już niedługo nie będziemy musieli wysyłać tych sakramenckich kwestionariuszy.

- Wiesz, co powinieneś zrobić? Powinieneś napisać do Ferrisa Fremonta, że rzymska sybilla podejrzwała jego i jego zbirów. Co wiesz o rzymskiej sybilli? W ogóle coś o niej wiesz?

- Sprawdziłem dziś rano w *Britannice* - powiedział Nicholas. - Jest nieśmiertelna. Pierwotna sybilla żyła w Grecji. Była wyrocznią boga Apolla. Potem strzegła Republiki Rzymskiej. Napisała kilka ksiąg, które otwierali i czytali, kiedy republice groziło niebezpieczeństwo. Myślę teraz o tych dużych, podobnych do Biblii księgach, które pokazywali mi na początku, kiedy zaczęły się moje doznania. Wiesz, sybilla stała się świętą postacią dla chrześcijan. Uważali ją za proroka, takiego jak prorocy hebrajscy. Czuwającego nad bogobojnymi, sprawiedliwymi ludźmi, aby nie stała im się krzywda.

Wydawało się, że właśnie tego nam potrzeba. Boskiej opieki. Strażniczka republiki odpowiedziała na wezwanie z drugiego końca tunelu czasu, jak miała w zwyczaju. W końcu czy Stany Zjednoczone nie były przedłużeniem Republiki Rzymskiej w linearnym czasie? Pod wieloma względami tak. Odziedziczyliśmy rzymską sybillę. Była nieśmiertelna, więc kontynuowała swoje dzieło po tym, jak Rzym zniknął... zniknął, lecz istniał dalej w nowych formach, z nowymi systemami językowymi i nowymi zwyczajami. Lecz zasadnicza idea

cesarstwa przerwała: jeden język, jeden system prawny, jedna moneta, dobre drogi - i chrześcijaństwo, w późniejszym okresie oficjalna religia Cesarstwa Rzymskiego. Po mrokach wczesnego średniowiecza stopniowo odbudowaliśmy, a nawet rozbudowaliśmy to, co było dawniej. Macki imperializmu sięgnęły aż do Azji Południowo - Wschodniej.

A Ferris F. Fremont jest naszym Neronem, pomyślałem.

- Gdyby opublikowanie książki nie trwało tak długo - odezwał się Nicholas - to uznałbym, że Valis mnie poinformował po to, żebym powtórzył wszystko tobie i żebyś ty wykorzystał to jako pomysł na fabułę. Ale czynnik czasowy wyklucza tę hipotezę... chyba że już to zrobiłeś.

Rzucił mi pełne nadziei spojrzenie.

- Nie - odparłem z całą szczerością. - Nigdy nie wykorzystałem ani jednej rzeczy z tego, co mi powiedziałeś. Za bardzo popieprzone.

- Ale w to wierzysz, co?

- Wierzę we wszystko. Jak mi kiedyś powiedział agent FBI, który mnie maglował: „Wierzysz we wszystko, co ci nagadają”.

- I nie możesz tego wykorzystać?

- To jest przeznaczone dla ciebie. Zwrócili się do ciebie, nie do mnie. Więc bierz się do roboty.

- Zabiorę się do roboty, kiedy dostanę sygnał. Bodziec aktywacyjny.

Więc dalej na to czekał. Czekanie musiało być dla niego trudne, ale z pewnością łatwiejsze niż konieczność podejmowania decyzji, co i kiedy zrobić. Wystarczyło, że zaczeka, aż bez żadnych działań z jego strony przyjdzie sygnał i aktywuje wielowiekową istotę, która w nim drzemała.

- Jeśli Valis zamierza usunąć Ferrisa Fremonta z urzędu - powiedziałem - to ciekawe, jak planuje tego dokonać.

- Może zsyłając na jego synów wady okołoporodowe.

Parsknąłem śmiechem.

- Wiesz, z czym mi się to kojarzy? Jehowa kontra Egipcjanie.

Nicholas nie odpowiedział na to. Szliśmy dalej.

- Jesteś pewien, że to nie Jehowa? - spytałem.

- Trudno jest udowodnić negatywną tezę, czyli że coś czymś nie jest.

- Ale czy poważnie rozważyłeś możliwość, że to Jehowa? Bo jeśli tak, to nie możemy przegrać, a oni nie mogą wygrać.

- Już po nich - orzekł Nicholas.

- Wiesz, co ich czeka? Zakrzepy, wysokie ciśnienie, problemy z sercem, rak; ich samoloty będą spadały na ziemię; owady zjedzą ich ogrody; na powierzchni ich basenów na Florydzie zakwitnie zabójcza pleśń. Wiesz, co to znaczy próbować się postawić Jehowie?

- Nie mów mi. Ja tego nie robię. Za nic w świecie bym tego nie zrobił.

- Bo nie ma w świecie nic gorszego.

Nagle Nicholas pochylił głowę i chwycił mnie mocno za ramię.

- Phil... Widzę tylko oślepiające karuzele ognia. Jak ja wrócę do domu? - Strach spowodował drżenie jego głosu. - Karuzele ognia, jak fajerwerki... Mój Boże, jestem praktycznie ślepy!

Tak zaczęła się jego wewnętrzna przemiana. Cóż za złowróżbny początek: musiałem odprowadzić go do domu, do żony i syna, jakby był dzieckiem. Przez całą drogę mamrotał ze strachu, kuląc się i trzymając mnie kurczowo. W życiu nie widziałem go takiego przerażonego.

Przez następny tydzień plamy ognia utrzymywały się, przesłaniając Nicholasowi widzenie, ale tylko w nocy. Upośledzone zostało widzenie nocne. Lekarz, który go zbadał, powiedział mu, że to przypomina zatrucie alkaloidami belladonny. Czy brał ostatnio dużo środków antyalergicznycy? Nie, odparł Nicholas. Po kilku dniach przestał chodzić do pracy. Kręciło mu się w głowie, a kiedy próbował prowadzić samochód, ręce mu drżały i nie miał czucia w stopach. Lekarz przypisywał to truciznie lub toksynie, lecz nie potrafił sprecyzować, o którą z tych możliwości chodzi.

Zaglądałem do Nicholasa codziennie. Jednego dnia zastałem go usadowionego przy stoliku, na którym stało kilka buteleczek witamin, łącznie z olbrzymim plastikowym flakonikiem witaminy c.

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytałem go.

Nicholas, który siedział blady i zmartwiony, wyjaśnił, że próbuje po swojemu wypłukać toksynę z organizmu. Wyczytał w swoich leksykonach, że witaminy rozpuszczalne w wodzie mają działanie moczopędne. Liczył na to, że jeśli weźmie ich wystarczająco dużo, to pozbędzie się błyskających kół poszarpanego, kolorowego ognia, które prześladowały go nocą albo kiedy mrugał.

- Sypiasz w nocy? - spytałem.

- Nie - przyznał. - Nic a nic.

Próbował zostawiać włączone radio, nastawione na muzykę młodzieżową, ale po kilku godzinach muzyka nabierała groźnych, złowieszczych tonów, a teksty ulegały groteskowym zniekształceniom, więc musiał wyłączać radio.

Lekarz podejrzewał, że to może być związane z nadciśnieniem. Robił też aluzje do ewentualnych narkotyków. Nicholas nic jednak nie brał. Byłem tego pewien.

- A jeśli już zasną - poskarżył się Nicholas drżącym głosem - to mam koszmarne sny.

Opowiedział mi jeden z nich. W tym śnie Nicholas był zamknięty w małej klatce u stóp Koloseum w starożytnym Rzymie. Po niebie latały olbrzymie skrzydlate jaszczury, które go szukały. W pewnym momencie wszystkie naraz go zauważyły. Znurkowały i natychmiast zaczęły otwierać drzwiczki klatki. Wzięty w pułapkę, o włos od śmierci, Nicholas mógł tylko próbować odstraszyć jaszczury sykiem. Wszystko wskazuje na to, że należał do jakiegoś bliżej nie określonego gatunku małych ssaków. Rachel zbudziła go z tego snu, a on, częściowo przytomny, wysunął język i dalej syczał wściekle i nieludzko, chociaż, powiedziała mi Rachel, oczy miał szeroko otwarte. Kiedy już całkiem oprzytomniał, opowiedział jej nieskładną historię o tym, jak szedł w stronę jaskini, w której mieszkał, prowadzony przez swojego kota Charleya. Rozejrzawszy się po pokoju, Nicholas zaczął biadolić z przerażeniem, że Charleya nie ma. Jak on

teraz znajdzie drogę bez swojego kota, skoro jest ślepy?

Od tej pory cały czas miał włączone radio, nastawione na młodzieżową muzykę. Aż do czasu, gdy któreś nocy usłyszał jak radio mówi do niego. Wulgarnym, agresywnym językiem.

- Nicholasie, ty kutasie - mówiło radio, naśladowując głos popularnej wokalistki, której ostatnia płyta właśnie była puszczana. - Posłuchaj, Nicholasie, ty kutasie. Jesteś gównem wart i umrzesz. Ty nieudaczniku! Nicholasie, ty kutasie! Umrzesz, umrzesz, umrzesz!

Słuchał tego, siedząc na łóżku, zupełnie rozbudzony. Tak, radio mówiło „Nicholasie, ty kutasie” i głos rzeczywiście przypominał głos znanej piosenkarki. Jednak, zdał sobie sprawę ze zgrozą, to była tylko imitacja. Głos był zbyt okrutny, zbyt metaliczny, zbyt syntetyczny. Mechaniczna parodia jej głosu. Zresztą ta piosenkarka nie powiedziała by czegoś takiego, a gdyby powiedziała, stacja by tego nie puściła. Słowa te skierowane były wyłącznie do niego.

Po tej historii już nigdy nie włączył radia.

W dzień brał coraz większe ilości rozpuszczalnych w wodzie witamin, zwłaszcza C, a w nocy leżał bezsennie, jego myśli gonity napędzane strachem, a przed oczami wirowały kolorowe piły tarczowe, zupełnie zasłaniając drzwi. A gdyby tej nocy zdarzyła się jakaś sytuacja awaryjna? Gdyby Johnny zachorował? Nicholas nie zdołałby zawieźć go do szpitala. Gdyby w ich bloku mieszkalnym wybuchł pożar, Nicholas przypuszczalnie nie trafiłby do wyjścia. Któregoś wieczoru dziewczyna, która mieszkała na drugim końcu korytarza, poprosiła go, żeby zszedł z nią na parter rzucić okiem na bezpieczniki. Zszedł z nią po zewnętrznych schodach, lecz kiedy chwilę później pobiegła na górę, żeby odebrać telefon, błąkał się po omacku w ciemnościach, spanikowany i zdeorientowany, aż w końcu Rachel zeszła mu na ratunek.

W końcu znalazł się w gabinecie psychiatrycznym, po raz pierwszy w życiu. Psychiatra zdiagnozował u niego stan maniackalny i przepisał mu leczenie węglanem litu. Oprócz witamin Nicholas faszerował się teraz tabletkami węglanu litu. Roztrzęsiony i przestraszony, nie rozumiejący, co się z nim dzieje, zamknął się w sypialni, nie mając ochoty - nie mogąc - nikogo widzieć.

Następna tragedia, jaka na niego spadła, przybrała postać ropnego i wrośniętego w kość zęba mądrości. Nicholas nie miał wyboru, jak tylko natychmiast umówić się na wizytę u doktora Kosha, najlepszego chirurga dentyścycznego w środkowym Orange County.

Pentotal sodu przyniósł mu wielką ulgę. Bodaj po raz pierwszy od trzech tygodni Nicholas całkowicie stracił świadomość. Wrócił do domu w dobrym nastroju, który się rozwiął, gdy prokaina przestała działać i w pozszywanej szczęce eksplodował ból. Przez resztę dnia Nicholas leżał, wiercąc się i kręcąc. Przez całą noc ból był tak dotkliwy, że Nicholas zapomniał o wirujących piłach tarczowych. Następnego dnia zatelefonował do doktora Kosha i poprosił o środek znieczulający.

- Nie dałem panu recepty? - spytał Kosh zdziwiony. - Zadzwoń do apteki i poproszę, żeby

zaraz panu dostarczyli. Przepisuję panu darvon-N. Ósemka wrosła w żuchwę. Musieliśmy jakby... no, rozborować żuchwę, żeby powyciągać kawałki zęba.

Nicholas siedział z nasiąkniętą torebką herbaty między szczękami i czekał, aż goniec z apteki zadzwoni do drzwi.

W końcu rozległ się dźwięk dzwonka.

Wciąż otępiały z bólu, Nicholas podszedł do drzwi i otworzył je. Za progiem stała dziewczyna z gęstymi czarnymi włosami, tak czarnymi, że aż mieniącymi się granatowo. Miała na sobie nieskazitelnie biały strój. Na jej szyi Nicholas zobaczył złotą kolie, ze złotą rybą zawieszoną między ogniwoami złotego łańcucha. Zafascynowany, hipnotycznie zapatrzony w naszyjnik, Nicholas nie potrafił wydusić z siebie ani słowa.

- Osiem czterdzieści dwa - powiedziała dziewczyna. Podając jej banknot dziesięciodolarowy, Nicholas spytał:

- Ten naszyjnik... co to jest?

- Starodawny symbol - odparła, podnosząc lewą rękę, żeby pokazać na złotą rybę. - Używany przez pierwszych chrześcijan.

Trzymając w ręku pudełko z lekarstwem, Nicholas patrzył, jak dziewczyna odchodzi. Stał tam dalej jak sparaliżowany, aż w końcu Rachel klepnęła go w ramię, żeby go przywrócić do przytomności.

Lekarstwo uśmierzyło ból i po kilku dniach Nicholas sprawiał wrażenie, że jest z nim lepiej. Dalej jednak odczuwał skutki zabiegu i pozostał w łóżku, żeby odpocząć. Piły tarczowe na szczęście zniknęły. Nie widział ich od wizyty u doktora Kosha.

- Chciałem cię poprosić o przysługę - powiedział któregoś dnia do Rachel wybierającej się na zakupy do Alpha Beta. - Mogłabyś mi kupić kilka świec wotywnych i szklany świecznik? Świecznik musi być biały, świece też.

- Co to jest świeca wotywna? - zdziwiła się Rachel.

- Taka krótka, gruba. Z takich, co się palą w kościołach katolickich.

- Do czego ci one potrzebne?

- Nie wiem - odparł szczerze Nicholas. - Chyba żeby... się wyleczyć. Muszę wrócić do zdrowia.

Był teraz spokojniejszy, ale bardzo słaby po zabiegu. W każdym razie wyglądało na to, że odzyskał spokój ducha. Lęk, dezorientacja i panika, które widzieliśmy na jego twarzy, nareszcie zniknęły.

Odwiedziłem go tego wieczoru.

- Jak twoje oczy? - spytałem.

- Dobrze.

Leżał na łóżku, w ubraniu, na stoliku obok płonąła biała świeca wotywna.

Gdy zamknąłem za sobą drzwi sypialni, Nicholas powiedział wpatrzony w sufit:

- Phil, naprawdę słyszałem, jak mówili to w radiu. „Nicholasie, ty kutasie, Nicholasie, ty kutasie”, bez końca.

Tylko mnie o tym powiedział.

- Jednocześnie wiem, że to niemożliwe, żeby w radiu tak mówili. Dalej słyszę w głowie ten głos. Mówi bardzo powoli, bardzo natarczywie. Jakby ktoś próbował mnie zaprogramować. Rozumiesz? Zaprogramować mnie, żebym umarł. Demoniczny głos. To nie był głos człowieka. Podejrzewam, że słyszałem go wiele razy we śnie, tylko nie zapamiętałem. Gdybym nie cierpiał na bezsenność...

- Sam powiedziałeś, że to niemożliwe.

- Możliwości techniczne istnieją. Na przykład elektroniczne nałożenie sygnału za pomocą małego nadajnika umieszczonego bardzo blisko, powiedzmy w sąsiednim mieszkaniu. Wtedy sygnał nie dotarłby do żadnego innego odbiornika oprócz mojego. Albo z przelatującego nad nami satelity.

- Z satelity?

- Satelity są wykorzystywane na szeroką skalę do nielegalnego wprowadzania sygnałów na częstotliwościach używanych przez amerykańskie stacje radiowe i telewizyjne. Zawsze chodzi o treści podprogowe. U mnie z jakiegoś powodu nastąpił przeciek do świadomości, co nie było przewidziane. Coś pochrzanili podczas transmisji. W każdym razie całkiem mnie to rozbudziło, czego na pewno nie mieli w planach.

- Kto miałby to robić?

- Nie wiem. Nie mam na to teorii. Pewnie jakaś agenda rządowa. Albo Sowietów. W dzisiejszych czasach po niebie lata mnóstwo tajnych radzieckich nadajników, które emitują na takie zaludnione obszary jak nasz. Nadają świństwa, śmieci, pikantne sugestie i nie wiadomo co jeszcze.

- Ale skąd twoje imię?

- Może każdy usłyszał swoje własne imię. Michaelu, ty cwelu. Johnie, ty kutafonie. Nie wiem. Nie mam już siły się nad tym zastanawiać.

Pokazał na świecę wotywną, która trochę migotała.

- To dlatego chcesz, żeby się cały czas paliła - powiedziałem ze zrozumieniem. - Żeby odpędzić...

- Żeby nie zwariować.

- Nick, wyjdiesz z tego, nic ci nie będzie. Wymyśliłem teorię. Wirujące karuzele ognia wzięły się z trucizn, toksyn, które sączyły ci do organizmu zaropiały ząb mądrości. To, co słyszałeś w radiu też. Miałeś silnie zatruty organizm, nie zdając sobie z tego sprawy. Teraz, kiedy już ci usunęli ząb, organizm się oczyści i wyzdrowiejesz. Dlatego już teraz czujesz się lepiej.

- A co ze złotym naszyjnikiem tej dziewczyny? I z tym, co powiedziała?

- Jaki to ma związek ze sprawą?

- Całe życie czekałem, aż zapuka do moich drzwi. Poznałem ją, kiedy ją zobaczyłem. To była ona, miała na szyi to, czego się spodziewałem. Musiałem ją zapytać, co to jest. Nie mogłem się od tego powstrzymać. Phil, ja zostałem zaprogramowany, żeby zadać to pytanie. Takie było moje przeznaczenie.

- Ale to nie było nieprzyjemne, w przeciwieństwie do pił tarczowych i tego, co słyszałeś w radiu.

- Nie - zgodził się ze mną Nick. - To było najważniejsze doświadczenie w moim życiu, jakby przebłysk... - Umilkł na dłuższą chwilę. - Nie wiesz, jak to jest, czekać rok za rokiem, zadając sobie pytanie, czy to... czy ona kiedykolwiek się pojawi, a jednocześnie wiedzieć, że się pojawi. Prędzej czy później. A potem, kiedy się tego najmniej spodziewasz, ale najbardziej tego potrzebujesz...

Uśmiechnął się do mnie.

Dokuczliwości w przeważającej mierze ustąpiły, ale powiedział mi, że wciąż widzi w nocy kolory. Nie poszarpane karuzele ognia, tylko niewyraźne plamy unoszące się w powietrzu. Kolory zmieniały się wraz z jego myślami, według określonego klucza. Kiedy w długich, hipnogogicznych stanach poprzedzających zaśnięcie myślał o czymś erotycznym, mgławicowe plamy koloru robiły się czerwone. Kiedyś wydawało mu się, że widzi Afrodytę, nagą, piękną i piersiastą. Kiedy jego myśli obracały się wokół spraw religijnych, barwne plamy przechodziły w nieskazitelnie białe.

Skojarzyło mi się to z czymś, co przeczytałem w *Tybetańskiej księdze umarłych*, z pośmiertnym istnieniem w Bar-do T'os-grol. Dusza napotyka w swej wędrówce różnobarwne światła. Każdy kolor symbolizuje inną bramę łona, inną formę powtórnych narodzin. Zadaniem odeszłej z tego świata duszy jest unikanie wszystkich złych bram łona i dotarcie do oślepiająco białego światła. Postanowiłem nie mówić o tym Nicholasowi. I bez tego miał wystarczająco poprzestawiane w głowie.

- Phil - powiedział - kiedy poruszam się między tymi różnokolorowymi plamami światła, to czuję... To bardzo dziwne. Czuję, jakbym umierał. Może podczas zabiegu nastąpiło coś śmiertelnego w skutkach. Ale nie boję się. To mi się wydaje, wiesz... To mi się wydaje naturalne.

„Naturalne” to ostatnie słowo, które przyszłoby mi w tym kontekście do głowy.

- Masz jakieś dziwne odloty, Nick.

Skinął głową.

- Ale coś się dzieje. Coś dobrego. Myślę, że najgorsze już minęło. Głos z radia, który ze mnie kpił i ordynarnie mnie obrażał, i piły tarczowe, które prawie mnie oślepiły, to było najgorsze. Czuję się lepiej z tą świecą. - Pokazał na mały, wąski płomień koło łóżka. - Dziwne... Nie byłem

nawet pewien, co znaczy słowo „wotywny”. Nie pamiętam, żebym się nim kiedykolwiek wcześniej posługiwał. Potrzebowałem akurat takiej świecy i umiałem o nią poprosić, wiedziałem, że to jest właściwe słowo.

- Kiedy wracasz do pracy?

- W poniedziałek. Oficjalnie jestem na bezpłatnym urlopie. Już nie na chorobowym. To było straszne, kiedy prawie oślepiłem i kręciło mi się w głowie jak diabli. Bałem się, że to nigdy nie minie. Ale kiedy zobaczyłem za progiem tę dziewczynę i symbol złotej ryby, wiesz, Phil, w greckiej religii orfickiej, około 600 roku p.n.e., pokazywali wtajemniczonymu złoty symbol i mówili mu: „Jesteś synem ziemi i gwiazdzistego nieba. Przypomnij sobie swoje narodziny”. To ciekawe: „Gwiazdzistego nieba”.

- I przypominał sobie?

- Tego od niego oczekiwano. Nie wiem, jak to naprawdę działało. Miał pozbyć się amnezji i zacząć sobie przypominać swoje święte początki. O ile dobrze zrozumiałem, o co chodziło w tych całych ceremoniach misteryjnych. To się nazywało anamneza: zniesienie amnezji, blokady, która uniemożliwia przypomnienie sobie. Wszyscy cierpimy na tę blokadę. Jest też anamneza chrześcijańska: pamięć o Chrystusie, Ostatniej Wieczerzy i Ukrzyżowaniu. W anamnezie chrześcijańskiej wydarzenia te są pamiętane na takiej samej zasadzie jak zwykłe zdarzenia z życia. To święty wewnętrzny cud wiary chrześcijańskiej. To się dzieje za sprawą chleba i wina. „To czyńcie na moją pamiątkę”. Czynisz to i natychmiast przypominasz sobie Jezusa. Chleb i wino, przystąpienie do komunii, sprowadzają to wspomnienie.

- Dziewczyna powiedziała ci, że ryba, symbol na złotym naszyjniku, to starodawny symbol chrześcijański. Jeśli więc doświadczysz tego, o czym teraz mówiłeś, anamnezy, to przypomnisz sobie Chrystusa.

- Chyba tak.

- Mam wrażenie, a właściwie teorię, że już wcześniej widziałeś czarnowłosą dziewczynę ze złotym naszyjnikiem. Przyniosła ci lekarstwo z apteki. Zdarza ci się czasem zamówić do domu, prawda? Może więc już u ciebie była. Albo mogłeś ją widzieć w aptece. Doręczyciele kręcą się po aptece, kiedy czekają na zlecenie. Czasami nawet stają za ladą. To by tłumaczyło szok rozpoznania, zwłaszcza że byłeś jeszcze naćpany pentotalem sodu. *Déjà vu*, wrażenie powstałe w warunkach wielkiego bólu i nie wywietrzałego jeszcze...

- Apteka, do której zadzwonił - przerwał mi Nicholas - jest niedaleko jego gabinetu, czyli w Anaheim. Nigdy tam nie byłem. Nigdy u nich nic nie zamawiałem. Ja kupuję w aptece w Fullerton, koło gabinetu mojego lekarza rodzinnego.

Milczenie.

- No to nici z mojej teorii - stwierdziłem. - Ale twoje fiksowanie się na naszyjniku w dalszym ciągu można wytłumaczyć bólem, stresem i działaniem pentotalu. Naszyjnik spełnił rolę obiektu

fiksacyjnego, jak kołyszący się zegarek hipnotyzera. Albo jak ten płomień świecy. - Pokazałem na świecę wotywną. - A wzmianka o „pierwszych chrześcijanach” nasunęła ci myśl, żeby kupić świecę wotywną. Od zabiegu byłeś bardzo podatny na sugestię, prawie jakbyś znajdował się w hipnotycznym transie. Zawsze tak się dzieje.

- Jesteś pewien?

- W każdym razie uważam to wyjaśnienie za logiczne.

- Miałem to niesamowite uczucie, słowo daję, Phil, przez kilka minut po zobaczeniu naszyjnika miałem to niewiarygodne wrażenie, że znalazłem się w starożytnym Rzymie, w pierwszym wieku naszej ery. Przysięgam. Powiedziała mi o tym symbolu i to się natychmiast stało rzeczywiste, absolutnie rzeczywiste. Obecny świat: Placentia, Orange County, USA, wszystko zniknęło. Ale potem wróciło.

- Sugestia hipnotyczna.

Po chwili milczenia Nicholas podjął:

- Jeśli umieram...

- Nie umierasz.

- Jeśli umrę, kto albo co będzie kierowało moim ciałem przez następne czterdzieści lat? To moja dusza umiera, Phil, nie moje ciało. Odchodzę. Coś musi zająć moje miejsce. I coś zajmie, jestem pewien.

Do sypialni wszedł kot Nicholasa, Pinky. Wielki kocur wskoczył na łóżko i zaczął pedałować łapkami, mrużąc. Patrzył na Nicholasa z uczuciem.

- Dziwnie wygląda ten twój kot - powiedziałem.

- Zauważyłeś, jak się zmienił? Zaczyna ewoluować. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, w jakim kierunku.

Pochyliłem się i pogłaskałem kota. Był dużo spokojniejszy niż zwykle, z zachowania bardziej przypominał owcę niż kota. Jakby tracił cechy mięsożercy.

- Charley - powiedziałem, przywołując sen Nicholasa.

- Nie, Charley odszedł - stwierdził Nicholas, lecz natychmiast się zreflektował. - Charley nigdy nie istniał.

- W każdym razie od jakiegoś czasu nie istnieje.

- Charley był zupełnie inny niż Pinky. Ale obaj służyli mi za przewodników. Każdy inaczej. Charley znał las. Bardziej przypominał kota totemicznego, takiego, jakiego miałby Indianin.

Na poły do siebie, Nicholas mruknął:

- Naprawdę nie rozumiem, co się dzieje z Pinkym. Nie chce już jeść mięsa. Kiedy mu damy, zaczyna drżeć. Jakby w jedzeniu mięsa było coś złego. Jakby Pinky był chory.

- Zdaje się, że przez jakiś czas go nie było?

- Niedawno wrócił - stwierdził Nicholas ogólnikowo. Nie rozwinął tej kwestii. - Phil, ten kot

zaczął się zmieniać w tym samym dniu, w którym po raz pierwszy zobaczyłem piły tarczowe i musiałeś mnie odprowadzić do domu. Po twoim pójściu leżałem na sofie z oczami przykrytymi ręcznikiem i Pinky wstał, jakby zrozumiał, że coś mi dolega. Zaczął tego szukać. Chciał zlokalizować i uleczyć chore miejsce, żebym poczuł się dobrze. Chodził po mnie i wokół mnie, szukał i szukał. Wyraźnie czułem, że robi to z troski o mnie, że mnie kocha. Nie znalazł chorego miejsca. W końcu umościł się na moim brzuchu i leżał tam, dopóki nie wstałem. Nawet z zamkniętymi oczami czułem, że dalej próbuje znaleźć dolegliwość. Ale przy takim małym mózgu... Koty mają naprawdę małe mózgi.

Pinky leżał na łóżku blisko ramienia Nicholas, mruczając i patrząc na niego z przejęciem.

- Gdyby tak umiały mówić - westchnął Nicholas.

- Wygląda, jakby próbował się z tobą porozumieć.

- O co chodzi? - spytał Nicholas kota. - Co chcesz powiedzieć?

Kot dalej wpatrywał się w jego twarz z wytężeniem. Nigdy nie widziałem u zwierzęcia takiego spojrzenia, nawet u psa.

- Nigdy wcześniej taki nie był - stwierdził Nicholas. - Przed tą zmianą. Przed piłami tarczowymi. Przed tym dniem.

- Tym dziwnym dniem.

Dniem, pomyślałem, kiedy życie Nicholas zaczęło ulegać przeobrażeniu, w wyniku czego stał się słaby i bierny, taki jak teraz: gotowy zaakceptować wszystko, co przyniesie los.

- Mówią - odezwałem się - że w ostatnich dniach, w epoce paruzji, w zwierzętach nastąpi przemiana. Wszystkie staną się oswojone.

- Kto tak mówi?

- Świadkowie Jehowy, między innymi. Pokazali mi książkę, którą próbują ludziom wcisnąć. Był tam obrazek, na którym różne dzikie zwierzęta leżały obok siebie, już nie dzikie. To mi przypomina twojego kota.

- „Już nie dzikie” - mruknął Nicholas.

- Ty też sprawiasz podobne wrażenie. Jakby wyrwali ci kły... Cóż, pewnie istnieje jakiś powód - zaśmiałem się.

- Parę godzin temu zapadłem w półsen i śniło mi się, że wróciłem do przeszłości, na grecką wyspę Lemnos. Widziałem złoto-czarną wazę, która stała na trójnożnym stole, i piękną kanapę... Był 842 rok p.n.e. Co się stało w 842 roku p.n.e.? To była epoka mykeńska, okres wielkiej potęgi Krety.

- Osiem czterdzieści dwa to cena za leki przeciwbólowe. Kwota, a nie data. Pieniądze.

Zamrugnął.

- Tak, były też dwie złote monety.

- Dziewczyna powiedziała do ciebie, „Osiem czterdzieści dwa”. - Chciałem, żeby się skupił,

oprzytomniał. - Pamiętasz?

A w duchu powiedziałem: Wróć, Nicholasie. Do tego świata. Do teraźniejszości. Wróć z tego innego świata, do którego uciekasz popychany przez ból i strach - strach przed władzami, strach przed tym, co nas wszystkich czeka w tym kraju. Musimy stanąć do ostatecznej rozprawy.

- Musisz walczyć, Nick.

- To, co się ze mną dzieje, nie jest złe. Jest dziwne i zaczęło się strasznie, ale to minęło. Myślę, że czegoś takiego się spodziewałem.

- Przepuszczają cię przez wyżymaczkę. Mnie by to zdenerwowało.

- Może inaczej nie da się tego zrobić. Co my wiemy o tego rodzaju procesach? Nic. Kto z nas kiedykolwiek był świadkiem czegoś takiego? Myślę, że dawniej tego rodzaju rzeczy zdarzały się często, ale teraz już nie. Poza moim przypadkiem.

Tego wieczoru wychodziłem od niego zatroskany. Nicholas postanowił poddać się temu, co się z nim działo, i kropka. Nikt, łącznie ze mną, nie mógł mu tego wyperswadować. Niby łódź bez wiosł puszczona z prądem, nie miał żadnej kontroli nad tym, dokąd płynie, pozwalał się nieść nurtowi do przodu w jednostajną ciemność.

Sądzę, że był to sposób na ucieczkę od Ferrisa F. Fremonta i wszystkiego, co on symbolizował. Szkoda, że ja nie mogłem postąpić tak samo. Mógłbym wtedy przestać się martwić, że uzbrojeni w nakaz rewizji panowcy wyważą drzwi i znajdą podrzucone mi prochy, że Vivian Kaplan złoży u prokuratora okręgowego jakąś sfabrykowaną skargę na mnie.

Kiedy Nicholas położył się tej nocy do łóżka, jak zwykle stwierdził, że nie może zasnąć. Myśli goniły mu coraz szybciej, a wraz z nimi plamy koloru wyrzucane przez jego mózg w półmrok sypialni. W końcu wstał i poczłapał bosy do kuchni po witaminę C.

I wtedy dokonał ważnego odkrycia. Od początku zakładał, że kapsułki w dużej butelce, podobnie jak w poprzedniej, mają sto miligramów zawartości substancji czynnej. Tymczasem była to witamina C o opóźnionym działaniu i jedna kapsułka zawierała nie sto, lecz pięćset miligramów substancji czynnej. A zatem Nicholas pięciokrotnie przekraczał dawkę, którą sobie wyznaczył. Szybko obliczył, że przyjmował ponad siedem gramów dziennie, plus inne witaminy. W pierwszej chwili go to wystraszyło, ale wytłumaczył sobie, że nic się nie stało, ponieważ witamina C rozpuszcza się w wodzie, zostaje wydalona z moczem w ciągu dwudziestu czterech godzin i nie akumuluje się w organizmie. Jednak siedem gramów dziennie to niemała dawka. Siedem tysięcy miligramów z górą! Niewątpliwie nasycił organizm. Doskonale, powiedział sobie, to powinno wypłukać wszystko, co było związane na poziomie komórkowym, łącznie z węglanem litu; witamina C wychodzi tak samo szybko jak wchodzi.

Wrócił do łóżka, teraz już trochę przestraszony, położył się na plecach i przykrył kołdrą. Świeca wotywna paliła się na stoliku po jego prawej ręce. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do

półmroku, zobaczył unoszące się w powietrzu plamy koloru, ale umykały od niego coraz szybciej, gdy jego myśli - maniackalne, jak powiedział psychiatra - nabierały rozpędu. Uciekają, pomyślał, tak samo jak moja głowa. Mój umysł odlatuje razem z nimi.

Wokół cisza. Po jego lewej Rachel...

Część druga

Nicholas

...spała głęboko, nieświadoma, że coś się dzieje. Pinky przysypiał gdzieś w salonie, przypuszczalnie na swoim ulubionym miejscu na sofie, a w pokoju dziecięcym Johnny spał smacznie w małym łóżku, które zastąpiło kołyskę. W mieszkaniu panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć dyskretnego buczenia lodówki w kuchni.

Mój Boże, pomyślałem, kolory umykają coraz szybciej, jakby osiągały prędkość ucieczkową; jakby były wysysane poza wszechświat. Pewnie dotarły na kraniec świata i znikają gdzieś dalej. I moje myśli razem z nimi? Zdałem sobie sprawę, że wszechświat wywracał się na drugą stronę jak rękawiczka. To było niesamowite uczucie i ogarnął mnie potworny strach. Coś się ze mną działo i nie miałem komu o tym opowiedzieć.

Z jakiegoś powodu nie przyszło mi do głowy, żeby obudzić żonę. Po prostu leżałem i obserwowałem plamy mgławicowego koloru.

Potem, gdy zamrugałem, dokładnie nade mną pojawił się pstrokaty prostokąt. Wzmozona czynność fosfeniczna, zdałem sobie sprawę. Przyszło mi do głowy, że wyzwoliły ją ogromne dawki witaminy C, które pochłonałem. Sam to wszystko spowodowałem, próbując się wyleczyć.

Nienaturalnie pstrokaty prostokąt mienił się i opalizował w samym środku mojego pola widzenia. Przypominał nowoczesny obraz abstrakcyjny. Prawie potrafiłem podać nazwisko artysty, ale tylko prawie. Błyskawicznie, w przerażającym tempie permutacji, które w branży telewizyjnej nazywają „szybkim montażem”, kadr wyważonych, proporcjonalnych kolorów ustąpił innemu kadrowi, równie estetycznemu. Na każde pięć sekund przypadało ich co najmniej dwadzieścia. Każdy kadr, każdy abstrakcyjny obraz natychmiast ustępował innemu. Całościowy efekt był oszałamiający. Paul Klee, powiedziałem sobie z podnieceniem. Widzę całą serię reprodukcji prac Paula Klee - a raczej prawdziwe obrazy, całą wystawę w galerii! Pod wieloma względami była to najcudowniejsza i najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką zdarzyło mi się w życiu widzieć. Mimo strachu i niemożności wyjaśnienia sobie tego zjawiska, postanowiłem dalej leżeć i cieszyć oczy tym spektaklem. Z pewnością nigdy wcześniej nie było mi dane tego rodzaju doświadczenie. Była to niezwykła, a nawet wyjątkowa okazja.

Oszałamiająca prezentacja nowoczesnej grafiki abstrakcyjnej trwała całą noc. Paul Klee ustąpił miejsca Marcowi Chagallowi, Chagall Kandinsky'emu, a Kandinsky artyście, którego stylu nie rozpoznawałem. Zobaczyłem dosłownie dziesiątki tysięcy grafik każdego mistrza po kolei... co po dwóch godzinach zrodziło we mnie pewną refleksję. Ci wybitni artyści przez całe życie nie stworzyli tylu dzieł. Było to po prostu niemożliwe. Widziałem ponad pięćdziesiąt tysięcy prac Paula Klee, jakkolwiek przyznaję, że znikwały tak szybko, iż nie mogłem wyraźnie uchwycić żadnych szczegółów, lecz miałem tylko ogólne wrażenie punktów równowagi fluktuujących w różnych obrazach, zmieniających proporcje ciemnych i jasnych kolorów,

zręcznych czarnych pociągnięć pędzlem, nadających harmonię czemuś, co w przeciwnym razie nie zasługiwałoby na miano wielkiej sztuki.

Miałem nieodparte wrażenie, że chodzi o telepatyczny kontakt z jakimś bardzo odległym miejscem, że kamera telewizyjna filmuje obrazy wiszące w jakimś muzeum. Przypomniałem sobie, że muzeum w Leningradzie posiada ponoć niezwykłą kolekcję francuskiego malarstwa abstrakcyjnego, co nasunęło mi wyjaśnienie, że radziecka ekipa telewizyjna raz po raz filmuje dzieła, po czym z ogromną prędkością przekazuje obraz mnie, na odległość dziesięciu tysięcy kilometrów. Hipoteza ta była jednak tak nieprawdopodobna, że nie mogłem jej zaakceptować. Bardziej prawdopodobne jest, że Sowieci przeprowadzają telepatyczny eksperyment, wykorzystując zbiory abstrakcyjnych dzieł jako materiał przesyłany na odległość jakiejś osobie, a ja z nieznanых przyczyn przechwyciłem - czy jak to nazwać - ten eksperyment, przypadkiem nastroiłem się na tę samą częstotliwość. Nadawcy nie chodziło o mnie, lecz mimo to widziałem tę wspaniałą ekspozycję nowoczesnej grafiki, całe zbiory leningradzkie.

Całą noc leżałem bezsenny i szczęśliwy, podłączony do tego radzieckiego spektaklu, czy cokolwiek to było. Kiedy wzeszło słońce, wciąż leżałem wyciągnięty na plecach, całkowicie przytomny, nie bałem się, nie czułem niepokoju, zażywszy ośmiogodzinnej kąpieli w tych dynamicznych fluktuacjach eksplodujących kolorów. Rachel wstała i marudząc, poszła nakarmić Johnny'ego. Kiedy sam podniosłem się z łóżka, stwierdziłem, że widzę normalnie, oprócz tego, że gdy zamknę oczy, to ukazuje mi się niezmienny, całkowicie stabilny fosfeniczny obraz tego, na co przed chwilą patrzyłem: sypialni, a moment później salonu z regałami bibliotecznymi, stojakami na płyty, lampą, telewizorem, meblami. Był nawet negatywowy Pinky, śpiący smacznie na swoim ulubionym miejscu na końcu kanapy, obok negatywowego „New Yorkera”.

Dany mi jest nowy rodzaj widzenia, pomyślałem. Nowy wzrok. Jakbym do tej pory był ślepy. Ale nie rozumiem tego.

Zazwyczaj sadzałem żonę naprzeciw siebie i z najdrobniejszymi szczegółami opowiadałem jej swoje nocne przeżycia, lecz nie tym razem. Były zbyt... zagadkowe. Skąd nadeszła transmisja telepatyczna? Czy należało w jakiś sposób odpowiedzieć? Napisać do Leningradu i potwierdzić odbiór?

Może witamina C wpłynęła na procesy metaboliczne zachodzące w moim mózgu, spekulowałem. W końcu jest to kwas, a zatem tak duże jej ilości doprowadziły do zakwaszenia mózgu. Przy niskim pH procesy umysłowe ulegają przyspieszeniu, poziom wzbudzenia neuronowego wzrasta. Może zjawiska fosfeniczne, w postaci wielobarwnych grafik, były efektem szybkiego synchronicznego samowzbudzenia neuronowego na nie używanych dotąd obwodach. W takim razie Leningrad nie miał tym nic wspólnego. Wszystko miało swój początek w wewnętrznych procesach zachodzących w mojej głowie.

GABA,⁸ zdałem sobie sprawę. Moje widzenia były efektem gwałtownego spadku poziomu GABA. Rzeczywiście nastąpiła nowa aktywność neuronowa, na obwodach do tej pory zablokowanych. Dobrze, że jeszcze nie napisałem do Leningradu.

Ciekawe, jakiego to rodzaju obwody neuronowe, pomyślałem sobie. Przepuszczalnie z czasem się dowiem.

Nie poszedłem tego dnia do pracy. Koło południa zjawił się listonosz. Chwiejnym krokiem zszedłem po zewnętrznych schodach do rzędu metalowych skrzynek na listy, wyjąłem pocztę i wróciłem do mieszkania.

Kiedy kładłem listy i ulotki reklamowe na stoliku w salonie, nagle spłynęła na mnie bardzo wyrazista intuicja i powiedziałem do Rachel:

- Pojutrze przyjdzie list z Nowego Jorku. Jest bardzo niebezpieczny. Chcę być tutaj, żeby go mieć, jak tylko zostanie przyniesiony.

Przecucie było nieodparte.

- List od kogo? - spytała Rachel.

- Nie wiem.

- Rozpoznasz go?

- Tak.

Nazajutrz nie było żadnej poczty, ale następnego dnia przyszło siedem listów, większość od terminujących młodych muzyków, listy przeadresowane do mnie przez Progressive Records. Rzuciwszy okiem na koperty bez ich otwierania, przeszedłem do ostatniego listu. Widniało na nim moje nazwisko i adres, lecz nie było adresu zwrotnego.

- To ten - powiedziałem do Rachel.

- Nie otworzysz?

- Nie.

Próbowałem wymyślić, co powinienem zrobić z listem.

- Ja otworzę - postanowiła Rachel i uczyniła to. - To tylko ulotka reklamowa - stwierdziła, kładąc zawartość koperty na stoliku.

Instynktownie, z nie znanych mi powodów, odwróciłem głowę, żeby tego nie widzieć.

- Reklama butów - sprecyzowała Rachel. - Z firmy wysyłkowej. Nazywają się „Prawdziwy Świat”. Ze specjalnym obcasem, żeby...

- To nie jest ulotka reklamowa. Odwróć.

Odwróciła.

- Ktoś napisał z tyłu swoje nazwisko i adres - powiedziała. - Jakaś kobieta. Nazywa się...

- Nie czytaj na głos! Nie chcę znać jej nazwiska. Jeśli mi przeczytasz, to zapamiętam.

⁸ GABA - Kwas gamma-aminomasłowy, inhibitor ośrodkowego układu nerwowego.

Pójdzie do moich archiwów pamięci.

- Pewnie jest dystrybutorem tych butów. Nick, nie ma się czym denerwować, to tylko buty.

- Daj mi długopis i ze trzy kartki papieru maszynowego, to ci pokażę.

Ja w tym czasie zastanawiałem się, co mam zrobić z tą ulotką - fizycznie i w sensie przenośnym. Ogarnął mnie śmiertelny strach, kiedy usiadłem przy stoliku nad reklamą butów, podczas gdy Rachel poszła po długopis i papier.

Musiałem przeczytać ulotkę, aby ją odszyfrować. Pewne słowa, nałożone wodnistoczerwono na czarne litery, odcinały się od reszty, jakby były wytłoczone. Szybko przepisałem je na osobną kartkę, którą podałem Rachel.

- Przeczytaj, ale tylko dla siebie, nie na głos.

Wahającym się tonem Rachel powiedziała:

- Tu jest wiadomość dla ciebie. Zawiera twoje imię.

- Co każą mi zrobić?

- Chodzi o nagranie pewnego... To się wiąże z twoją pracą, Nick. Chodzi o członków partii, którzy... Nic z tego nie rozumiem - Twój charakter pisma...

- Czyli to do mnie, związane z moją pracą w Progressive Records i nagrywaniem członków partii.

- Ale jak to możliwe? Przecież to jest normalna ulotka, wydrukowana w wielu egzemplarzach. Widziałam, jak wyłowiłeś tę wiadomość, wybierałeś słowa to tu, to tam... Te słowa rzeczywiście tam są, teraz ja też je widzę, kiedy patrzę na ulotkę. Ale skąd wiedziałeś, które wybrać?

- Inny kolor. Są kolorowe, a pozostałe normalne, czarne, bez koloru.

- Cały tekst jest czarny! - zaprotestowała Rachel.

- Nie dla mnie. - Wciąż byłem pogrążony w trwożnych, przytłaczających myślach. - Szyfr od partii. Instrukcje i nazwisko mojej szefowej, czy jak ją tam nazwać. Napisane przez nią własnoręcznie na odwrocie. Mój oficjalny kontakt.

- Nick - szepnęła Rachel - to straszne. Czy ty...

- Nie jestem komunistą - odparłem zgodnie z prawdą.

- Ale wiedziałeś, że to przyjdzie. I umiałeś to odszyfrować. Czekaleś na to.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

Po raz pierwszy wziąłem do ręki reklamę butów, odwróciłem i w tym momencie przemówił mi w głowie jakiś głos. Transformacja moich procesów myślowych, której celem było przekazanie mi wiadomości.

- Władze.

Tylko to jedno słowo - władze - gdy trzymałem w ręku ulotkę. Wbrew pozorom to nie przyszło od agenta KGB rezydującego w Nowym Jorku. To nie były instrukcje od partii. To była

falszywka. Ulotka funkcjonowała na trzech poziomach. Na pierwszym, widocznym dla Rachel, była to najzwyklejsza w świecie reklama. Na drugim, na który z nie wyjaśnionych powodów udało mi się przeniknąć, pozbawione sensu dane tworzyły zakodowaną informację. Nieważne, dlaczego udało mi się ją rozszyfrować, liczy się to, że bez problemu tego dokonałem. Na trzecim, najgłębszym poziomie, była to falszywka, podesłana mi przez policję. A ja siedziałem nad nią w swoim salonie-niepodważalny dowód na działalność antypaństwową. Wystarczy, aby na resztę lat posłać mnie do więzienia, łamiąc życie mnie i mojej rodzinie.

Muszę się tego pozbyć, zdałem sobie sprawę. Spalić. Ale co to da? Przyjdą następne. Dopóki policja mnie nie przyłapie.

Głos w mojej głowie ponownie przemówił. Tym razem go rozpoznałem. Głos sybilli, który słyszałem w moich wizjonerskich snach.

- *Zadzwoń do delegatury PAN-u w LA. Ja będę za ciebie mówiła.*

Poszedłem po książkę telefoniczną i znalazłem numer dyżurnego w głównej kwaterze PAN-u na południową Kalifornię, znajdującej się w Los Angeles.

- Co ty robisz? - spytała ze strachem Rachel, która poszła za mną. - Dzwonisz do PAN-u? Ale dlaczego? Boże święty, Nick, to samobójstwo! Spal tę ulotkę!

Wykręciłem numer.

- Przyjaciele Amerykańskiego Narodu, słucham?

Wewnątrz mego umysłu sybilla drgnęła i natychmiast straciłem kontrolę nad swoim aparatem głosowym. Oniemiałem. Potem ona zaczęła mówić za mnie, posługując się moim głosem. Spokojnym, beznamiętnym tonem mówiła do funkcjonariusza PAN-u na drugim końcu linii.

- Chciałem zgłosić - mówił mój głos, regularnie odmierzając akcenty, co nie przypominało mojego własnego rytmu - że jestem obiektem gróźb ze strony Partii Komunistycznej. Od wielu miesięcy usiłują mnie nakłonić do współpracy w pewnej sprawie zawodowej, lecz ja odmówiłem. Teraz usiłują osiągnąć swój cel za pomocą szantażu, siły i zastraszenia. Dzisiaj otrzymałem od nich pocztą zakodowaną wiadomość, w której mówią mi, co mam dla nich zrobić. Nie zrobię tego, choćby mieli mnie zamordować. Chciałbym wam przekazać tę zakodowaną wiadomość.

Po chwili milczenia funkcjonariusz PAN-u powiedział:

- Proszę chwilę poczekać.

Kilka stuknięć, potem cisza.

- Sprawa jest nadzwyczaj pilna - rzuciłem do Rachel.

- Halo? - odezwał się inny głos, który brzmiał starzej. - Zechciałby pan powtórzyć to, co przed chwilą powiedział pan dyżurnemu?

- Partia Komunistyczna szantażuje mnie, aby mnie zmusić do współpracy w pewnej sprawie zawodowej. Odmówiłem.

- Jakiego rodzaju sprawie zawodowej?

- Zajmuję kierownicze stanowisko w wytwórni fonograficznej. Nagrywamy artystów folkowych. Partia chce mnie zmusić do nagrywania piosenkarzy prokomunistycznych, aby przesłanie ich utworów, w tym także zakodowane, docierało przez radio do amerykańskich domów.

- Pańskie nazwisko?

Podąłem mu nazwisko, adres i numer telefonu. Rachel, zaszokowana, patrzyła na mnie bez słowa. Nie mogła uwierzyć, że zrobiłem to, co zrobiłem. Ja też nie mogłem uwierzyć.

- W jaki sposób pana szantażują, panie Brady? - spytał głos.

- Otrzymuję od nich zastraszające listy.

- Zastraszające listy?

- Listy obliczone na wywołanie reakcji podyktowanej strachem przed zemstą. Zakodowane. Nie potrafię odszyfrować całego kodu, ale...

- Wyślemy kogoś do pana. Niech pan dobrze pilnuje materiałów pisemnych, które są w pańskim posiadaniu. Będziemy chcieli je obejrzeć.

- Podali mi nazwisko kontaktu na wschodnim wybrzeżu - powiedziałem, a raczej zrobił to za mnie głos.

- Niech pan nie podejmuje kontaktu. Niech pan nie opuszcza swojego lokalu. Niech pan czeka na przybycie naszego przedstawiciela. Zostanie pan poinstruowany co do dalszych kroków. I dziękujemy za skontaktowanie się z nami, panie Brady. Dał pan wyraz patriotyzmu.

Mój rozmówca odłożył słuchawkę.

- Zrobiłem to - powiedziałem do Rachel. Spłynęła na mnie wielka ulga. - Zdjąłem sobie z szyi stryczek. Przypuszczalnie w ciągu godziny mielibyśmy nalot. A na pewno w ciągu najbliższej doby.

Teraz nie miało już znaczenia, czy przyjdzie policja. Zadzwoiłem, gdzie trzeba. Niebezpieczeństwo minęło, nie dzięki mnie czy jakiemuś mojemu pomysłowi, lecz dzięki sybilli.

- Ale przypuśćmy, że się okaże, że to przyszło od partii - powiedziała Rachel spanikowana.

- To nie jest od partii. Nie znam nikogo, kto należałby do partii. Nie jestem nawet pewien, czy partia istnieje. Jeśli istnieje, to nie pisałaby do mnie, zwłaszcza szyfrem.

- To może być pomyłka. Chcieli napisać do kogo innego.

- W takim razie srać na nich.

Zresztą wiedziałem, że list przysłały władze. A raczej sybilla o tym wiedziała. Valis wiedział. Valis, który objawił się w krytycznym momencie i uratował mnie.

- Po tym, co im powiedziałeś, pomyślała, że jesteś komunistą - lamentowała Rachel.

- Nie, nie pomyślała. Żaden komunistą by do nich nie zadzwonił, a już na pewno nie powiedziałby tego, co ja powiedziałem. Wezmą mnie dokładnie za takiego człowieka, jakim

jestem: za amerykańskiego patriotę. Srać na nich i srać na partię. Dla mnie to jeden pies. To partia robi czystki i zabija swoich wrogów politycznych. Ferris Fremont jest partią, i to partia zabiła Kennedych, doktora Kinga i Jima Pike'a, żeby przejąć władzę w Ameryce. Mamy tylko jednego wroga. Jest nim towarzysz Ferris Fremont.

Moja żona patrzyła na mnie oniemiała.

- Przykro mi - powiedziałem - ale to prawda. To jest wielka tajemnica. To jest główna rzecz, którą ukrywa się przed ludźmi. Ale ja wiem. Powiedziano mi.

- Fremont nie jest komunistą, tylko faszystą - odparła Rachel słabym głosem.

Twarz miała popielatą.

- ZSRR stał się faszystowski za Stalina - wyjaśniłem jej. - Teraz jest na wskroś faszystowski. Ameryka była ostatnim bastionem wolności, więc zawładnęli naszym krajem od wewnątrz, pod fałszywymi nazwiskami. Przywiązujemy zbyt wielką wagę do nazwisk, etykietek. Fremont jest pierwszym prezydentem komunistycznym i ja go obalę.

- Chryste Panie!

- Właśnie.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś okazywał tyle wrogości, Nick.

- Ten dzisiejszy list - odparłem rozjuszony - ta rzekoma reklama butów, to próba morderstwa, próba morderstwa wymierzona przeciwko mnie. Dorwę sukinsynów za to, że mi wysłali tę ulotkę, choćby to miała być ostatnia rzecz, którą w życiu zrobię.

- Ale... Nigdy wcześniej nie afiszowałeś się z taką nienawiścią do partii. W Berkeley...

- Nigdy wcześniej nie próbowali mnie zabić.

- Czy... - Z trudem mówiła; cała drżąca, usiadła na podłokietniku kanapy, koło Pinky'ego. - Czy PAN może ci pomóc?

- PAN. Wróg. Wymanewrowany przeciwko sobie samemu. Tak ich wykołuję, że sami odwalą całą robotę. Już to zrobiłem.

- Jak myślisz, ilu ludzi wie? Znaczący, o prezydencie Fremontie?

- Przyjrzyj się jego polityce zagranicznej. Traktatom handlowym z Rosją, sprzedaży zboża ze stratą dla nas. Daje im, co chcą. Stany są ich dostawcą. Robimy to, co oni nam każą. Jak skończy im się zboże, dostają zboże. Jak zaczyna im brakować...

- A nasz wielki potencjał wojskowy?

- To do trzymywania w szachu naszego narodu, nie ich.

- Jeszcze wczoraj tego nie wiedziałeś.

- Zrozumiałem, kiedy zobaczyłem tę reklamę butów. Kiedy zobaczyłem, że informacja od Partii Komunistycznej pochodzi również od PAN-u. Oni współpracują z KGB w Nowym Jorku, a nie walczą z nim. Jak KGB mogłoby działać otwarcie gdyby PAN im nie pozwalało? Jest jedno i tylko jedno środowisko wywiadowcze. I wszyscy jesteśmy jego ofiarami, gdziekolwiek żyjemy.

- Muszę się napić - zdołała wykrztusić Rachel.

- Odwagi. Nastąpił początek zmian. Osiągnęliśmy punkt zwrotny. Będą zdemaskowani. Staną przed sądem, co do jednego, i odpowiedzą za popełnione zbrodnie.

- Dzięki tobie?

Patrzyła na mnie z bojaźliwą miną.

- Dzięki Valisowi.

- Nie poznaję cię, Nick. Nie jesteś już tą samą osobą.

- Masz rację.

- Kim jesteś?

- Ich wrogiem. Który dopilnuje, żeby zostali wytropieni.

- Nie zrobisz tego w poje...

- Podadzą mi nazwiska innych.

- Takich jak ty?

Skinął głową.

- Czyli ten list - powiedziała Rachel - ta reklama butów nigdy by do ciebie nie dotarła bez zgody i współpracy władz amerykańskich.

- Zgadza się.

- A Aramchek?

Milczałem.

- Czy Valis to Aramchek? - spytała Rachel z wahaniem - A może nie powinieneś mi mówić. Może nie powinnam wiedzieć.

- Powiem ci... - zacząłem, ale natychmiast poczułem, że dwie niewidzialne dłonie chwytają mnie za ramiona. Uścisk był tak mocny, że stęknąłem z bólu. Rachel wytrzeszczyła na mnie oczy. Nie mogłem mówić. Skupiłem się wyłącznie na tym, żeby wytrzymać uścisk niewidzialnych dłoni, które mnie trzymały. W końcu mnie puściły. Byłem wolny.

- Co się stało? - spytała Rachel.

- Nic.

Łapczywie, nerwowo wciągałem powietrze do płuc.

- Miałeś taką minę... Coś cię chwyciło, prawda? Zacząłeś mówić coś, czego nie wolno ci powiedzieć. - Poklepała mnie delikatnie w ramię. - W porządku, Nick. Nie musisz mi mówić. Nie chcę, żebyś mi mówił.

- Może innym razem.

Pod wieczór zjawiło się u moich drzwi dwóch panowców, wysmukłych i czujnych młodzieńców.

W milczeniu obejrzeni reklamę butów, którą dostałem pocztą. Pokazałem im kartkę, na której zapisałem zakodowaną wiadomość.

- Jestem agent Townsend - powiedział pierwszy z panowców. - A to jest mój kolega, agent Snów. Okazał pan obywatelską czujność, zgłaszając nam to, panie Brady.

- Wiedziałem, że to przyjdzie - odparłem zgodnie z prawdą. - Znałem nawet dzień.

- Wyobrażam sobie - stwierdził agent Townsend - że komuniści z wielką chęcią pozyskaliby osobę na pańskim stanowisku. Ma pan władzę nad wielką liczbą artystów muzyków, prawda?

- Tak.

- Może pan podpisać kontrakt na nagrywanie, z kim pan chce?

- Muszę mieć zgodę dwóch innych osób, ale zazwyczaj podzielają mój pogląd.

- Nauczyły się szanować pańską ocenę?

- Tak.

- Czy partia już wcześniej próbowała nawiązać z panem kontakt? - spytał agent Snow.

- Jeszcze nigdy...

- Wiemy, że nigdy nie próbowali wywierać na pana nacisków. Ale czy był kontakt przez wspólnych znajomych, telefoniczny, drogą pocztową? Albo bezpośredni, przez ich agentów?

- Nie wiem. Miałem świadomość, że istnieje próba nawiązania kontaktu, presja, ale do tej pory była zbyt podstępna i subtelna, abym potrafił ją umiejscowić.

- Nie było konkretnej osoby?

- Nie.

- Czyli po raz pierwszy miał pan do czynienia z jawnym działaniem - orzekł agent Townsend.

- Tak.

- W pańskim przypadku - powiedział agent Townsend - popełnili błąd. Przechwytyjemy pańską pocztę, panie Brady. Przechwyciliśmy ten dokument i sami go zdekodowaliśmy. Wiedzieliśmy, o której godzinie znajdzie się w pańskiej skrzynce. Był pan obserwowany, kiedy pan go niósł na górę do mieszkania. Zmierzone, ile czasu zajęło panu zareagowanie na niego. Naturalnie chcieliśmy zobaczyć pańską reakcję. Szczerze powiedziawszy, nie spodziewaliśmy się, że pan do nas zadzwoni. Sądzieliśmy, że zniszczy pan list.

- Moja żona sugerowała, żeby go zniszczył. Ale to mogłoby zostać zinterpretowane na dwa sposoby.

- O tak! - stwierdził agent Townsend. - Jak nic na dwa sposoby. Czyta pan zakodowaną

wiadomość, a potem ją niszczy. To normalna procedura stosowana przez członków partii. Znam treść, to niszczyć, bo po co zostawiać dowody rzeczowe?

Sybilla dobrze mną pokierowała. Nie dając tego po sobie poznać, odetchnąłem z ulgą. Bogu niech będą dzięki za jej interwencję! Pozostawiony samemu sobie przypuszczalnie zniszczyłbym ulotkę, sądząc tak jak Rachel, że to wystarczy. I tym samym ściągnąłbym na siebie wyrok.

Zniszczenie wiadomości stanowiłoby dowód, że ją przeczytałem. Że wiedziałem, o co w niej chodzi. Zwyczajnej reklamy butów nie zanoszą do łazienki i nie spala nad wanną.

Przestudiowaawszy nazwisko i adres wypisane z tyłu ulotki, agent Townsend powiedział do agenta Snowa:

- To wygląda na pismo tej dziewczyny. - A do mnie: - Pański przyjaciel Philip Dick spotyka się z niejaką Vivian Kaplan. Zna pan ją?

- Nie, ale wspominał mi o niej.

- Nie ma pan jakichś próbek jej pisma? - spytał agent Townsend.

- Nie.

- Vivian to dosyć dziwna osoba - stwierdził agent Townsend z półuśmiechem. - Zasygnalizowała nam ostatnio, panie Brady, że prowadzi pan długie rozmowy z Bogiem. Czy to prawda?

- Nie.

- Dowiedziała się o tym od znajomego - zwrócił uwagę agent Snow agentowi Townsendowi.

- Co mogło ją skłonić do takich przypuszczeń? - ciągnął agent Townsend. - Czy coś przychodzi panu do głowy?

- Nigdy jej nie widziałem na oczy.

- Składa o panu meldunki - stwierdził agent Townsend.

- Wiem o tym.

- Jakie byłyby pańskie uczucia do niej, gdyby analiza tej reklamy butów wykazała, iż pochodzi ona od Vivian Kaplan?

- Nie chciałbym mieć z nią nic do czynienia.

- Nie mamy takiej pewności - stwierdził agent Townsend - i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dokument ten przyszedł z nowojorskiej rezydentury KGB, lecz dopóki nie uzyskamy potwierdzenia, nie możemy wykluczać możliwości, że wysłał to panu jeden z naszych własnych funkcjonariuszy.

Milczałem.

- Chcielibyśmy - powiedział agent Snow - aby nam pan przekazywał każdy tego typu dokument, który pan otrzyma, jak również informował nas o wszelkich próbach nawiązania z panem kontaktu przez podejrzane osoby, drogą telefoniczną pocztową czy w formie wizyty u pana w domu. Naturalnie zdaje pan sobie sprawę, że partia mogła postanowić pana zniszczyć

z powodu pańskiej odmowy współpracy.

- Tak. Wiem o tym.

- Mówiąc zniszczyć, mam na myśli zlikwidować. Zabić pana.

Słowa te zmroziły mnie do kości.

- Nie możemy zbyt wiele panu pomóc w tej kwestii - powiedział agent Snów. - Jeśli ktoś chce zabić jakąś osobę, to z reguły mu się to udaje.

- Nie możecie przydzielić mi kogoś do ochrony?

Dwaj panowcy wymienili spojrzenia.

- Obawiam się, że nie - odparł agent Townsend. - To wykracza poza nasze kompetencje. I mamy na to zbyt szczupłe zasoby kadrowe. Jeśli pan chce, może pan sobie kupić broń krótką. To chyba byłby dobry pomysł, zważywszy na to, że ma pan żonę i małe dziecko.

- Zrobię to.

- Załatwimy panu pozwolenie - powiedział agent Townsend.

- Czyli jest możliwe, żeby zrobił to jeden z waszych funkcjonariuszy?

- Szczerze mówiąc, bardzo w to wątpię - odparł agent Townsend. - Przeprowadzimy postępowanie wyjaśniające. To by z pewnością wszystko uprościło z naszego punktu widzenia. Mogę zabrać tę reklamę i ulotkę?

- Naturalnie.

Byłem zadowolony, że się jej pozbyłem.

Tego wieczoru siedziałem sam na patio naszego mieszkania i oglądałem gwiazdy. Teraz już wiedziałem, co mi się przytrafiło. Z niezrozumiałych dla mnie przyczyn zostałem podłączony do międzygalaktycznej sieci telekomunikacyjnej, działającej na zasadzie telepatii. Siedząc sam w ciemnościach, wyczuwałem obecność gwiazd i olbrzymi strumień informacji, która między nimi przepływała. Byłem w kontakcie z jedną ze stacji węzłowych sieci i próbowałem ją zlokalizować, chociaż najprawdopodobniej było to niemożliwe.

Układ gwiazdny o nazwie wymyślonej przez nas samych. Znałem nazwę gwiazdy: Albemuth. Nie mogłem jednak znaleźć takiego obiektu w naszych wydawnictwach encyklopedycznych, jakkolwiek prefiks „al” często się pojawia w nazwach gwiazd, ponieważ jest to arabski przedimek określony.

Siedziałem na patio, a nad moją głową migotała i jarzyła się gwiazda Albemuth, z jej siecią, która nadawała nieogarnioną ilość informacji w rozmaitych nie znanych językach. Oto co się stało: operator sieci ze stacji Albemuth, jednostka sztucznej inteligencji, stworzył w jakimś wcześniejszym momencie kanał telekomunikacyjny, którym przekazywał mi dane. Dlatego niezależnie od swojej woli otrzymywałem informacje z sieci telekomunikacyjnej.

„Rzymska sybilla”, którą widziałem we snach, była głosem jednostki SI. Tak naprawdę nie

miałem do czynienia z rzymską sybillą, nie chodziło nawet o kobietę. Był to twór całkowicie sztuczny. Uwielbiałem jednak brzmienie jej głosu - nadal traktowałem ten twór jako byt rodzaju żeńskiego - bo zawsze, kiedy go usłyszałem, czy to w transie hipnogogicznym lub hipnopompicznym, czy we śnie, oznaczało to, że wkrótce zostanę o czymś poinformowany. Za głosem SI, syntetycznym kobiecym głosem, krył się sam Valis, podstawowy łącznik z obejmującą cały wszechświat siecią telekomunikacyjną. Teraz, kiedy połączenie osiągnęło maksymalną przepustowość, napływały do mnie ogromne ilości danych. Od czasu aktywności fosfonicznej wyraźnie mnie nimi bombardowali, przesyłali ich jak najwięcej, może z obawy, że łączność zostanie wkrótce zerwana.

Nigdy nie odwiedzili Ziemi - żadne prawdziwe istoty pozaziemskie nie wylądowały statkami kosmicznymi i nie krążyły po naszej planecie - lecz przekazywali informacje ludziom z różnych epok, zwłaszcza ze starożytności. Z faktu, że połączenie działało najlepiej między trzecią a czwartą rano, wyciągnąłem wniosek, że wokół ziemi krąży satelita wzmacniający kosmicznego pochodzenia, stacjonarny satelita telekomunikacyjny przysłany tutaj tysiące lat temu.

- Co tu tak siedzisz? - spytała mnie Rachel.

- Słucham.

- Czego?

- Głosów gwiazd - odparłem, chociaż precyzyjniej byłoby stwierdzić, że słucham głosów z gwiazd.

Czułem jednak, jakby to same gwiazdy mówiły, gdy tak siedziałem w ciemnościach i chłodzie, sam, jeśli nie liczyć kota, który był tam tylko z przyzwyczajenia. Każdej nocy Pinky siedział na barierce patio i chłonał napływające z wszechświata dane, tak jak ja teraz, tylko że robił to od dłuższego czasu, przez całe swoje dorosłe życie. Obserwując go teraz, zrozumiałem, że odbierał w nocy informacje zawarte w ciągach błysków gwiazd. Był zespolony z wszechświatem, kiedy tak jak ja siedział i patrzył w milczeniu do góry.

Upadek człowieka, zdałem sobie sprawę, polegał na odłączeniu od tej potężnej sieci telekomunikacyjnej i jednostki SI przemawiającej głosem Valisa, którego starożytni utożsamiali z Bogiem. Podobnie jak siedzące opodal mnie zwierzę, z początku byliśmy integralną częścią tej sieci i stanowiliśmy uzewnętrznienie jej tożsamości i woli, które poprzez nas działały. Coś się popsuło. Na ziemi zgasły światła.

Odkrycia te nie były owocem spekulacji ani nawet logicznych dedukcji, lecz przysły do mnie w postaci olśnień, które zesłała mi współodczuwająca ze mną operatorka sieci obsługująca moją stację. Uświadamiała mi to, co człowiek przestał rozumieć: jego rolę i miejsce w porządku wszechrzeczy. Na wewnętrznym ekranie mego umysłu zobaczyłem nędzną siłę, która zakrada się podstępem do naszego świata, by walczyć z Bożą mądrością. Zobaczyłem, jak za pomocą swych nikczemnych knowań bierze we władanie naszą planetę, niszcząc dobroczynną wolę Boga - a raczej Valisa, bo nadal wołałem posługiwać się tą nazwą. Przez stulecia Bóg toczył tytaniczną batalię o wyswobodzenie tej planety, lecz wciąż nie udało się uratować jej z obłączenia. Ziemia nadal pozostawała nie zapalonym guzikiem na centralce międzygalaktycznej sieci telekomunikacyjnej. Nie zaczęliśmy jeszcze funkcjonować tak jak nasi odlegli przodkowie, w komunii ze Stwórcą i Panem wszechświata. Fakt, że mnie i paru innym osobom udało się nawiązać łączność, był przypadkiem. Nie miałem w tym żadnego udziału. Przytrafiło mi się to na skutek zbiegu okoliczności. Jeden z kalekich potomków podniósł słuchawkę dawno zapomnianego telefonu i teraz słyszał pełen zrozumienia głos udzielający informacji, które on i cały jego gatunek powinni byli znać na pamięć.

Moja nowa osobowość nie zbudziła się z trwającego dwa tysiące lat snu. Precyzyjniej byłoby powiedzieć, że została uformowana na pozaziemskim satelicie i na nowo odcisnięta od zewnątrz na mojej duszy. Nie została podstawiona w miejsce mojej osobowości, lecz do niej dodana. Ulepiono ją z całości wiedzy, jaką posiadał satelita. Miała mnie wynieść na najwyższy możliwy poziom, jeśli chodzi o zdolność przetrwania w panujących na ziemi warunkach. Satelicie, podłączonemu do wyższych form życia, zależało na tym, abym przeżył. Widział, czy też oni wszyscy widzieli, że nie radzę sobie w opresji i zareagowali odruchowo. Reakcja ta sprowadzała się do racjonalnej próby udzielenia pomocy każdemu, kto był z nimi w kontakcie, kto potrafi przyswoić sobie przesyłane przez nich dane. Zostałem wybrany na podstawie tylko tej jednej przesłanki. Leżał im na sercu los całego wszechświata. Pomogliby każdemu, do kogo potrafiliby dotrzeć.

Tragedia polegała na tym, że nie potrafili nawiązać łączności z mieszkańcami naszej planety. Przyczyna tego kryła się w pierwotnym wtargnięciu do naszego świata przez złoczynną substancję, która nie chciała słuchać. Skaziła ona świat swoją obecnością. Znajdowała się nie tylko wokół nas, ale również w naszych wnętrzach. Nosiliśmy na sobie jej piętno. Przypuszczalnie największą szkodą, jaką nam wyrządziła, było odcięcie nas od sieci telekomunikacyjnej. Z powodu swojej głupoty przypuszczalnie nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, co zrobiła, a gdyby zdała sobie sprawę, to nie uznałaby tego za stratę.

Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że była to strata, odkąd usłyszałem łagodny głos systemu

SI, który przekazywał mi informacje i przyjmował ode mnie pytania. Zapamiętałbym ten dźwięk do końca życia, nawet gdybym już nigdy go nie usłyszał. Przychodził z daleka. Między moimi pytaniami a odpowiedziami zawsze był mierzalny odstęp czasowy. Zastanawiałem się, w odległości ilu gwiazd od nas się znajduje. Zapewne gdzieś daleko na firmamencie, i obsługuje wiele światów.

Głos SI raz już uratował mi życie, dyktując mi, co mam robić w sytuacji, kiedy groziło mi aresztowanie. Teraz lękałem się już tylko jednego: utraty łączności.

Wkrótce zrozumiałem, że głos SI potrafi edukować oraz informować istoty ludzkie na poziomie podprogowym, w chwilach odprężenia, kontemplacji, a nawet głębokiego snu. Lecz to nie wystarczało. Po przebudzeniu ludzie z reguły wykasowywali te ciche wskazówki, które trafnie utożsamiali z głosem sumienia, i szli dalej swoją drogą.

Spytałem, jak się nazywa ten ograniczony umysłowo przeciwnik. Odpowiedź: nie ma imienia. Wysłannicy sieci telekomunikacyjnej nieustannie mu się wymykali dzięki swej mądrości, bo w przeciwieństwie do nich nie potrafił przewidzieć przyszłości. Trzymał się jednak dzięki swojej sile fizycznej, mimo że był ślepy.

Została mi teraz przyznana zdolność przewidywania przyszłości w ograniczonym zakresie. Po raz pierwszy objawiła się wtedy, gdy istota, którą wziąłem za rzymską sybillę, opisała los czekający spiskowców. Chodziło po prostu o stwierdzenie przyszłego faktu wypowiedziane przez jednostkę SI, a następnie przekształcone przez mój umysł w widzialną istotę znaną z ziemskiej historii. Ona czy też ono stwierdziło jedynie, co nastąpi, nie opatrując tego interpretacyjnym komentarzem. Siły, które miały doprowadzić spiskowców do zguby, nie zostały jeszcze nazwane. Moje źródło informacji potrafiło bezbłędnie przewidzieć konsekwencje pewnych aktów, lecz albo nie wiedziało, kto tych aktów dokona, albo postanowiło mnie o tym nie informować. Ta druga hipoteza wydawała mi się bardziej prawdopodobna. Bardzo wielu rzeczy jeszcze nie wiedziałem.

Ponieważ mogłem zadawać SI pytania, spytałem ją, dlaczego ograniczony umysłowo wróg nie został już dawno usunięty. Nie kazać mi długo czekać, dostarczyła mi diagram, który pokazywał, że wróg jest w coraz większym stopniu wykorzystywany do realizacji ogólnego planu. Kiedy się już zmaterializował, tak jak wszystko inne został wmontowany do wszechmechanizmu jako jeden z trybików. Patrzyłem, jak podmiot stwórczy włącza do swego planu wroga i jego projekty, razem ze wszystkim innym, co wpadnie mu w oko, nie czyniąc rozróżnień między tym, co nazywamy dobrem, a tym, co odrzucamy jako zło. Zamiast unicestwić nieporadnego wroga, Valis zaprzął go do pracy.

W swym dziele nieprzerwanego stwarzania świata od nowa, poprawiania go i nadawania mu kształtu w wiecznym przepływie, rzemieślnik posługiwał się najoszczędniejszymi z możliwych środków. Chociaż nie pogardził żadnym materiałem, to tworząc nowe układy, a przede

wszystkim łącząc odrębne części w zupełnie nowe i nieoczekiwane twory, brał tylko to, co było mu absolutnie niezbędne. A zatem proces przekształcania odbywał się wewnątrz wszechświata, zamieniając go w swego rodzaju gigantyczny magazyn części, niemal nieskończony skład materiałów, w którym podmiot stwórczy mógł znaleźć wszystko, czego zapragnął.

Odnosiłem wrażenie, że ów zachodzący w czasie proces stanowi środek do celu, jakim jest mnożenie się form, w ostatecznym rozrachunku korzystne dla tej kształtującej rzeczywistość istoty, która, jak widziałem, poruszała się wstecz w czasie z końca wszechświata. Plan, według którego działała istota kształtująca rzeczywistość, zdawał się tożsamy z formą tej istoty, jakby przeobrażała ona nieogarniony, chaotyczny wszechświat w ogromną replikę swojego własnego *eidos* - formy. Nie mogłem jednak być tego pewien. Ogrom stworzonego dzieła sprawiał, że jego odległe zarysy - odległe w sensie tak przestrzennym, jak czasowym - znajdowały się poza moim zasięgiem. Istota owa stwarzała rzeczywistość wokół mnie i obok mnie, kiedy siedziałem na patio.

Jeszcze raz powoli zacząłem odnosić wrażenie, że jestem w Rzymie, a nie w kalifornijskim Orange County. Wyczuwałem wokół siebie cesarstwo, choć go nie widziałem, wyczuwałem ogromne więzienie z żelaza, w którym pracowali w pocie czoła niewolnicy. Jakby nałożone na czarne, metalowe ściany tego wielkiego więzienia, widziałem pędzące sylwetki w popielatych szatach: wrogów cesarstwa i jego tyranii, niedobitków opozycji. I wiedziałem - mówił mi to wewnętrzny zegar tykający w czeluściach mego jestestwa - że naprawdę jest 70 rok naszej ery, że Zbawiciel przyszedł i odszedł, lecz wkrótce powróci. Garstki zwolenników w popielatych szatach czekały Jego powrotu i przygotowywały się do tego z sercami przepełnionymi radością.

Zdezorientowany tym wszystkim, doświadczałem jeszcze jednej rzeczy. Przez głowę przepływał mi potok obcych słów, których nie rozumiałem, lecz ich wymowa zawsze była dla mnie jednoznaczna: grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony rzymskich szpiegów, ze strony tych rozjuszonych, uzbrojonych ludzi, którzy wszędzie się kręcili, tropiąc wszelkie przejawy działalności szkodliwej dla chwały cesarstwa. Musiałem być czujny, uważać na to, co mówię, z zapieczętowanymi ustami strzec mojej tajemnicy: mojej łączności z międzygalaktyczną siecią telekomunikacyjną i samym Valisem. Gdyby agenci rzymscy wiedzieli o tej łączności, natychmiast by mnie zlikwidowali. Taka była polityka cesarstwa.

Batalia, w której brałem udział, nie była nowa. Toczyła się bez ustanku od dwóch tysięcy lat. Zmieniły się nazwiska, zmieniły się twarze, lecz w swej istocie przeciwnicy pozostali ci sami - Oparte na niewolnictwie imperium kontra ci, którzy walczyli o sprawiedliwość i prawdę - może nie o wolność w nowożytnym sensie tego słowa, lecz o wartości dzisiaj nie dostrzegane, przygniecione ciężarem imperium, które obejmowało zarówno Stany Zjednoczone, jak i Związek Radziecki jako jego dwa równoważne przejawy. Zrozumiałem, że USA i ZSRR to dwie części cesarstwa podzielonego przez Dioklecjana tylko z przyczyn administracyjnych. Zasadniczo był to

jeden twór, z jednym systemem wartości; systemem wartości, który sprowadzał się do pojęcia supremacji państwa. Jednostka nic nie znaczyła według kryteriów systemu, a jednostki, które zwracały się przeciwko państwu i tworzyły własne wartości, uważane były za wrogów.

My byliśmy wrogiem, my, którzy nosiliśmy popielate szaty i płonąć z niecierpliwości, czekaliśmy powrotu naszego Króla. Widziałem w Zbawicielu nie męczennika, który za nas umarł, lecz naszego prawowitego Króla, który powróci, upomni się o należny mu tron i będzie rządził swym ludem w sprawiedliwości i prawdzie. Cesarstwo rządziło podbitymi ludami, nasz Król - tylko swoim własnym. Nie zniewoli nas, nie zmusi do przyjęcia obyczajów imperium. Będziemy przestrzegali jego zwyczajów, jakby były naszymi własnymi. Bo są naszymi własnymi. A gdzie kończy się jego lud, tam kończy się jego władza. To jest prawowite królestwo, w przeciwieństwie do tyranii Cezara.

Wiedziałem, że trzeba będzie nauczyć moją żonę pewnych szyfrów, terminów, które pozwolą zasygnalizować ewentualną obecność Rzymian pośród nas. Tworzyliśmy dobrowolne podziemne stowarzyszenie, które kreśliło na piasku tajemne symbole. Rozpoznawaliśmy się nawzajem po specjalnym uścisku dłoni. Wspólnie czekaliśmy na zdarzenie, które miało nas wyzwolić. Zewnętrznymi pozorami nie różniliśmy się od ludu Cezara, co było naszą wielką siłą. Pytanie, które nas dręczyło, nie brzmiało: czy nasz Król powróci, lecz: czy przeżyjemy prześladowania - w ukryciu, nie mieliśmy bowiem żadnej ziemskiej władzy - do jego powrotu? Czy też po powrocie Król zastanie nas rozgromionych albo, co gorsza, wchłoniętych przez zwyczaje imperium, nie pamiętających o tym, kim naprawdę jesteśmy? A może Jego ponowne przyjście przywróci nam tę pamięć? Rozbudzi w śpiących ludziach zapomnianą świadomość tego, kim są...?

Nie miałem wrażenia, że chodzi o powrót do jakiegoś mojego wcześniejszego życia, o wędrówkę wstecz w czasie do jakiegoś minionego istnienia. Rzym był tu i teraz. Przeniknął krajobraz, wyrósł z niego, opuszczając wewnętrzną kryjówkę, w której od stuleci przebywał. To nie ja znalazłem się w dawnym świecie, to Rzym objawił się jako rzeczywistość leżąca u podłoża naszego dzisiejszego świata. Rzeczywistość wciąż ukryta przed wzrokiem większości Amerykanów, lecz dla mnie kłująca w oczy. Imperium nigdy nie umarło, tylko usunęło się w cień. Teraz, kiedy Valis wspomagał moje postrzeganie, widziałem Rzym tak samo wyraźnie jak amerykański krajobraz. Odziedziczyliśmy Rzym, nie zdając sobie tego sprawy. Obraz został odarty z przypadkowych nawarstwień i zobaczyłem to, co stanowiło istotę naszego państwa.

Moja nienawiść do Rzymu była wielka, lecz przewyższała ją strach przed imperium. Moja pamięć rozciągnęła się jak guma, obejmowała okres dwóch tysięcy lat, lecz rozścielała przede mną napawającą rozpaczą jednakowość: Rzym rozlewał się wszędzie na przestrzeni wieków. Cóż to był za gigantyczny twór, sięgający tak daleko wstecz. Nie można było przed nim uciec ani w przeszłość, ani w teraźniejszość, jakkolwiek w pewnym sensie nie dostrzegałem żadnej

przeszłości, tylko wieczną terażniejszość o kolosalnych rozmiarach.

A więc to był wróg... a raczej fizyczne przejawienie wroga. To był corpus malum, złe ciało. Lecz w nim i za nim krył się zły duch, któremu imperium zawdzięczało swój charakter. Kiedyś imperium było inne, lecz te czasy, czasy Republiki, zostały przygniecione wraz z wolnymi ludźmi zmiądzonymi brzemieniem opresji. Cóż to był za ciężar! Rzym kruszył świat swoją masą, opancerzony, wielki, z czarnymi żelaznymi murami, celami i ulicami, łańcuchami i metalowymi kółkami, wojownikami w hełmach. Dziw brał, że imperium nie zgruchotało skorupy ziemskiej.

A teraz, pośród nas, w naszej epoce, odwieczna batalia trwała dalej, prześladowca zza osłony żelaznego ciała uderzał w tych, co nie byli synami imperium - w nas, którzy służyliśmy Królowi i chodziliśmy innymi drogami. Nie nosiliśmy żadnych pancerzy, żadnego metalu, tylko popielate szaty, sandały, może złotą rybę w formie bransolety lub naszyjnika. Nasze kroki były lżejsze niż kroki tych, którzy podporządkowali się rzymskim zwyczajom, lecz nas łatwiej miała się śmierć, nie mieliśmy bowiem fizycznej osłony. Wielu z nas już poległo, by zbudzić się później, po powrocie Króla. Kiedy to będzie? Wkrótce, ale jeszcze nie teraz. A gdy powróci, nie będzie nauczał na kresach imperium, lecz uderzy w jego źródło, w jego serce. Zaatakuje sam jego środek i obali je. Zjawienie się Króla będzie dla tyrańca niemałym zaskoczeniem, niemałym wstrząsem, niespodziewaną odmianą.

Poprzednim razem Król przyszedł dyskretnie, na margines rzymskich spraw, by po prostu obserwować i nauczać. Nie było jego życzeniem, aby Rzymianie wytropili go, osaczyli, osądzili i stracili. Było to ryzyko, które musiał ponieść i z którego zdawał sobie sprawę. Wtedy nie zamierzał podejmować walki. Miał tytuł do królewskiej władzy i był Królem z ducha, lecz nie *de facto*. Umarł śmiercią nie królów, lecz zbrodniarzy, okryty hańbą. W ciągu stuleci, które upłynęły od tego strasznego mordy, trwał dalej, niewidzialny, nie miał ciała takiego jak nasze, tańczył poza naszym życiem między kłosami młodego zboża, tańczył we mgle, błądy i szczupły. Ludzie widywali go i brali za zbożowego króla, za wiosennego ducha nowego życia, za coroczne i ustawiczne przebudzenie się świata z zimowej śmierci. Pozwalał im myśleć, że jest tylko zbożowym królem i niczym więcej. Były to stulecia, kiedy świadomość Jego prawdziwego celu prawie zupełnie się zatraciła. Ludzkość oswoiła się z ideą tyrańskiej władzy. Król dał się widzieć tylko jako mgła, mgła tańcząca we mgle, aby tchnąć życie w nowy plon. Jakby jego głos słyszało teraz tylko zboże, a nie ludzie.

Lecz na początku mówił do ludzi i miał przemówić do nich znowu. Obiecał swoim uczniom, że usłyszą Jego głos i rozpoznają go, kiedy to się stanie. Wszystkie złożone przez Niego obietnice się spełnią, kiedy przyjdzie pora. Był teraz silniejszy. To już niedługo. Róg wolności znowu zatęchł, ważniejsze jednak, że obecność Króla krystalizowała się i umacniała. Tym razem miał przypasany miecz.

Miecz był narzędziem sądu. Tym razem Król nie miał zostać osądzony przez ludzi przed ludzkim trybunałem. Sam miał sądzić.

Dostrzegłem Go już, jak tańczył ku mnie pośród kłosów młodego zboża, miał duże, pełne wyrazu, ciemne oczy, rzadką, ciemną, poszarpaną brodę, zapadłą, smutną twarz, na głowie mały diadem, a odziany był w lniany płaszcz i nagolenniki... Lecz kiedy powróci, by sądzić, nie wcieli się w tę łagodną postać. Wtargnie brutalnie do naszego linearnego czasu, wjedzie do naszego świata na grzbiecie wielkiego, białego galopującego konia, wtargnie do istnienia na czele armii konnych rycerzy, z mieczami, tarczami i połyskującymi hełmami. Łopoczące sztandary, podskakujące chwaściki, migoczące hełmy będą się mieniły wszystkimi kolorami tęczy. I czarne żelazne mury więzienia rozstąpią się przed nim.

Nie mógł przegrać. Nie mógł zostać pokonany czy unicestwiony. Wiedział wszystko, a tym razem Valis nadał mu absolutną władzę. Pieczęcie kronik świata miały zostać złamane, a treść tych ksiąg po raz pierwszy podana do wiadomości publicznej.

Chodziło o wielkie otwarte księgi, które mi pokazywano, kiedy zaczęły się moje paranormalne przeżycia. Wielkie tomy nareszcie się otworzą, jak przepowiedzieli prorocy. To oznaczało, że nadszedł początek końca czasu. Rozpoczął się pierwszy etap.

Przez dwa tysiące ziemskich lat zegar wieczności stał na roku siedemdziesiątym po Chrystusie. Teraz zegar pokazywał nowy czas. Wskazówki nareszcie ruszyły. Król wybrał pole bitwy. Był nim nasz świat. Nasza część czasu. Teraźniejszość.

W pewnym sensie wciąż był królem zbożowym. Dwa tysiące lat temu przyszedł tutaj, zasiał ziarno i odszedł. Teraz powrócił - czy też miał wkrótce powrócić - by zebrać żniwo. Wiedział, że zastanie swoje żniwo prześladowane, karłowate, chylące się ku ziemi i uwięzione poza zasięgiem słońca. Wiedział, co uczyniono z jego plonem. Przygotował dla niego niezniszczalną nagrodę. Dwa tysiące lat miało zostać wymazane. Wróg miał zostać unicestwiony, wykreślony z dziejów. Prześladowań nigdy nie było. Nawet kategoria czasu podlegała władzy i prawodawstwu Króla. Nawet ją mógł zlikwidować. Kiedy dokończy Swego dzieła, zniknie nawet wspomnienie o istnieniu Rzymu. Stracą życie ci, którzy służyli imperium.

Ci zaś, którzy sprzeciwili się imperium, czasem za cenę śmierci, mieli żyć wiecznie.

Kiedy to oglądałem, kiedy odbierałem tę panoramę informacji, zacząłem w mniejszym stopniu traktować moje ponowne podłączenie się do sieci informacyjnej jako przypadek, fuks. Zobaczyłem je teraz we właściwym świetle: było to coś przygotowywanego od wielu lat, od mojego dzieciństwa, przez samego Valisa. Zostałem poddany szkoleniu i kształceniu, abym mógł wziąć udział w czekającej nas bitwie: obaleniu Rzymu.

Zjawiskiem, którego doświadczałem, był koniec czasu. Bez wątpienia istnieli inni ludzie tacy jak ja. Reinkarnacja, pomyślałem, posłańców w szarych płaszczach, którzy spiesznym krokiem chodzili po wielkich żelaznych murach, dążąc do zamienienia ich w gruzy. Nieustannie

wypełniała ich radość, że ponownie powitają swego Króla. To, co robiłem, po co się urodziłem i do czego zostałem stworzony, było aktem świętowania.

Zostałem przywrócony do życia. Po dwóch tysiącach lat.

Narodzony po raz drugi. Przemieniona, całkowicie nowa istota. Narodzony po raz drugi, aby osiągnąć pełnię istnienia.

Obdarzony władzami umysłowymi i zdolnościami, których nigdy nie miałem, które zostały utracone, odebrane podczas pierwotnego Upadku. Odebrane nie mnie jako jednostce, lecz całemu rodzajowi ludzkiemu.

Ja, Nicholas Brady, zrozumiałem, że te przedwieczne władze umysłowe i zdolności zostały mi przywrócone tylko tymczasowo, że ich istnienie we mnie zależy od mojej łączności z siecią telekomunikacyjną. Kiedy tę łączność utracę, wraz z nią utracę też owe władze umysłowe i zdolności, i ponownie pogrążę się w stanie ślepoty, w którym do tej pory żyłem.

Takie miałem odczucia, kiedy siedziałem na patio, z wielką satysfakcją i radością odczytując informacje widoczne w świetle gwiazd. Do tej pory byłem ślepy i znowu będę ślepy. Nie ma sposobu, by przedłużyć obecny stan, dopóki wróg dalej mieszka na naszej planecie. A czas na usunięcie go jeszcze nie nadszedł. Na razie możemy co najwyżej liczyć na to, że uda nam się go trochę odepchnąć - małe, taktyczne zwycięstwo, które pozwoli nam się umocnić na zajmowanych obecnie pozycjach.

Dopiero kiedy Król wtargnie do linearnego czasu ze swą zbrojną armią, pędzącą na wielkich koniach ku polu bitewnemu, zmiana nabierze trwałego charakteru i obejmie wszystkich. Opadną zasłony i ujrzemy świat takim, jaki jest. I samych siebie też.

W tej chwili otrzymujemy pomoc tylko w postaci informacji. Valis używa nam swej mądrości, lecz nie władzy. Władzę otrzyma tylko prawowity Król. Nam nie można jej powierzyć, bo byśmy jej nadużyli.

Tej nocy, kiedy poszedłem do łóżka, przyśnił mi się jeden z najbardziej frapujących snów w moim życiu. Sen ów zrobił na mnie wielkie wrażenie.

Obserwowałem przy pracy imponującej postury naukowca nazwiskiem James-James. Miał płomiście rude włosy, jego oczy strzelały błyskawicami, a rodzaj i zakres jego działań czynił go podobnym Bogu. James-James skonstruował maszynę, która terkotała i przyskała na wszystkie strony radioaktywnymi cząstkami, kiedy była włączona. Tysiące ludzi siedziały w milczeniu na krzesłach i patrzyły, jak maszyna wyprodukowała najpierw bezkształtny żywy szlam, a potem nieforemne niemowlę. Następnie, pośród wirowania, iskrzenia i dudnienia, wyrzuciła na podłogę prześliczną młodą dziewczynę: wcielenie doskonałości w kosmicznym procesie ewolucji.

Moja żona Rachel, która siedziała we śnie obok mnie, podniosła się, aby lepiej zobaczyć dzieło Jamesa-Jamesa. James-James, który wpadł w furję na ten bluźnierczy gest, złapał Rachel i rzucił nią o podłogę, w przypływie wściekłości miażdżąc jej rzepki i łokcie. Natychmiast wstałem, aby protestować. Ruszyłem po schodach na dół w stronę Jamesa-Jamesa, wzywając rzędy milczących ludzi, aby podnieśli sprzeciw. W tym momencie do wielkiej sali spotkań wjechali na motocyklach mężczyźni w zielonkawobrazowych mundurach khaki. Posuwając się szybko i płynnie do przodu, nieśli sztandary Afriki Korps Rommla, z drzewem palmowym.

Zachrypiałem do nich błagalnie:

- Potrzebujemy pomocy lekarskiej!

Gdy sen dobiegał końca, najeźdźcy i wybawiciele z Afriki Korps usłyszeli mnie i zwrócili ku mnie swoje piękne, szlachetne oblicza. Byli to ludzie o smagłej cerze, raczej drobni i delikatni, diametralnie różni od Jamesa-Jamesa, z jego trupio bladą twarzą i jasnorudymi włosami. Oczy mieli duże, łagodne i pełne wyrazu, ciemne. Zdałem sobie sprawę, że to straż przednia Króla.

Po przebudzeniu z tego niepokojącego snu usiadłem sam w salonie. Było około trzeciej nad ranem i w mieszkaniu panowała cisza jak makiem zasiał. Sen sugerował, że istnieją granice tego, co James-James - czyli Valis - może, a raczej zechce dla nas zrobić; że jego władza jest dla nas wręcz niebezpieczna, jeśli zostanie niewłaściwie użyta. Po ostateczną pomoc musimy się zwrócić do prawowitego Króla. Po ostateczną pomoc, którą w moim śnie symbolizowała „pomoc lekarska” rzecz najbardziej nam potrzebna do tego, aby naprawić szkody wyrządzone przez historyczny proces ewolucyjny, puszczony w ruch przez pierwotnego stwórcę, Jamesa-Jamesa. Król jest czynnikiem korygującym wynaturzenia procesu temporalnego. Proces ten, jakkolwiek imponujący i heroiczny, pociągnął za sobą niewinne ofiary. Ofiary te zostaną uzdrowione przez legiony prawowitego Króla. Zdałem sobie sprawę, że do czasu Jego przybycia nie otrzymamy takiej pomocy.

Radioaktywne cząstki, takie jak w terapii kobaltowej, pomyślałem, przypomniał mi się kanonadę odprysków światła z kosmicznej maszyny Jamesa-Jamesa. Obosieczny miecz stworzenia: radioaktywność pod postacią bombardowania kobaltem leczy raka, lecz radioaktywne emisje są rakotwórcze. Kosmiczna maszyna Jamesa-Jamesa wymknęła się spod kontroli i zraniła Rachel, która okazała niesubordynację, wstając. To wystarczyło, aby rozwścieczyć kosmicznego pana stworzenia. Nam też potrzeba obrońcy. Adwokata naszej strony, który mógłby interweniować.

Rak... Proces stworzenia, który zwariował, pomyślałem. I wtedy, w jednej chwili, operator sieci przesłał mi do umysłu wyjaśnienie. Zobaczyłem Jamesa-Jamesa jako pana wszystkich przyczyn uprzednich i skutecznych, jako pana deterministycznego procesu popychającego do przodu linearny czas w całej jego złożoności, od pierwszej do ostatniej nanosekundy istnienia wszechświata. Jednak zobaczyłem również inną stwórczą istotę na drugim końcu wszechświata, w miejscu jego dopełnienia się, kierującą biegiem zmian, zatwierdzającą go i kształtującą, aby dotarł do właściwego celu. Ta stwórcza istota, posiadająca absolutną mądrość, raczej sugerowała, niż zmuszała, raczej porządkowała, niż stwarzała. Ona czy ono było architektem, który sporządził projekt oraz inspektorem przyczyn celowych czy teleologicznych. Tak jakby pierwotny stwórca wszechświata cisnął nim na oślep niby wielką włochatą piłką po długiej trajektorii, podczas gdy istota łapiąca korygowała tor lotu piłki, aby opadła jej do rękawicy. Zrozumiałem, że - niezależnie od celności i siły rzutu - bez tej istoty wielka włochata piłka, którą jest wszechświat, poleciałaby gdzieś poza boisko i spadła w jakimś przypadkowym, nie

przewidzianym miejscu.

Nigdy wcześniej nie słyszałem o tej dialektycznej strukturze procesu ewolucji wszechświata. Mamy zatem aktywnego stwórcę i mądrego partnera, który łapie to, co ten pierwszy stworzył. Nie pasowało to do żadnej ze znanych mi koncepcji kosmologicznych bądź teologicznych. Stwórca, poprzedzający stworzenie, swoje stworzenie, miał absolutną władzę, lecz dzięki mojemu snowi o Jamesie-Jamesie wiedziałem, że brakuje mu pewnego rodzaju wiedzy, jakiejś niezbędnej zdolności przewidywania. Zdolność tę zapewniał słaby, lecz posiadający mądrość absolutną partner na drugim końcu boiska. Tworzyli duet. Może był to bóg podzielony na dwie części, rozszczepiony, aby uruchomić dynamikę swego rodzaju dwuosobowej gry. Ich cel był jednak ten sam. Choćby się wydawało, że są w konflikcie lub działają przeciwko sobie, obaj pragnęli pomyślnego rezultatu wspólnego przedsięwzięcia. Dlatego też nie miałem wątpliwości, że te dwie istoty stanowią przejawienia jednej substancji, umieszczone w różnych punktach czasu i z przewagą różnych atrybutów. Naczelnym atrybutem początkowego stwórcy była władza, a końcowego - mądrość. Prócz nich był też prawowity Król, który w dowolnie wybranym przez siebie momencie mógł uczynić wyłom w procesie temporalnym i razem ze swoją armią wkroczyć do świata stworzonego.

Podobnie jak komórki rakowe, pierwotne składniki wszechświata mnożyły się bez żadnego ukierunkowania, tworząc bogatą gamę nowości. Puszczone wolno szły tam, gdzie ciągnęły je łańcuchy przyczynowości. W procesie rakowacenia z jakiegoś powodu brakowało architekta, który narzuciłby formę, porządek i przemyślany kształt. Bardzo dużo się dowiedziałem z mojego snu o Jamesie-Jamesie. Zrozumiałem, że świat stworzony na oślep, bez żadnego schematu, może być destruktywny. Może stać się walcem, który w pędzie rozwojowym miażdży wszystko, co małe i bezbronne. Ściślej, takie stworzenie jest jak jeden ogromny żywy organizm, który zajął całą dostępną mu przestrzeń, nie troszcząc się o konsekwencje. Napędza go jedynie pragnienie rozwoju i wzrastania. Przebieg jego ewolucji w dużym stopniu zależy od mądrej istoty umieszczonej na końcu procesu, przyczynającej i przystrzygającej organizm w każdym stadium jego wzrostu.

Kiedy tak siedziałem sam na kanapie, zamyślenie przerodziło się w trans zbliżony do snu, lecz nie będący do końca snem. Wciąż byłem na tyle rozbudzony, aby mieć świadomość samego siebie i w jakimś stopniu myśleć. Stwierdziłem, że patrzę na nowoczesny z wyglądu dalekopis podłączony kablami do niezwykle wyrafinowanych urządzeń elektronicznych, które znacznie przewyższały wszystko, czym obecnie dysponuje ludzkość.

PODAJ SWOJE DANE.

Patrzyłem, jak słowa piszą się same, i kiedy się drukowały, słyszałem to samo terkotanie, które wydawała z siebie obsługiwana przez Jamesa-Jamesa radioaktywna kosmiczna machina

stworzenia.

- Jestem Nicholas Brady z Placentii, Kalifornia.

Po wyczuwalnej przerwie dalekopis napisał:

- SADASSA SILVIA.

- Co to znaczy? - zdziwiłem się.

Kolejna chwila przerwy, po czym znowu terkotanie. Tym razem jednak zamiast wydrukowanych słów zobaczyłem zdjęcie: dziewczyna z naturalną fryzurą afro, drobna, zmartwiona twarz, okulary. Dziewczyna trzymała w rękach notatnik i podkładkę z klipsem. U dołu zdjęcia dalekopis wydrukował numer telefonu, ale warunki nie pozwalały na jego odczytanie. Cyfry się rozmazywały. Zrozumiałem, że powinienem zapamiętać numer, ale było to niemożliwe. Transmisja przyszła ze zbyt odległego nadajnika.

- Gdzie jesteś? - spytałem.

Dalekopis wydrukował: NIE WIEM. Sprawiał wrażenie zaskoczonego tym pytaniem. Widać miałem do czynienia z SI bardzo niskiego szczebla w jakimś podrzędnym węźle sieci.

- Rozejrzyj się wokół siebie - poleciłem. - Sprawdź, czy jest jakiś tekst. Adres.

Operator niskiego szczebla posłusznie przeszukał swoje otoczenie. Wyczuwałem jego aktywność gdzieś w przestrzeni.

ZNALAZŁEM KOPERTE.

- Jaki jest na niej adres? Przeczytaj mi.

Ultranowoczesny dalekopis wydrukował: F. WALLOON. PORTUGALSKIE STANY AMERYKI.

To nie miało dla mnie żadnego sensu. Portugalskie Stany Ameryki? Równoległy wszechświat? Byłem równie zaskoczony jak operator. Żaden z nas nie wiedział, skąd przyszła transmisja.

A potem połączenie zostało zerwane. Dalekopis stopniowo się rozplynął i nie wyczuwałem już jego obecności. Byłem zdezorientowany, chociaż całkowicie już oprzytomniałem. Czy ta wymiana zdań miała jakiś sens? Czy też, wbrew memu subiektywnemu odczuciu, że wszystko jest logiczne, dałem się całkowicie zwieść onirycznemu, z gruntu nieracjonalnemu stanowi odmienionej świadomości? Może „Portugalskie Stany Ameryki” oznaczały po prostu jakieś bardzo odległe miejsce, całkiem inny kosmos. Tak odległy, jak tylko potrafiłem sobie wyobrazić. Może nie należy tego traktować dosłownie.

Wciąż miałem przed oczyma twarz dziewczyny na zdjęciu i nazwisko Sadassa Silvia. Może niski rangą operator sieci odwrócił kolejność. Przypuszczalnie nazwisko powinno brzmieć SILVIA SADASSA. Nawet w takiej postaci nic mi jednak nie mówiło. Nigdy go wcześniej nie słyszałem. Nigdy też nie widziałem drobnej, zmartwionej twarzy, z kącikami ust ściągniętymi w dół jak u osoby zmęczonej i przygnębionej. Numer telefonu, jak również inne przeznaczone

dla mnie dane, przepadły bezpowrotnie. Nie przedostały się do mojego umysłu, przynajmniej świadomego. Zastanawiałem się, co miało znaczyć zdjęcie i nazwisko. Nie sposób tego stwierdzić. Nie było w tym najmniejszego sensu. Może wyżej postawieni operatorzy sieci telekomunikacyjnej z czasem uzupełnią brakujące dane i wszystko się wyjaśni.

Już wcześniej zwróciłem uwagę na fakt, że wydruki z sieci nie docierają do mnie linearnie, lecz regularnie rozłożonymi w czasie pakietami, w przypadkowej kolejności, w związku z czym nie można się było w tym doszukać żadnego schematu, dopóki nie przybył ostatni - najważniejszy - pakiet. Nadawca zachowywał kluczowy segment do ostatniej chwili, przez co otrzymywane przeze mnie dane przypominały rebus.

Kiedy wróciłem do sypialni, Johnny zawołał do mnie z łóżka:

- Tato, mogę się czegoś napić?

Nalałem mu wody z kranu w łazience. I potem, w stanie półsnu, jeszcze się w pełni nie otrząsnąwszy z niepokojącego doświadczenia z operatorem niskiego szczebla, poszedłem do kuchni po kawałek chleba i zaniósłem razem z wodą do pokoju Johnny'ego. Siedział na łóżku i z poirytowaną miną wyciągnął rękę po szklanke.

- Wymyśliłem zabawę - powiedziałem.

Musiałem to zrobić chyłkiem i szybko, ze względu na Rzymian, jak również w taki sposób, że gdyby przypadkiem nas podpatrzyli, to nic by nie zrozumieli i uznaliby, że po prostu daję mojemu synowi chleb i wodę. Pochyliwszy się, dałem mu kawałek chleba, a potem, zanim wziął wodę, z wesołą miną przechyliłem szklanke, niby to przypadkiem, i rozchlapałem mu trochę wody na włosy i czoło. Potem, starłszy wodę rękawem koszuli, zaznaczyłem mu palcem na czole wodny krzyż i powiedziałem bardzo cicho, pod nosem, tak żebyśmy tylko my dwaj słyszeli, słowa po grecku, których znaczenia nie rozumiałem. Potem dałem mu szklanke, żeby się napił, a kiedy mi ją oddawał, ucałowałem go i uściskałem, niby spontanicznie. Wszystko to trwało jedną chwilę, ten rytualny ceremoniał, ta seria gestów, ten starodawny obrzęd, który instynktownie umiałem odprawić.

Wypuszczając mego syna z objęć, powiedziałem mu na ucho, żeby tylko on usłyszał:

- Twoje sekretne imię jest Paweł. Zapamiętaj je sobie.

Johnny spojrział na mnie pytająco, po czym uśmiechnął się. Nadano mu jego prawdziwe imię z zachowaniem odpowiedniego rytuału.

- Dobranoc - powiedziałem głośno i wyszedłem z jego pokoju. Zaspany, potarł sobie palcami wilgotne włosy i położył się z powrotem.

O co w tym wszystkim chodziło? - zastanawiałem się. W transmisji ze snu coś mi dostarczono na podświadomym poziomie, przekazano mi nie informacje, lecz raczej instrukcje związane z pomyślnością mego syna.

Kiedy wróciłem do łóżka, miałem kolejny sen dotyczący Sadassy Silvii. Słyszałem we śnie muzykę, niewiarygodnie piękną muzykę, śpiew kobiety z akompaniamentem gitary akustycznej. Gitara stopniowo ustąpiła małemu studyjnemu zespołowi jazzowemu, a potem usłyszałem podkład z chórkami i coś jakby komorę pogłosową. Było to profesjonalne nagranie.

Pomyślałem: Powinniśmy podpisać z nią kontrakt. Jest dobra.

Znalazłem się więc w swoim biurze w Progressive Records. Dalej słyszałem śpiew dziewczyny, znowu z gitarą solo. Śpiewała:

„Musisz włożyć pantofle,
Żeby pójść ku jutrzence”.

Słuchając, wziąłem do ręki nowy album, który nagraliśmy. Przygotowano już makietę ilustracji i tekstu na okładkę. Oglądając ją krytycznym okiem, zobaczyłem, że wokalistką jest Sadassa Silvia. Oprócz jej nazwiska, na okładce było zdjęcie: ta sama naturalna fryzura afro, drobna, zmartwiona twarz, okulary. Notki biograficznej na odwrocie nie potrafiłem odczytać, małe litery rozmazywały mi się przed oczami.

Kiedy się obudziłem następnego dnia rano, sen miałem wyraźnie odcisnięty w pamięci. Co za głos, powiedziałem do siebie przy goleniu. Nigdy w życiu nie słyszałem tak czystego, tak zachwycającego głosu. I ani jednej fałszywej nuty, oceniłem profesjonalnie. Sopran, ten typ co Joan Baez. Wylansowanie dziewczyny z takim głosem byłoby dziecinnie proste.

Rozmyślenia o Sadassie Silvii przypomniały mi o moich rozterkach związanych z pracą w Progresswe Records. Długo przebywałem na urlopie. Może byłem już gotowy wrócić do pracy. Sen mi to mówił.

- Myślisz, że poradzisz sobie sama? - spytałem Rachel.

- Czy twój wzrok...

- Widzę wystarczająco dobrze. Sądzę, że problemy wzięły się z przedawkowania witaminy C. Nareszcie została wydalona z organizmu, a wraz z nią poszło wszystko inne.

Przez cały dzień spacerowałem po Placentii, co sprawiało mi ogromną przyjemność. Śmieci zaścielające boczne uliczki cechowało swoiste piękno, którego nigdy wcześniej nie zauważyłem. Mój wzrok sprawiał wrażenie wyostrzonego, a nie upośledzonego. Kiedy tak snułem się po mieście, wydawało mi się, że spłaszczone puszki po piwie, papierki, zielska i ulotki reklamowe zostały ułożone przez wiatr w konkretne motywy. Gdy przyjrzałem się bliżej tym motywom, stwierdziłem, że tworzą wizualny język. Przypominało to symbole stosowane przez Indian do oznaczania szlaków, toteż idąc, czułem niewidzialną obecność wielkiego ducha, który zdązał przede mną tą samą drogą - szedł tamtędy i poukładał niechciane odpady w te subtelne, pełne znaczeń motywy, aby skierować braterskie pozdrowienie do pośledniejszej istoty, która miała

pójść jego tropem, czyli do mnie.

To się prawie da przeczytać, pomyślałem. Nie potrafiłem jednak tego dokonać. Z tych układów śmieci udało mi się wyinterpretować tylko to, że współuczestniczę w przejściu wielkiej postaci, która mnie poprzedziła. Zostawił te wyrzucone przedmioty tak rozmieszczone, abym wiedział, że tam był, a prócz tego spowijała je złocista poświata, luminescencja, która wyjawiała mi coś na temat jego natury. Wydobył kurz z anonimowości i nadał mu coś w rodzaju aureoli. Był to zaiste dobry duch.

Miałem nieodparte uczucie, że zwierzęta zawsze w ten sposób postrzegają, że zawsze wiedzą, kto czy co szło przed nimi uliczkami. Byłem obdarzony nadwzrocznością, którą się im przypisuje. Ich świat jest o wiele lepszy od naszego, pomyślałem, znacznie bardziej pełen życia.

Sprawa nie przedstawiała się tak, że z mojej zwierzęcej natury zostałem wydzwignięty do królestwa transcendencji. W istocie wydawało się, że jestem bliższy świata zwierzęcego, bardziej zestrojony z pospolitą materią. Być może po raz pierwszy czułem się na świecie u siebie. Akceptowałem wszystko, co widziałem i czerpałem z tego przyjemność. Nie osądzałem. A ponieważ nie osądzałem, nie było czego odrzucać.

Byłem gotów wrócić do pracy. Czułem się wyleczony. Z pewnością miał na to wpływ fakt, że poradziłem sobie w tej historii z reklamą butów. Kryzys minął. Mojego spokoju ducha nie mąciła świadomość, że w rzeczywistości to nie ja uporałem się z reklamą butów, lecz zrobiły to za mnie nieznane istoty. Przeciwnie, podcięłoby mi skrzydła, gdyby nie przyszły mi z pomocą, gdyby pozwoliły mi spaprać sprawę, niekompetentnemu i zdezorientowanemu.

To moja niekompetencja ściągnęła niewidzialnych przyjaciół. Gdybym był zdolniejszy, to bym ich nie poznał. Uznałem tę transakcję za korzystną. Niewielu ludzi było obdarzonych tą świadomością, co ja teraz. Dzięki moim ograniczeniom objawił mi się cały nowy wszechświat, dobroczynne i żywe nadśrodowisko cechujące się absolutną mądrością. Genialne, powiedziałem sobie. Nie do pobicia. Ukazali mi się Wielcy Ludzie. Było to spełnienie największego marzenia mojego życia. Trzeba byłoby wrócić do czasów starożytnych, aby znaleźć podobne objawienie. We współczesnym świecie takie rzeczy się nie zdarzają.

Tydzień po moim powrocie do Progressive Records zjawiała się pani Sadassa Silvia, aby spytać o pracę. Nie chciała nagrać u nas płyty, poinformowała nas. Chciała dostać taką pracę, jaką ja miałem: przesłuchiwanie innych artystów. Stała przed moim biurkiem w różowych dzwonach i męskiej koszuli w kratkę, z płaszczem przerzuconym przez ramię, a jej drobna twarz była blada ze zmęczenia. Wyglądała tak, jakby pokonała pieszo spory dystans.

- Ja nie zatrudniam - powiedziałem jej. - To nie moja działka.

- Tak, ale pańskie biurko stoi najbliżej drzwi - stwierdziła pani Silvia. - Mogę usiąść?

Nie czekając na odpowiedź, usadowiła się na krześle naprzeciwko mnie. Weszła wcześniej do mojego pokoju. Zostawiłem drzwi otwarte.

- Chce pan zobaczyć moje referencje?

- Nie jestem kadrowcem - powtórzyłem.

Pani Silvia wpatrywała się we mnie przez dosyć grube szkła okularów. Miała ładną, nieco impertynencką twarz, zupełnie jak w dwóch snach, w których mi się ukazała. Zdumiało mnie, jaka jest drobna. Wydawała się nienaturalnie chuda i sprawiała na mnie wrażenie, że jest niezbyt silna fizycznie, a nawet chora.

- Mogę posiedzieć tu chwilę i odsapnąć? - spytała.

- Tak - odparłem, podnosząc się. - Napije się pani czegoś? Wody?

- Mogłabym prosić kawę?

Zrobiłem jej kawę. Siedziała wpatrzona przed siebie, nieruchoma i trochę oklapła. Była dobrze ubrana, gustownie, bardzo nowocześnie, na modłę południowokaliifornijską. Na głowie miała białą czapkę, mocno nasuniętą na czarne włosy w stylu afro.

- Dziękuję.

Kiedy brała ode mnie kawę, zauważyłem piękno jej dłoni. Miała długie palce i starannie wymanikiowane, pociągnięte bezbarwnym lakierem paznokcie. Dziewczyna z dużą klasą, pomyślałem sobie. Dawałem jej trochę ponad dwadzieścia lat. Kiedy mówiła, głos miała pogodny i pełen wyrazu, lecz twarz pozostawała obojętna, chłodna. Jakby pani Silvii coś ciążyło. Jakby wiele w życiu przeszła.

- Chciałaby pani pracować jako kto? - spytałem.

- Stenografuję, piszę na maszynie i skończyłam dwuletnie studia dziennikarskie. Mogę redagować materiały na okładkę. Pracowałam w wydawnictwie uczelnianym Santa Ana College.

Miała najbardziej idealne, najbardziej zachwycające zęby, jakie w życiu widziałem, i dosyć zmysłowe usta - co kontrastowało ze staropanieńskimi okularami. Wyglądało to tak, jakby dolna część jej twarzy zbuntowała się przeciwko ascetyzmowi narzuconemu jej przez wychowanie

w dzieciństwie. Wyczuwałem u niej wybujałą fizyczność świadomie powściąganą ze względów moralnych. Ta dziewczyna, uznałem, kalkuluje każdy swój gest. Oblicza, czy opłaci jej się coś zrobić. To osoba, która doskonale nad sobą panuje, nie daje ujścia spontanicznym porywom.

Jest również bardzo inteligentna, uznałem.

- Jaką ma pani gitarę? - spytałem.

- Gibsona. Ale nie gram zawodowo.

- Pisze pani piosenki?

- Tylko poezję.

- „Musisz włożyć pantofle, / Aby pójść ku jutrzence” - zacytowałem.

Parsknęła dźwięcznym, gardłowym śmiechem.

- A, tak. *Oda do Empedoklesa*.

- Co? - spytałem niepewnie.

- Musiał pan to przeczytać w księdze pamiątkowej mojego liceum.

- Jakim sposobem miałbym to przeczytać w księdze pamiątkowej pani liceum?

- Kiedy pan to przeczytał?

- Nie pamiętam.

- Koleżanka napisała to pod moim zdjęciem. Chyba chodziło jej o to, że jestem zbyt idealistyczna. Że nie stąpam po ziemi i rzucam się raz tu, raz tam... Angażuję się w różne sprawy. Była wobec mnie bardzo krytyczna.

- Lepiej niech pani idzie do działu kadr.

W niektórych aspektach sen okazał się trafny, w innych zupełnie chybiony. Jako prekognicja (tak nazwałby to Phil) zawiódł, bo wystąpiły poważne zniekształcenia przy odbiorze danych, bądź przy ich przetwarzaniu i interpretacji przez mój śniący mózg. Trudno byłoby nagrać kogoś, kto stenografuje. Raczej nie podbiliśmyby rynku czymś takim. Raczej nie miałem możliwości wykonać poleceń ze snu, czy pochodziły od Valisa, czy nie.

Mimo to byłem zdumiony, jak wiele informacji okazało się trafnych. Po pierwsze podano mi właściwe nazwisko, a po drugie Sadassa Silvia w prawdziwym życiu wyglądała tak samo jak na zdjęciu i na okładce albumu. Nawet jeżeli nic więcej z tego nie wynikało, potwierdzało to przewidywalny charakter moich snów. A przypuszczalnie nic więcej z tego nie wynikało, bo należało sądzić, że na tym sprawa się skończy. Graniczyłoby z cudem, gdyby Sadassa Silvia dostała u nas jakąkolwiek pracę. Z tego, co wiedziałem, już teraz mieliśmy przerost zatrudnienia.

Odstawiwszy filiżankę z kawą, pani Silvia wstała i uraczyła mnie krótkim, śmiałym uśmiechem.

- Może jeszcze się zobaczymy.

Wyszła z mojego gabinetu powolnym, niemal chwiejnym krokiem. Zauważyłem, jak chude wydają się jej nogi, chociaż trudno to było ocenić z powodu rozszerzanych u dołu spodni.

Kiedy zamknąłem drzwi swojego biura, spostrzegłem, że zostawiła życiorys i klucze. Urodzona w Orange County w miasteczku Yorba Linda, w 1951 roku... Nie mogłem się powstrzymać przed zerknięciem na życiorys, kiedy wychodziłem z biura, żeby spróbować ją złapać na korytarzu. Nazwisko panięskie: Sadassa Aramchek.

Zatrzymałem się z życiorysem w dłoni. Ojciec: Serge Aramchek. Matka: Galina Aramchek. Czy dlatego operator sieci skierował ją do mnie?

Gdy wyszła z toalety, zbliżyłem się do niej i zatrzymałem ją.

- Czy mieszkała pani kiedykolwiek w Placentii?

- Dorastałam tutaj.

- Znała pani Ferrisa Fremonta?

- Nie. On się już przeniósł do Oceanside, kiedy się urodziłam.

- Mieszkam w Placentii. Któregoś wieczoru znajomy i ja znaleźliśmy słowo „Aramchek” wydrapane w płycie chodnikowej.

- Mój młodszy brat to zrobił - odparła Sadassa Silvia z uśmiechem. - Miał szablon i wszędzie zostawiał nasze nazwisko.

- To było tuż obok domu, w którym urodził się Ferris Fremont.

- Wiem.

- Czy istnieje jakiś związek między...

- Nie - powiedziała bardzo stanowczo. - To czysty zbieg okoliczności. Ciągle mnie o to pytano, kiedy używałam swojego prawdziwego nazwiska.

- Silvia to nie jest pani prawdziwe nazwisko?

- Nie. Nigdy nie byłam zamężna. Musiałam zacząć używać innego nazwiska z powodu Ferrisa Fremonta. Przez niego nie dało się żyć z nazwiskiem „Aramchek”. Sam pan rozumie. Wybrałam „Silvia”, bo wiedziałam, że ludzie automatycznie to odwrócą i będą myśleli, że nazywam się Silvia Sadassa.

Uśmiechnęła się, pokazując swoje idealne, zachwycające zęby.

- Mam polecenie podpisać z panią kontrakt na nagranie.

- Co miałabym robić? Grać na gitarze?

- Śpiewać. Ma pani wspaniały głos, sopran. Słyszałem go.

Rzeczowym tonem Sadassa Silvia potwierdziła:

- Tak, mój głos to sopran. Śpiewam w chórze kościelnym. Należę do Kościoła episkopalnego. Ale to marny głos, nie wyszkolony. Najlepiej mi wychodzi, kiedy się trochę upiję i śpiewam sprośne piosenki w windzie mojego bloku mieszkalnego.

- Mogę pani powiedzieć tylko to, co wiem. - Wyglądało na to, że wiele z tego, co wiedziałem, kłóciło się ze sobą. - Chce pani, żebym z panią poszedł do kadr? Przedstawił panią?

- Rozmawiałam z nim.

- Już?

- Akurat wychodził ze swojego pokoju. Mówi, że nie przyjmujecie nowych pracowników. Macie przerost zatrudnienia.

- To prawda. - Staliśmy twarzą do siebie. - Dlaczego przyszła pani po pracę do Progressive Records?

- Macie dobrych artystów. Wykonawców, których lubię. To było raczej pragnienie zrealizowania marzeń, jak większość moich pomysłów. Uznałam, że to byłoby bardziej ekscytujące niż praca sekretarki prawnika albo dyrektora firmy naftowej.

- A pani wiersze? Mógłbym zobaczyć któreś z nich?

- Jasne - kiwnęła głową.

- Nie śpiewa pani, kiedy pani gra na gitarze?

- Trochę. Raczej nuce, niż śpiewam.

- Mogę panią zaprosić na lunch?

- Jest wpół do czwartej.

- Mogę panią zaprosić na drinka?

- Czeka mnie jazda samochodem z powrotem do Orange County. Wzrok mi zupełnie wysiada, gdy się napiję. Zupełnie ośleplam, kiedy byłam chora. Wpadałam na ściany.

- Co to była za choroba?

- Rak. Chłoniak.

- A teraz jest pani zdrowa?

- Jestem w remisji. Poddano mnie terapii kobaltowej i chemioterapii. Sześć miesięcy temu nastąpiła remisja, przed zakończeniem cyklu chemioterapii.

- To bardzo dobrze.

- Mówią, że jeśli przeżyję następny rok, to przypuszczalnie będę miała przed sobą pięć, a nawet dziesięć lat życia. Zdarzają się ludzie, którzy tak długo są w remisji.

To wyjaśniało, dlaczego miała takie chude nogi i dlaczego sprawiała wrażenie osoby zmęczonej, słabej i schorowanej.

- Współczuję pani.

- O, dużo się dzięki temu nauczyłam. Chciałabym przyjąć święcenia kapłańskie. Być może Kościół episkopalny zacznie w końcu wyświęcać kobiety. Na razie perspektywy nie są zbyt różowe, ale sądzę, że dojdzie do tego, zanim skończę college i seminarium.

- Podziwiam panią.

- W zeszłym roku, w okresie największego nasilenia choroby, byłam głucha i ślepa. Dalej biorę lekarstwa zapobiegające konwulsjom. Miałam przerzuty na kręgosłup i płyn mózgowy, zanim zaczęła się remisja. - Po chwili dodała neutralnym, zamyślonym tonem: - Lekarz mówi, że jeszcze nikt, kto miał przerzuty do mózgu, nie... przeżył. Mówi, że jeśli przeżyję następny rok, to

opisze mój przypadek.

- Niezwykła z pani osoba - powiedziałem i rzeczywiście byłem pod wrażeniem.

- Pod względem medycznym tak. Poza tym potrafię tylko pisać na maszynie i stenografować.

- Czy wie pani, dlaczego zaczęła się remisja?

- Tego nigdy nie wiadomo. Myślę, że modlitwa poskutkowała. Mówiłam ludziom, że Bóg mnie uzdrawia. To było w czasie, kiedy nie widziałam, nie słyszałam, miałam ataki konwulsji od leków, byłam cała opuchnięta i włosy - zawahała się - mi wypadły. Nosiłam perukę. Dalej ją mam, na wszelki wypadek.

- Proszę, niech mi pani pozwoli sobie coś postawić.

- A może zamiast tego kupi mi pan wieczne pióro? Nie potrafię utrzymać w palcach normalnego długopisu. Za mały. Mam bardzo niewiele siły w prawej dłoni. Cała ta strona jest słaba. Ale robi się coraz silniejsza.

- Wieczne pióro potrafi pani utrzymać?

- Tak, i potrafię pisać na elektrycznej maszynie.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak pani.

- To chyba ma pan szczęście. Mój chłopak mówi, że jestem nudna. Zawsze mi cytuje Chucklesa Chipmunka z *A Thousand Clowns*: „Nudna, nudna, nudna, nudna, nudna”.

Roześmiała się.

- Jest pani pewna, że on naprawdę panią kocha?

Nie wyglądało mi na to.

- O, ciągle coś załatwiam, robię listy zakupów i szyję. Połowa czasu schodzi mi na szyciu. Większość ubrań szyję sobie sama. Zrobiłam tę bluzkę. Tak jest dużo taniej. Oszczędzam w ten sposób mnóstwo pieniędzy.

- Nie ma pani za dużo pieniędzy?

- Tylko rentę inwalidzką. Z trudem starcza na czynsz. Nie zostaje mi zbyt dużo na jedzenie.

- Chryste, postawię pani obiad z dziesięciu dań.

- Nie jem zbyt dużo. Nie mam apetytu. - Widziała, że oglądam ją od stóp do głów. - Wazę czterdzieści siedem kilo. Mój lekarz mówi, że chce, żebym dobiła do pięćdziesięciu trzech, mojej normalnej wagi. Ale zawsze byłam chuda. Urodziłam się jako wcześniak. Jeden z najmniejszych noworodków w Orange County.

- Dalej pani mieszka w Orange County?

- W Santa Ana. Blisko mojego kościoła pod wezwaniem Mesjasza. Jestem tam świecką lektorką. Tamtejszy pastor, ojciec Adams, to najwspanialszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam. Cały czas wspierał mnie na duchu, kiedy byłam chora.

Przyszło mi do głowy, że znalazłem kogoś, z kim mógłbym porozmawiać o Valisie. Potrzebowałem jednak sporo czasu, aby ją bliżej poznać, zwłaszcza że byłem żonaty. Zabrałem

ją do sklepu papierniczego, znalazłem dla niej właściwy model wiecznego pióra, po czym na razie się z nią pożegnałem.

W rzeczywistości mogłem o wszystkim porozmawiać z moim przyjacielem Philipem Dickiem, pisarzem fantastycznonaukowym. Tego wieczoru opowiedziałem mu o sterowanym przez SI dalekopisie, który wydrukował słowa „Portugalskie Stany Ameryki”.

Uznał to za ważne odkrycie.

- Wiesz, co myślę? - powiedział z przejęciem, odruchowo biorąc niuch tabaki Dean Swift. - Pomoc, którą otrzymujesz, przychodzi z równoległego wszechświata. Z innej Ziemi, na której historia potoczyła się innym torem niż na naszej. Wygląda mi na to, że nie odbyła się tam rewolucja protestancka, reformacja. Świat przypuszczalnie podzieliły między siebie Portugalia i Hiszpania, pierwsze wielkie mocarstwa katolickie. Nauki ścisłe rozwijały się tam w służbie celom religijnym, a nie świeckim tak jak u nas. Masz wszystkie elementy, które potwierdzają tę hipotezę: pomoc o wyraźnie religijnym charakterze, pochodząca z innego wszechświata, z Ameryki będącej we władaniu pierwszej katolickiej potęgi morskiej. To się trzyma kupy.

- Przypuszczalnie istnieją też inne równoległe wszechświaty.

- Bóg i nauka współpracujące ze sobą - powiedział Phil podnieconym tonem; rzucił się na poszukiwanie kolejnych puszek tabaki. - Nic dziwnego, że głos wydaje się taki odległy, kiedy do ciebie mówi. Nic dziwnego, że śnisz o elektronicznym sprzęcie nagłaśniającym i głuchoniemych ludziach; to nasi dalecy krewni, którzy w tę stronę ewoluowali. Dobry materiał na powieść.

Po raz pierwszy zobaczył w moim doświadczeniu coś, co mogłoby zostać wykorzystane w książce, a w każdym razie po raz pierwszy się do tego przyznał.

- To by tłumaczyło, dlaczego jeden z moich snów był zupełnie pozbawiony sensu - stwierdziłem.

Przyśnił mi się rząd akwariów z gnijącą, mulistą wodą. Zaglądaliśmy do pierwszego z nich i zobaczyliśmy, że żyjątko na dnie akwarium duszą się i umierają na skutek zanieczyszczenia środowiska. Przeszliśmy - wielkie postacie patrzące w dół - do następnego akwarium i stwierdziliśmy, że zanieczyszczenie jest tam mniejsze. W szlamie widać było przynajmniej małe skorupiaki i kraby. We śnie nagle zdałem sobie sprawę, że patrzymy z góry na nasz własny świat. Ja byłem jednym z małych krabów żyjących na dnie, wstydliwie schowanym za kamieniem. „Spójrz” - powiedział wielki, lecz niewidoczny mężczyzna obok mnie. W ręce miał mały, błyszczący przedmiot jakiegoś świecidełko, które podał małemu krabowi na dnie akwarium, czyli mnie. Krab powoli wypełznął zza kamienia, chwycił świecidełko szczypcami, oglądnał je, po czym wrócił za kamień. Uznałem, że krab zwędził nam świecidełko, ale nie, po chwili wyłonił się z czymś, co chciał za nie wymienić. Ogromny mężczyzna obok mnie wyjaśnił, że krab to uczciwa forma życia, która nie bierze, lecz wymienia się - handluje, nie kradnie. Obaj

podziwialiśmy tę skromną formę życia, chociaż cały czas miałem świadomość, że to ja, widziany z innej perspektywy, z perspektywy wyższej formy życia.

Przeszliśmy teraz do trzeciego akwarium, które w ogóle nie było zanieczyszczone. Stworzenia podobne do wypełnionych helem balonów wydobywały się z mułu, aby wypłynąć na powierzchnię, unikając tragicznego losu, jaki czekał organizmy w poprzednich akwariach. Tu warunki były lepsze.

To był lepszy wszechświat, zrozumiałem teraz. Każde z akwariów, z życiem na dnie, na powierzchni mułu i szlamu - każde z nich było równoległym wszechświatem albo równoległą ziemią. My mieszkaliśmy na najgorszej z nich.

- Podejrzewam, że tylko w naszym wszechświecie Ferris F. Fremont doszedł do władzy - powiedziałem.

- Najgorsza możliwość - przytaknął Phil. - I dlatego ci z bardziej zaawansowanych wszechświatów nam pomagają. Przenikają ze swojego świata do naszego.

- Więc nie widzisz w tym działania żadnej transcendentnej siły religijnej?

- Owszem, działa transcendentna siła religijna, ale w ich świecie. Ich świat jest światem religijnym, światem rzymskokatolickim, który ma do dyspozycji chrześcijańskie nauki ścisłe. Nie ulega wątpliwości, że udało im się dokonać przełomu naukowego, który pozostaje poza zasięgiem naszych możliwości, a mianowicie potrafią się przenosić z jednego równoległego wszechświata do drugiego. My nawet nie uznajemy istnienia wszechświatów równoległych, a co dopiero mówić o podróży między nimi.

- To dlatego stale robi na mnie wrażenie zarazem religijnego i wysoko rozwiniętego technicznie.

- Jasna sprawa.

- To ciekawe, że nauka w religijnym świecie miałaby stać na wyższym poziomie niż w naszym.

- Nigdy nie toczyli wojny trzydziestoletniej - powiedział Phil. - Ta wojna cofnęła Europę o pięćset lat... Pierwsza wielka wojna religijna, między protestantami a katolikami. Europa na powrót pogrążyła się w barbarzyństwie, a nawet w kanibalizmie. Pomyśl, co z nami zrobiły bratobójcze wojny religijne. Tyle ludzi zginęło, taki ogrom zniszczeń.

- To prawda - przyznałem.

Może Phil miał rację. Jego hipoteza była czysto świecka, ale pozwalała wyjaśnić wszystkie fakty. Operatorka niskiego szczebla dostarczyła mi jednej mocnej poszlaki: „Portugalskie Stany Ameryki” mogły istnieć tylko w równoległym świecie. Pomoc przychodziła nie z przyszłości, nie z przeszłości, nie od międzygalaktycznych stworzeń z innego układu gwiazdowego - przychodziła z równoległej Ziemi, głęboko religijnej. Chcieli podać rękę światu, który z ich punktu widzenia był spowitym mrokiem piekłem, gdzie rządziła siła fizyczna. Siła fizyczna i potęga Kłamstwa.

Nareszcie mamy wyjaśnienie, pomyślałem. To tłumaczy wszystkie fakty. Nareszcie otrzymaliśmy mocną i poprawną wskazówkę. Odpowiednik pozornej zmiany położenia słońca podczas tego słynnego zaćmienia, zmiany, która potwierdziła teorię względności Einsteina. Drobną, ale nieomylną wskazówką. Trzy słowa odczytane z koperty przez operatora sieciowego niskiego szczebla, odczytane bez zrozumienia, na moją prośbę.

Opowiedziałem Philowi o poznanej przeze mnie dziewczynie, Sadassie Silvii. Nie reagował, dopóki nie dotarłem do historii z Aramchekiem.

- Jej prawdziwe nazwisko - mruknął zamyślonym tonem.
- Dlatego było wydrapane w płycie chodnikowej.
- Jeśli przyśni ci się jeszcze coś o tej dziewczynie, opowiedz mi. Cokolwiek by to było.
- To ważne, prawda? Że zaaranżowali moje spotkanie z tą dziewczyną.
- Sami właśnie ci powiedzieli, że to ważne.
- Ściągnęli ją do Progressive Records. Posterowali nami obojgiem.
- Nie wiesz tego. Wiesz tylko, że prekognicja...

- Wiedziałem, że to powiesz. „Prekognicja”, pieprzenie w bambus, życiem nas obojga manipulują siły nadprzyrodzone.

- Banda portugalskich uczonych.
- Bzdura. Zaaranżowali nasze spotkanie. Nie tylko coś mi powiedzieli, ale zadziałali.

Nie mogłem tego udowodnić, ale byłem tego pewien.

Nie powiedziałem Philowi, ani nikomu innemu, o reklamie butów. Zdradziłem mu tylko, że osobowość telepatycznego nadawcy całkowicie mną ostatnio zawładnęła na krótki, lecz krytyczny okres. Uznałem, że nie byłoby dobrym pomysłem wdawać się w szczegóły. To była sprawa między mną a moimi niewidzialnymi przyjaciółmi. Jak również, zapewne, panowcami. Zresztą i tak myślałem o tym jako o zamkniętej kwestii. Valis raz na zawsze ją rozstrzygnął. Teraz mogliśmy przejść do konstruktywnych kwestii, takich jak panna Silvia, pani Silvia czy panna Aramchek, jak zwał, tak zwał.

- Chciałbym wiedzieć coś więcej na temat nadawcy, którego osobowość tobą zawładnęła - mówił Phil. - O jakiego rodzaju osobowość chodzi? Pasuje do teorii równoległego świata?

Prawdę powiedziawszy, pasowała. Nadawca był osobą bardzo religijną, o czym świadczy odprawienie przez niego świętych obrzędów chrześcijaństwa. Po kryjomu wzięłem udział razem z Johnnym w trzech lub czterech sakramentach Kościoła, według starej liturgii. Poza tym postrzegałem świat nie tak, jak go normalnie postrzegam, lecz oczami pobożnego chrześcijanina. To był zupełnie inny świat. Widząc to, co on widział, rozumiałem to, co on rozumiał. Zgłębiłem misterium Kościoła.

Ja, który wychowałem się w Berkeley i biegałem po jego radykalnych ulicach, śpiewając piosenki marszowe z hiszpańskiej wojny domowej!

Wiele spośród niedawnych wydarzeń zachowałem wyłącznie dla siebie. Nie powiedziałem i nie zamierzałem mówić o nich Philowi. Może popełniłem błąd, przyznając się, że zawładnął mną telepatyczny nadawca. Takie historie mogą ludzi przstraszyć... Z drugiej strony cała sprawa była ze swej istoty przerażająca, ograniczyłem więc grono wtajemniczonych do takich ludzi jak Phil i garstka kolegów z branży. Postanowiłem, że o ostatnich wydarzeniach stanowczo nikt nie może się dowiedzieć. Sprowadzały się one do tego, że boska siła opanowała mnie i zamieniła w swoje narzędzie, dobroczynna siła i dobroczynne narzędzie, ale tak przedstawiała się prawdziwa dynamika sytuacji, na dobre czy na złe.

Gdybym zaakceptował teorię Phila, w myśl której przeniknęły do nas istoty ze świata równoległego, sytuacja stałaby się trochę mniej złowroga, lecz pozostawała przerażająca moc, niesamowita moc i wiedza, nie znana naszemu światu. Może starożytne relacje o teolepsji - opętaniu przez boga, na przykład Dionizosa lub Apolla - dotyczyły identycznych zdarzeń. Nawet jeśli tak było, nie należało tego rozgłaszać wszem i wobec. Dzięki teorii Phila sprawa robiła się mniej groźna, ale nie całkowicie niewinna. Żadna teoria nie mogła tego dokonać. Żaden ciąg słów nie mógł oddać sprawiedliwości doświadczeniu, które znamionował taki ogrom i taka kolosalna siła. Musiałem pogodzić się z tym, że do pewnego stopnia pozostanie to nie wyjaśnione. Na przykład znajomość przyszłości, fakt, że wiedzieli, iż Sadassa Silvia zgłosi się do Progressive Records. No chyba że to oni ją do tego nakłonili przy użyciu podświadomych bodźców. Ale to byłoby wytłumaczenie jednego tajemniczego zjawiska za pomocą innego, jeszcze bardziej tajemniczego.

Wszystko wskazywało na to, że nie jestem jedynym człowiekiem, którego opanowali, który postępuje zgodnie z ich radami i poleceniami. Ale to dodawało mi otuchy, a nie przerażało. I było zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Należało oczekiwać, że zechcą doprowadzić do spotkania tych, którzy pełnili role ich przedłużonych ramion. Można to było zaklasyfikować jako sytuację „razem bezpieczniej”. Poza tym rozwiało to moje obawy związane z tym, że mogę zostać zlikwidowany. Gdybym był jedynym człowiekiem na tej planecie, z którym nawiązali kontakt, na moich barkach spoczywałaby zbyt duża odpowiedzialność. Zjawienie się Sadassy Silvii zdjęło ze mnie to brzemie. Mogli działać za pośrednictwem dowolnej liczby ludzi. Była też czarnowłosa dziewczyna z naszyjnikiem z rybą. Dowiadywałem się już o nią w aptece. Nie przypominali sobie, żeby taka dziewczyna kiedykolwiek dla nich pracowała. Aptekarz tylko się uśmiechnął.

- Mamy tu dużą rotację tych doręczycielek.

W gruncie rzeczy tego się spodziewałem. A zatem wiedziałem już o trzech osobach.

Tyrania Ferrisa Fremonta miała zostać obalona przez pewną liczbę przedłużeń międzygalaktycznej sieci telekomunikacyjnej. Wydawało się oczywiste, że spotkam i poznam bliżej tylko tych, którzy będą ze mną bezpośrednio współpracowali. Tylko tę garstkę i nikogo więcej. Dzięki temu nie mógłbym nikogo więcej wsypać, gdybym się zgłosił do PAN-u.

Zresztą tego samego ranka zastanawiałem się, co mogę powiedzieć PAN-owi - żeby przynajmniej zrozumieli? Moje doświadczenia, może celowo, przyjęły obłąkaną postać. Wyszedłbym na religijnego maniaka, bredzącego o Duchu Świętym, nawróceniu i zmartwychwstaniu, o rozmaitych ekstatycznych, lecz irracjonalnych kontaktach z Bóstwem... PAN i każda inna normalna instytucja po pierwszym przesłuchaniu uznałyby moje zeznania za niewiarygodne. Poza tym Phil zdążył już poinformować PAN, że rozmawiam z Bogiem - ku ich wielkiemu rozczarowaniu i obrzydzeniu. Jak powiedziała panówka, „Nie możemy nic z tym zrobić”.

- Masz zamiar mi odpowiedzieć? - mówił Phil.

- Myślę, że powiedziałem już wystarczająco dużo. Szczerze mówiąc, nie mam ochoty znaleźć tego wszystkiego w jednej tych książek, które piszesz na kopy dla Ace and Berkley.

Phil zapłonął gniewem na tę ironiczną uwagę.

- Usłyszałem już tyle, że więcej mi nie potrzeba. Resztę mogę sobie dorobić z głowy. Więc powiedz mi.

Wahałem się, ale w końcu zdałem mu relację.

- Cyrk na kółkach - stwierdził Phil, kiedy skończyłem. - Osobowość ludzka zupełnie odmienna od twojej. Zawładnęła tobą, działa i myśli za ciebie. Wiesz... - W zamyśleniu startł sobie z nosa pyłek tabaki. - Jest ta historia w Biblii, chyba w Księdze Objawienia. Pierwsze owoce żniw, pierwsi chrześcijańscy zmarli wracają do życia. Tam znajduje się liczba 144 000. Wracają, aby pomóc w stworzeniu nowego porządku, jak to nazywa Biblia. Na długo przed zmartwychwstaniem innych.

Obaj zamyśliliśmy się nad tym.

- Według Biblii w jaki sposób wróca? - spytałem. Czytałem to kiedyś, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Tyle w życiu przeczytałem.

- Dołączą do żywych - odparł Phil uroczystym tonem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. W nie skonkretyzowany sposób. Pamiętam, że kiedy czytałem, to zastanawiałem się, skąd wezmą ciała. Masz Biblię, żebyś mógł zerknąć?

- Jasne.

Dałem mu egzemplarz Biblii Jerozolimskiej i szybko znalazł właściwy fragment.

- Nie ma tego wszystkiego, co myślałem - powiedział. - Ale reszta jest porzucana po całym Nowym Testamencie. Na końcu czasów pierwsi chrześcijańscy zmarli zaczną powracać do życia. Jeśli zważyć, jak niewielu ich było w epoce apostołskiej, kilkunastu, potem stu, to należałoby sądzić, że ich pierwsze pojawienie się, zakładając, że to wszystko można traktować poważnie, nastąpi raz tutaj, raz tam, potem trzecie, czwarte, piąte, szóste. Rozrzućni po całym świecie... Ale w jakiego rodzaju ciałach? Nie w tych, które pierwotnie mieli. Paweł nie

pozostawia w tej kwestii żadnych wątpliwości. Tamte ciała podlegały zepsuciu. Posłużył się greckim terminem sarx.

- Poza tamtymi dostępne są tylko nasze ciała.

- Racja - skinał głową. - Pozwól, że ci coś zasugeruję. Przypuśćmy, że jeden z pierwszych owoców zniwa powrócił do życia nie na zewnątrz w swoim własnym ciele, jakiegokolwiek byłoby ono rodzaju, lecz podobnie jak Duch Święty, przejawiając się wewnątrz ciebie. Powiedz mi, jak by się to różniło od twoich doznań?

Nie miałem nic do powiedzenia. Tylko na niego patrzyłem, gdy siedział otoczony swymi wszechobecnymi żółtymi puszkami tabaki.

- Nagle jakaś istota zaczęłaby mówić do ciebie w grece koine - powiedział Phil. - W starożytnej grece. Wewnątrz twojej głowy. I postrzegałaby świat tak samo jak pierwsi...

- Okej - uciałem poirytowany. - Wiem, do czego zmierzasz.

- Ten „telepatyczny nadawca, którego osobowość wyparła twoją” jest w twojej głowie. Nadaje z innych obszarów twojej czaszki. Z nie wykorzystywanej wcześniej tkanki mózgowej.

- Myślałem, że skłaniasz się ku teorii równoległego wszechświata - stwierdziłem zdziwiony.

- To było piętnaście minut temu. Wiesz, jaki mam stosunek do teorii. Teorie są jak samoloty na lotnisku międzynarodowym w LA: co minutę nowa. Tu raczej nie chodzi o równoległy wszechświat, tylko o równoległą półkulę wewnątrz twojej głowy.

- Tak czy owak to nie jestem ja.

- Chyba że jakimś cudem nauczyłeś się w dzieciństwie starogreckiego, ale zapomniałeś na świadomym poziomie. Razem z całą resztą, na przykład informacją o wadzie okołoporodowej Johnny'ego, którą nagle dostałeś.

- Zamierzam się zobaczyć z Sadassą Silvia - wyznałem mu.

Na szczęście Rachel nie mogła mnie usłyszeć.

- Chcesz powiedzieć, zobaczyć się z nią ponownie.

- No tak, kupiłem jej wieczne pióro.

- Coś do pisania - rzekł Phil zamyślonym tonem. - Dosyć nietypowy pierwszy prezent dla dziewczyny. Nie kwiaty, słodczyce czy bilety do kina.

- Wytłumaczyłem ci dlaczego...

- Tak, wytłumaczyłeś mi dlaczego. Kupujesz komuś pióro, żeby miał czym pisać. Oto dlaczego. To się nazywa przyczyna celowa albo teleologiczna, czyli po co. To wszystko, w co jesteś zaangażowany, w ostatecznym rozrachunku należy oceniać pod kątem celu, a nie uwarunkowań, z których wynikło. Gdyby stado filantropijnych pawianów postanowiło obalić Ferrisa F. Fremonta. Powinniśmy się z tego radować. Z kolei gdyby aniołowie i archaniołowie uznali, że tyrania jest czymś dobrym, powinniśmy głośno protestować. Racja?

- Na szczęście nie stoimy przed tym dylematem.

- Chcę tylko powiedzieć, że nie powinniśmy zanadto łamać sobie głowy pytaniem, kim są nasi tajemniczy przyjaciele. Interesować powinna nas kwestia, jakie mają zamiary.

Musiałem się z nim zgodzić. Jediną rzeczą, na której mogłem się oprzeć, były słowa rzymskiej sybilli o spiskowcach - a zatem słowa inkarnacji międzygalaktycznej sieci telekomunikacyjnej, w takich bowiem kategoriach wciąż to postrzegałem. Na razie musiałem się tym zadowolić.

Tej nocy otrzymałem we śnie dalsze informacje na temat Sadassy Silvii. We śnie, który mienił się opalizującymi, podświetlonymi kolorami, pokazano mi wielką, oprawną w skórę księgę. Wyraźnie widziałem okładkę. Wytłaczanymi złotymi literami napisane było na niej:

ARAMCHEK

Niewidzialne dłonie otworzyły księgę i położyły ją na stole. I nagle, co za niespodzianka, pojawił się Ferris F. Fremont, z jego naburmuszoną miną i wielkimi zuchwami. Ferris Fremont nastroszył się, wziął do ręki duże, czerwone pióro i wpisał swoje nazwisko do księgi, która okazała się liniowanym rejestrem.

Potem przyszła starsza pani z siwymi włosami upiętymi w kok. Miała na sobie biały fartuch pielęgniarki i spozierała przez grube szkła okularów, tak jak Sadassa. Z zaferowanym, kompetentnym uśmiechem starsza pani zamknęła rejestr, wzięła go pod pachę i szybko się oddaliła. Przypominała Sadassę. Kiedy się temu wszystkiemu przyglądałem, przemówił głos, znajomy quasi-ludzki głos SI, który nauczyłem się rozpoznawać.

- Jej matka.

To wszystko. Jeden napisany, dwa wypowiedziane wyrazy - w sumie trzy słowa. Zbudziłem się jednak natychmiast, usiadłem na łóżku, po czym wstałem i poszedłem zrobić sobie kawy.

Aramchek to było oczywiście nazwisko jej matki. Aramchek - matka Sadassy. Ferris Fremont wpisuje się do jej księgi rejestrowej, ale co to za księga? Na okładce było napisane Aramchek. Jej nazwisko, nazwa podziemnej organizacji wywrotowej. Czerwone wieczne pióro, bardzo podobne do tego, które kupiłem Sadassie.

Czerwone, wywrotowa, zapisać się, stara matka Sadassy.

Jezu Chryste! - powiedziałem do siebie, kiedy siedziałem w salonie i czekałem, aż woda na kawę się zagotuje.

To nie był sen, to był wydruk informacji, czytelny, oszczędny i dosadny. Bez owijania w bawełnę. Jak w politycznym dowcipie rysunkowym, przekazano mi wiadomość przy pomocy środków graficzno-werbalnych: połączenie słowa i obrazu.

Oprócz wiadomości *sensu stricto* otrzymałem też całą masę dodatkowych informacji pochodzących z tego samego źródła. Dlatego moje spotkanie z Sadassą było takie ważne: nie ze względu na Sadassę, lecz na jej matkę, która już nie żyła. Wiedziałem o tym, zrozumiałem to. Scena, której byłem świadkiem, zdarzyła się wiele lat wcześniej, kiedy Ferris Fremont był młody. Dobiegał dwudziestki. To było podczas drugiej wojny światowej, przed włączeniem się w nią Ameryki. Pani Aramchek działała w Partii Komunistycznej i zwerbowała do niej nastoletniego

Ferrisa Fremonta. Mieszkali parę domów od siebie w Placentii. Partia szukała nowego narybku pośród Amerykanów pochodzenia meksykańskiego, którzy zatrudniali się do zbiorów w Orange County. Zwerbowanie Fremonta było przypadkowym tego odpryskiem.

Nie chodziło o przelotny kaprys, zwykły przerywnik w młodości Ferrisa Fremonta. Dzięki pewnym cechom jego charakteru - brakowi skrupułów, niespożytej ambicji zdobycia władzy nad innymi ludźmi, podszytemu nihilizmem brakowi ustalonego systemu wartości - Ferris okazał się dokładnie takim człowiekiem, jakiego szukała pani Aramchek. Zachowała w tajemnicy jego członkostwo i zewidencjonowała go pod specjalną kategorią. Ferris Fremont należał do uśpionych, przeznaczonych do tego, by dyskretnie pięć się po szczeblach hierarchii społecznej aż do dnia, kiedy metodą politycznych manipulacji wyniesie się go do władzy.

Cóż to była za przytłaczająca i przerażająca świadomość! Sadassa wiedziała, że jej matka pracowała dla oddziału kalifornijskiego KP-USA. Była wtedy dzieckiem - widziała Ferrisa Fremonta, i później, kiedy zaistniał na scenie politycznej po śmierci matki Sadassy, rozpoznała go. Jednak nigdy o tym nikomu nie powiedziała. Bała się.

Nic dziwnego, że zmieniła nazwisko.

Wolałbym, żeby moi niewidzialni przyjaciele nie udostępni mi tej wiedzy. Było to dla mnie zbyt duże obciążenie. Nie tylko sama wiedza, ale również znajomość z wciąż żyjącą córką pani Aramchek. Psiakrew, ciekawe, czego się jeszcze dowiem.

Sadassa Aramchek, o czym sama wiedziała, była bodaj jedynym żyjącym świadkiem faktu, że prezydent Stanów Zjednoczonych był uśpionym członkiem Partii Komunistycznej. Że - jak uświadomiła mi sieć telekomunikacyjna, która stale kierowała moje myśli na drogę prawdy - PK wespół z radzieckimi zamachowcami politycznymi, bez wątpienia szkolonymi przez KGB, przejęła władzę w Stanach Zjednoczonych pod sztandarem antykomunizmu.

Wiedziała o tym Sadassa Aramchek, chora na chłoniaka, lecz obecnie w remisji. Wiedziałem o tym ja. Wiedziała o tym radziecka Partia Komunistyczna, a przynajmniej niektórzy jej członkowie. Wiedział o tym Ferris Fremont.

Numer z reklamą butów skończyłby się tak, że zostałbym zlikwidowany. Jednego wtajemniczonego mniej. Zatruta strzała wycelowana przez nie wiadomo kogo w moje serce na kilka dni przed tym, jak poznałem Sadassę. Zbieg okoliczności? Może. Nic jednak dziwnego, że Valis i jego operatorzy sieci uaktywnili się, aby przyjść mi z jawną pomocą. Jeszcze kilka godzin, a padłbym ofiarą PAN-u w przededniu spotkania dziewczyny, z którą miałem współpracować.

Wróg o mało nas nie skasował, mimo że miałem tak potężnych przyjaciół. Tylko wszechwiedza Valisa pozwoliła temu zapobiec. Jak niewiele brakowało, pomyślałem.

Co powinienem teraz zrobić? Dlaczego spośród setek milionów ludzi Valis wybrał mnie? Dlaczego nie redaktora naczelnego wysokonakładowej gazety, dziennikarza telewizyjnego,

znanego pisarza albo któregoś z wrogów politycznych Ferrisa?

Przypomniałem sobie wcześniejszy sen, ze wszystkimi szczegółami, i serce prawie stanęło mi w piersiach, dudniąc głucho z niepokojem. Sen o albumie Sadassy Silvii, na którego okładce było jednoznacznie napisane:

SADASSA SILVIA ŚPIEWA

Tak brzmiał tytuł albumu. Teraz go sobie przypomniałem, chociaż wtedy wydawało się oczywiste, że pierwszy longplay Sadassy Silvii powinien się tak nazywać. Drugie znaczenie czasownika „śpiewać”: zeznać coś przeciwko komuś.

Jako osoba zajmująca kierownicze stanowisko w Progressive Records mogłem podpisać z nią kontrakt. Spojrzałem teraz wstecz przerażony i pełen podziwu, bo uzmysłowiłem sobie, jakiej maestrii wymagało umieszczenie mnie na tym wysokim stanowisku, na posadzie w kwitnącej wytwórni fonograficznej, która miała w swojej stajni wielu czołowych artystów folkowych. Zaczęło się wiele lat temu od przewidystycznej wizji krainy, którą wziąłem za Meksyk. Jako sprzedawca płyt w Berkeley nie byłbym nic wart. Nie miałbym żadnych możliwości. Teraz mogłem coś zrobić. Sadassa grała na gitarze. Wbrew temu, co powiedziała, była na tyle dobra, że kupiła sobie Gibsona, najdroższą - i najbardziej profesjonalną - gitarę akustyczną dostępną na rynku. Sadassa pisała też teksty. Nie miało znaczenia, czy potrafiła śpiewać. Jej teksty mogła zaśpiewać dowolna wokalistka. Progressive Records stale dostarczało materiał swoim wykonawcom. Byli wokaliści, którzy nie umieli pisać i tekściarze, którzy nie umieli śpiewać. Swataliśmy ich ze sobą, jeśli zaszła potrzeba. Byliśmy urzędem pośrednictwa, w którym wszystko się zbiegało.

Poza tym muzyka folkowa była w mniejszym stopniu nadzorowana przez PAN niż media informacyjne: telewizja, radio, programy i czasopisma informacyjne. PAN tropił tylko piosenki protestujące przeciwko wojnie w Wietnamie. W branży popowej cenzura nie musiała się specjalnie wysilać, bo teksty zawsze miały dosyć prostoduszny charakter.

Sadassa Silvia była inteligentną, wykształconą dziewczyną. Intuicja mówiła mi, że teksty Sadassy nie są takie oczywiste, jakie mogą się w pierwszym czytaniu wydawać. Może po namyśle, kiedy rozmaite skojarzenia zaczynają drażnić duszę...

Poprzez naszych dystrybutorów mogliśmy wypromować nowego artystę folkowego w stacjach radiowych, w sklepach z płytami, w drugstore'ach i supermarketach, pomagając sobie reklamami, a nawet koncertami, jednocześnie w całych Stanach Zjednoczonych. Progressive Records miało renomę firmy o czystych rękach. Nigdy nie wplątaliśmy się w żadne kłopoty z PAN-em, w przeciwieństwie do niektórych niezależnych wytwórni fonograficznych. Wedle mojej wiedzy najostrożniejszą akcją PAN-u wobec nas była próba nakłonienia mnie do składania

raportów o debiutantach, starczyło mi jednak kręgosłupa, żeby odmówić.

Debiutanci. Czy dwaj niemłodzi już panowcy z podwójnymi podbródkami, którzy zwrócili się do mnie z tą propozycją, myśleli konkretnie o Sadassie? Czy była inwigilowana? Ferris Fremont z pewnością zleciłby jej inwigilację, ale być może nie wiedział o jej istnieniu.

Uzmysłowiło mi to, jak niebezpieczna jest cała ta historia. Najpierw, nie tak dawno, wizyta dwóch panowców. Teraz zjawienie się Sadassy. Dwaj funkcjonariusze, potem reklama butów w poczcie, teraz Sadassa. Valis dokładnie wyliczył moment interwencji. Nie można było z nią zwlekać. Machina poszła w ruch i wzięła w obroty także Phila. On też miał gości. Obaj byliśmy pod stałą obserwacją, a przynajmniej do momentu, gdy zadzwoniłem do PAN-u i podałem im moją wersję faktów - wersję Valisa.

Może zostałem tymczasowo zwolniony spod nadzoru i może Valis załatwił to, mając na względzie tylko jedną rzecz: moje spotkanie z Sadassą.

Jej teksty, pomyślałem, gdyby skomponować do nich jakieś chwytliwe ballady, dotarłyby do szerokiego grona słuchaczy, puszczone raz po raz przez stacje muzyczne nadające na długich, średnich i krótkich falach. A gdyby zarejestrować to, co Sadassa ma do powiedzenia w formie podprogowej, to może władze nie...

W formie podprogowej. Po raz pierwszy zrozumiałem sens przykrego doświadczenia z wulgarnymi przekazami podprogowymi, które zdołałem przechwycić do świadomości. Niestety, było to konieczne. Uzmysłowiono mi - nadzwyczaj dobitnie - co można osiągnąć, wprowadzając podprogowe treści do muzyki popularnej. Ludzie słuchają w półśnie, chłoną w nocy coś, w co nazajutrz będą wierzyli!

Dobra, powiedziałem w duchu do Valisa. Wybaczam ci, że poddałeś mnie tej próbie. Przekazałeś mi to, co miałeś do przekazania, doskonale. W porządku. Pewnie nie było sposobu na to aby poinformować mnie o wszystkim naraz. Obraz musiał być odsłaniany etapami.

Teraz ostro i wyraźnie widziałem inną sprawę. Moja przyjaźń z Philem, on i dziesiątki popularnych thrillerów fantastyczno-naukowych sprzedawanych w drugstore'ach i na dworcach autobusowych to fałszywy trop, który ma zmylić władze. Tego właśnie szukają: czekają, aż coś się pojawi w tej straganowej literaturze. Każda z tych powieści jest starannie prześwietlana przez tajne służby. Branża fonograficzna też jest prześwietlana, ale u nas szuka się raczej podtekstów pronarkotycznych, jak również aluzji seksualnych. Treści polityczne władze próbują znaleźć w dziedzinie fantastyki naukowej.

A przynajmniej, powiedziałem sobie, taką mam nadzieję. Nie sądzę, aby uszło nam bezkarnie, gdybyśmy umieścili coś takiego w książce, nawet na poziomie podprogowym. Myślę, że z kawalkami popowymi mamy większe szansę. I wszystko wskazuje na to, że Valis też tak uważa.

Oczywiście, zdałem sobie sprawę, jeśli nas złapią, to nas zlikwidują. Co na to Sadassa? Jest

taka młoda... I wtedy przypomniałem sobie smutny fakt, że dziewczyna ma raka i chwilowo jest w remisji. Nie może liczyć na długie życie. Była to otrzeźwiająca myśl, lecz Sadassa nie miała zbyt wiele do stracenia. I przypuszczalnie spojrzełaby na sprawę w ten sam sposób. Chłoniak dopadnie ją wcześniej niż oni.

Być może tu kryła się zasadnicza przyczyna, dla której Sadassa zgłosiła się do pracy w firmie fonograficznej. Podświadomie wyczuwała, że w wytwórni płytowej jej historia mogłaby... - ale to były już czyste spekulacje. Operatorzy sieci nie skierowali moich myśli na te tory. Nie nakłaniali mnie też do rozważań, czy u Sadassy wywołano raka po to, aby ją popchnąć do upublicznienia posiadanej przez nią wiedzy. To mój własny umysł wdawał się w takie dywagacje. Wątpiłem w to jednak. Najprawdopodobniej nastąpił zbieg okoliczności. A przecież operator sieci powiedział, że Bóg umie zbudować dobro na złu. Rak był zły i Sadassa chorowała na raka. Może Valis zdołał zbudować na tym coś dobrego?

Następnego dnia poszedłem do działu kadr, gdzie uciałem sobie pogawędkę z Allenem Sheibem, który powiedział pani Silvii, że mamy przerost zatrudnienia.

- Weź ją - powiedziałem mu.

- Na jakie stanowisko?

- Potrzebuję asystentki.

- Muszę się skonsultować z księgowością, Flemingiem i Tycherem.

- Zatrudnij ją - powtórzyłem. - Jeśli to zrobisz, będę ci winien przysługę.

- W interesach nie ma zmiłuj się. Zrobię, co będę mógł. Poza tym to ja jestem ci winien przysługę. W każdym razie spróbuję to załatwić. Jak sobie wyobrażasz zarobki?

- To nieistotne.

W końcu mogłem ją dofinansować ze środków, które pozostawały w mojej gestii - z naszego nie deklарowanego funduszu, z którego dawaliśmy różnym ludziom w łapę. W naszej utajnionej księgowości Sadassa byłaby na jednej liście z różnymi lokalnymi didżejami. Nikt by się niczego nie dowiedział.

- Chcesz, żebym przeprowadził z nią rozmowę kwalifikacyjną, sprawdził, co umie, żeby nie myślała, że dostaje pracę po protekcji? - spytał Sheib.

- Dobry pomysł.

- Masz jej numer?

Miałem. Dałem go Sheibowi wraz z instrukcją, aby jej powiedział, że ma się zgłosić na rozmowę kwalifikacyjną, bo powstał wakat. Dla wszelkiej pewności, żeby nie było jakiegś wpadki sam do niej zadzwoniłem.

- Tu Nicholas Brady - powiedziałem, gdy podniosła słuchawkę. - Z Progressive Records.

- O, czyżbym coś zostawiła? Nie mogę znaleźć...

- Chyba mamy dla pani pracę.

- O. No tak, ale ja zdecydowałam, że właściwie nie chcę iść do pracy. Złożyłam podanie o stypendium w Chapman College i już po naszej rozmowie zawiadomili mnie, że je dostałam, więc mogę teraz wrócić na studia.

Nie wiedziałem, jak zareagować.

- Nie przyjdzie pani na rozmowę kwalifikacyjną?

- Proszę mi powiedzieć, co to miałyby być za praca. Prowadzenie dokumentacji i pisanie na maszynie?

- Byłaby pani moją asystentką.

- Co bym robiła?

- Chodziła ze mną na przesłuchania nowych wykonawców.

- O.

Sprawiała wrażenie zainteresowanej.

- I może wykorzystalibyśmy pani teksty.

- Naprawdę? - Ożywiła się. - Może dałabym radę pogodzić studia z pracą.

Miałem dziwne poczucie, że zanim do nas przyszła, w prostocie ducha roiła sobie Bóg wie co na temat pracy, której mogła się u nas spodziewać. Rozmowa ta zmieniła moje wyobrażenie o niej. Być może walka - skuteczna - z rakiem była dla niej dobrą szkołą życia. Nauczyła ją wytrwałości, nieustępliwości. Poza tym Sadassa miała niewiele czasu na realizację swoich ambicji, na wyciśnięcie z życia tego, co chciała z niego wycisnąć.

- Proszę, niech pani przyjdzie i omówi z nami sprawę.

- No, właściwie czemu nie? W sumie powinnam... Miałam sen o waszej wytwórni.

- Proszę mi opowiedzieć.

Zamieniłem się w słuch.

- Śniło mi się, że oglądałam sesję nagraniową przez dźwiękoszczelne szkło. Myślałam sobie, jaka wspaniała jest wokalistka i byłam pod wrażeniem tych wszystkich profesjonalnych mikserów i mikrofonów. A potem zobaczyłam okładkę albumu i okazało się, że to ja. *Sadassa Silvia śpiewa*, taki był tytuł. Poważnie.

Roześmiała się.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

- Kiedy się zbudziłam - ciągnęła Sadassa - miałam nieodparte przeczucie, że będę dla pana pracowała. Że sen był dobrym omenem.

- No, na to wygląda.

- Kiedy mam przyjść?

Zaprosiłem ją na czwartą tego samego dnia. Wykombinowałem sobie, że w ten sposób będę ją mógł potem zabrać na kolację.

- Miała pani inne niezwykle sny? - spytałem pod wpływem nagłego impulsu.

- Ten nie był szczególnie niezwykły. Co pan rozumie przez niezwykle?

- Porozmawiamy o tym, kiedy pani przyjdzie.

Sadassa Silvia zjawiała się o czwartej w jasnobrązowej kombinacji, żółtym swetrze i z kolczykami w postaci kółek, które pasowały do jej fryzury afro. Tak jak poprzednim razem miała bardzo poważną minę.

Usiadła naprzeciwko mnie w moim biurze i oznajmiła:

- Kiedy tutaj jechałam, zadałam sobie pytanie, dlaczego pana interesuje, czy miałam niezwykle sny. Z polecenia mojego psychiatry prowadzę notatnik, w którym mam obowiązek co rano zapisywać sny, zanim wyparują mi z głowy. Robię to, odkąd zaczęłam chodzić do Eda, czyli

prawie od dwóch lat.

- Proszę mi opowiedzieć.

- Chce pan wiedzieć? Naprawdę chce pan wiedzieć? Dobrze, od trzech tygodni, to się zaczęło w czwartek, mam poczucie, że ktoś mówi do mnie we śnie.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Ktoś pomiędzy. To bardzo spokojny głos, melodyjny. Kiedy się budzę, zostaje mi tylko ogólne wrażenie, ale jest ono bardzo pozytywne. Głos jest bardzo kojący. Zawsze czuję się lepiej, kiedy go usłyszę.

- Nie pamięta pani ani słowa z tego, co mówi?

- Coś związanego z moim rakiem. Że nie wróci.

- O jakiej porze nocy...

- Dokładnie o wpół do czwartej. Wiem to stąd, że mój chłopak twierdzi, że próbuję odpowiadać; znaczy, rozmawiam z głosem. Mój chłopak się budzi i twierdzi, że to jest zawsze o tej samej godzinie.

Zupełnie zapomniałem o jej chłopaku. No cóż, pomyślałem, ja mam żonę i dziecko.

- Jakbym zostawiła włączone radio grające bardzo cicho. Nastawione na jakąś odległą stację. Jedną z tych, które można złapać późno w nocy na krótkich falach.

- Niesamowite.

- Zgłosiłam się do Progressive Records - powiedziała spokojnie Sadassa - z powodu snu, bardzo podobnego do tego z wczorajszej nocy. Byłam w cudownej, zielonej dolinie, w której rosła bardzo wysoka trawa, gdzieś na prowincji, rześkie i przyjemne miejsce, a niedaleko była góra. Nie szłam po ziemi, tylko płynęłam w powietrzu, jakbym nic nie ważyła. Kiedy byłam blisko góry, zamieniła się w budynek. Nad wejściem wisiała tablica ze słowem PROGRESSIVE, ale wiedziałam, że chodzi o Progressive Records, bo słyszałam muzykę, nieprawdopodobnie piękną muzykę. Na jawie nigdy nie słyszałam czegoś podobnego.

- Słusznie pani postąpiła, że posłuchała pani swego snu.

- Czy trafiłam we właściwe miejsce?

Patrzyła na mnie z wytężeniem.

- Tak. Dobrze pani zinterpretowała ten sen.

- Wydaje się pan pewien swego.

- E, co ja tam wiem? - odparłem żartobliwym tonem - Po prostu cieszę się, że się pani pokazała. Bałem się, że pani nie przyjdzie.

- W ciągu dnia będę miała zajęcia. Możemy robić przesłuchania wieczorem? Inaczej będzie ciężko. Musimy dostosować harmonogram pracy do mojego rozkładu zajęć.

- Nie jest pani zbyt wymagająca - zakpiłem, trochę urażony.

- Muszę wrócić na studia. Straciłam tyle czasu, kiedy byłam chora.

- Dobrze - odparłem. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

- Czasami mam poczucie, że to przez rząd dostałam raka. Specjalnie zaaplikowali mi coś rakotwórczego, żebym zachorowała. Tylko cudem przeżyłam.

- Dobry Boże!

Aż mną szarpnęło. Nie pomyślałam o tym. Może rzeczywiście tak było, zważywszy na wszystkie okoliczności. Zważywszy na życiorys Sadassy. Zważywszy na to, co wiedziała, kim była.

- Dlaczego miałoby to zrobić? - spytałem.

- Nie wiem. Faktycznie, dlaczego miałoby to zrobić? Jestem paranoiczką, zdaję sobie z tego sprawę. Ale w dzisiejszych czasach dzieją się dziwne rzeczy. Dwaj moi znajomi zniknęli. Myślę, że wsadzili ich do tych obozów.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos Rachel, drżący z podniecenia.

- Nick...

- Mam klienta.

- Widziałeś dzisiejsze „LA Times”?

- Nie.

- Idź kupić. Musisz to przeczytać. Strona trzecia, prawa szpalta.

- Powiedz mi, o czym tam jest mowa.

- Musisz przeczytać. To tłumaczy, skąd się wzięły twoje doznania. Proszę cię, Nick, idź kupić. To naprawdę wszystko tłumaczy!

- Dobra. Dziękuję. - Odłożyłem słuchawkę. - Przepraszam - zwróciłem się do Sadassy. - Muszę iść po gazetę.

Opuściłem biuro i poszedłem korytarzem do wielkich szklanych drzwi frontowych.

Chwilę później miałem w ręku egzemplarz „Timesa” i czytałem po drodze.

Na stronie trzeciej, na prawej szpalcie, znalazłem następujący artykuł:

RADZIECKI ASTROFIZYK DONOSI O SYGNAŁACH RADIOWYCH POCHODZĄCYCH OD INTELIGENTNEJ FORMY ŻYCIA Emitowanych nie z przestrzeni kosmicznej, jak się spodziewano, lecz z miejsca położonego blisko Ziemi.

Stałem w holu i czytałem artykuł. Najwybitniejszy radziecki astrofizyk, Georgi Moyashka, posługując się systemem połączonych ze sobą teleskopów radiowych, złapał sygnały, które uważał za świadomie emitowane przez czującą formę życia, miały bowiem charakterystykę, której Moyashka się spodziewał. Wielkim zaskoczeniem było jednak miejsce ich pochodzenia: wewnątrz Układu Słonecznego, a tego nikt, łącznie z samym Moyashka, nie przewidywał. Ludzie od amerykańskiego programu kosmicznego zdążyli już publicznie oznajmić, że sygnały bez

wątpienia emitowane są przez stare satelity wystrzelone na orbitę, a potem zapomniane, lecz Moyashka był pewien, że sygnały są pochodzenia pozaziemskiego. Na razie jemu i jego zespołowi nie udało się ich odszyfrować.

Sygnały nadchodziły niewielkimi pakietami z ruchomego źródła, które zdawało się okrążyć Ziemię w odległości około dziesięciu tysięcy kilometrów. Znajdowały się w nieoczekiwanie wysokim paśmie częstotliwości zamiast na falach krótkich, które niosą na większą odległość. Wyglądało na to, że mamy do czynienia z transmittersem dużej mocy. Moyashka zwrócił uwagę na jeden osobliwy szczegół, którego nie potrafił wytłumaczyć - sygnały radiowe docierały do nas tylko wtedy, kiedy źródło znajdowało się nad ciemną czy też nocną stroną ziemi; za dnia emisja ustawała. Moyashka wysunął hipotezę, że wchodzi w grę warstwa, którą nazwał „Heaviside”.

Sygnały, chociaż krótkotrwałe, sprawiały wrażenie „gęsto nasyconych informacją” dzięki swemu wyrafinowaniu i stopniowi złożoności. Co ciekawe, częstotliwość ulegała okresowym zmianom, co jest charakterystyczne dla stacji nadawczych, które chcą uniknąć zagłuszenia, stwierdził Moyashka. Ponadto jego zespół zupełnie przypadkowo odkrył, że podczas emisji sygnałów w organizmach zwierząt przebywających w laboratorium w Pułkowie zachodzą niewielkie, lecz regularne zmiany. Objętość krwi fluktuowała, a ciśnienie wzrastało. Moyashka przedstawił wstępną hipotezę, że przyczyna tkwi w towarzyszącym sygnałom radiowym promieniowaniu. Sowietci (konkludował autor artykułu) planowali wystrzelenie satelity, którego orbita przecięłaby się z orbitą krążącego wokół Ziemi transmittersa, co pozwoliłoby zweryfikować teorię, że jest to satelita pochodzenia pozaziemskiego. Mieli nadzieję, że uda im się go sfotografować.

Oddzwoniłem do Rachel z telefonu wrzutowego w holu.

- Przeczytałem. Ale Phil i ja już mamy swoją teorię.

- To nie jest teoria, to są fakty - odparła Rachel zniecierpliwionym tonem. - W wiadomościach w południe też o tym mówili. To prawda, nawet jeżeli my to dementujemy, jeżeli Stany Zjednoczone to dementują. Znalazłam hasło o Moyashce w twojej *Britannice*. Odkrył aktywność wulkaniczną na księżycu i jakieś zjawisko na Merkury. Nie zrozumiałam tego, ale z początku ludzie za każdym razem mówili, że się pomylił albo zwariował. Stalin przez lata trzymał go w obozie pracy przymusowej. Jest bardzo ceniony. To filar rosyjskiego programu kosmicznego, a w radiu dzisiaj powiedzieli, że jest szefem ich projektu KIP, „Kontakt z Inteligencją Pozaziemską”. Stosują telepatię i w ogóle. Są kompletnie odjechani.

- Mówili w radiu, od jak dawna, zdaniem Rosjan, satelita nadaje?

- Dopiero niedawno zaczęli odbierać sygnały. Nie wiedzą, co się działo wcześniej. Ale posłuchaj: krótkie, intensywne emisje wysokiej częstotliwości, zawsze w nocy. Przecież zawsze odbierasz te obrazy i słowa około trzeciej nad ranem, prawda? Wszystko się zgadza, Nick! Ty i Phil sami wymyśliliście, że to może być satelita orbitujący wokół Ziemi! Pamiętam, że o tym

mówiliście!

- Nasza nowa teoria...

- Do cholery z waszą nową teorią! To jest najbardziej sensacyjna wiadomość wszech czasów! Myślałam, że nie będziesz mógł usiedzieć na miejscu z podniecenia!

- Nie mogę usiedzieć na miejscu. Tyrknę do ciebie później.

Odwiśnię słuchawkę i wróciłem do biura, gdzie Sadassa Silvia siedziała i czytała czasopismo, paląc papierosa.

- Przepraszam, że kazałem pani tak długo czekać.

- Dzwonił telefon, kiedy pana nie było. Uznałam, że nie powinnam odbierać.

- Zadzwoń jeszcze raz. Zadzwoń. Podniosłem słuchawkę.

- Halo?

To był Phil. Usłyszał tę wiadomość radiu. Tak jak Rachel, był bardzo przejęty.

- Czytałem o tym w „Timesie” - poinformowałem go.

- Czy w artykule wspomnieli, że sygnały nadawane są na tych samych częstotliwościach UKF-u, na których przesyłany jest nasz stereofoniczny dźwięk radiowy i telewizyjny? - spytał Phil. - Naukowiec z jakiegoś amerykańskiego laboratorium kosmicznego mówi, że to właściwie wyklucza nasze własne satelity, bo nasze nie nadają na częstotliwościach komercyjnych. Słuchaj, Nick, on powiedział, że sygnały będą zakłócały odbiór UKF-u i telewizji, więc być może będziemy musieli zniszczyć nadajnik. Ale pomyślałem sobie - pamiętasz, jak usłyszałeś w radiu te kretynizmy, jakby ktoś do ciebie mówił? I wysnuliśmy hipotezę, że chodzi o satelitę nadającego z większą mocą? Nick, to może być to! Mówili, że to jest transponder bardzo dużej mocy. A jeden z naukowców, którzy komentowali to odkrycie, twierdził, że to nie jest typowa transmisja radiowa, bo tu chodzi o wąskie, skoncentrowane wiązki, ściśle nakierowane, a normalny transponder emituje sygnały we wszystkich kierunkach wszędzie z taką samą mocą. Sygnały z tego satelity nie rozchodzą się we wszystkich...

- Phil - przerwałem mu. - Mam tu kogoś w tej chwili. Mogę oddzwonić wieczorem?

- Jasne. Ale wiesz, Nick, to naprawdę może wszystko wyjaśniać. Naprawdę. Dochodzi u ciebie do transdukcji tych nietypowych sygnałów pozaziemskich.

- Skontaktuję się z tobą później, Phil - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Nie chciałem omawiać tej sprawy przy Sadassie Silvii. Ani przy nikim innym. Chociaż, pomyślałem, niewykluczone, że omówię ją któregoś dnia z panią Silvia, kiedy nadejdzie właściwa pora; kiedy ją wystarczająco wysonduję.

- Czy chodzi o artykuł w „Timesie”, w którym jest mowa, że „więzienia są źródłem bogactwa”? O tę propagandę na rzecz pracy niewolniczej pod płaszczykiem rehabilitacji psychologicznej? „Osadzeni nie muszą przebywać w zamknięciu, marnując beczynnie całe lata życia, zamiast tego mogliby...” Zobaczmy, jak oni to ujęli. „Osadzeni mogliby pracować na

świeżym powietrzu, w ciepłe słońca, ekipy robocze remontowałyby slumsy, przyczyniając się do odrodzenia tkanki miejskiej, hipisi mogliby być użyteczni społecznie, jak również młodzież nie mogąca znaleźć pracy...” Miałam ochotę napisać list do redakcji: „A kiedy umrą z przemęczenia i głodu, ich zwłoki będą użyteczne społecznie, wrzuci się je bowiem do wielkich pieców i przetopi na jakże potrzebne kostki mydła”.

- Nie, to nie ten artykuł.

- A więc ten o pozaziemskim satelicie?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Wymysł Sowietów - orzekła Sadassa. - Albo to nasz satelita i nie chcemy się do tego przyznać. Satelita propagandowy, z którego zalewamy Rosjan sygnałami podprogowymi. Dlatego nadaje na komercyjnych częstotliwościach radiowych i telewizyjnych i zmienia częstotliwość transmisji w nieregularnych odstępach czasowych. Naród radziecki przez jedną ósmą sekundy ogląda obrazki, na których szczęśliwi Amerykanie opychają się żarciem, tego typu idiotyzmy. Rosjanie o tym wiedzą i my o tym wiemy. Oni nadają do nas z oficjalnie nie istniejących satelitów i my robimy to samo im. Zestrzelą go, szykują się do tego. Nie mam im tego za złe.

Brzmiało to przekonująco, poza tym, że w najmniejszym stopniu nie tłumaczyło, dlaczego najwybitniejszy astrofizyk Związku Radzieckiego miałby wystąpić z takim oświadczeniem - Moyashka znowu narażał na szwank swoją reputację, twierdząc, że satelita jest pochodzenia pozaziemskiego. Wydawało się wątpliwe, aby tak doświadczony naukowiec dał się wplątać w sprawę czysto polityczną.

- Naprawdę sądzi pani, że taki słynny naukowiec jak Georgi Moyashka... - zacząłem, lecz Sadassa przerwała mi swoim łagodnym, lecz stanowczym głosem, nie dawszy się zbić z tropu.

- Robi, co mu każą. Wszyscy radzieccy naukowcy robią i mówią, co się im każe. Odkąd Topcziew zrobił w latach pięćdziesiątych czystkę w Radzieckiej Akademii Nauk. Był partyjnym politrukiem w Akademii, a potem jej oficjalnym sekretarzem. Osobiście posłał do więzienia setki najlepszych naukowców w ZSRR. To dlatego ich program kosmiczny jest taki kiepski, daleko z tyłu za naszym. Nie udało im się nawet zminiaturyzować części. W ogóle nie mają mikroukładów.

- Tak - odparłem skonsternowany - ale w niektórych dziedzinach...

- Wielkie pomocnicze silniki rakietowe - zgodziła się ze mną Sadassa. - Dalej używają lamp! Przeciętą japońską wieżę stereo jest bardziej zaawansowana niż części użyte w radzieckim pocisku rakietowym.

- Przejdźmy do kwestii pani posady.

- Dobrze.

Skinęła głową na znak, że uważa to za rozsądny pomysł.

- Nie możemy zbyt dużo pani płacić. Ale praca powinna być ciekawa.

- Nie potrzebuję dużo. Ile to jest niezbyt dużo?

Napisałem na kartce liczbę i pokazałem jej.

- To rzeczywiście niedużo. Za ile godzin tygodniowo?

- Trzydzieści.

- Chyba powinno mi się udać jakoś to wcisnąć w mój rozkład dnia.

- Uważam, że podchodzi pani do tego nierealistycznie - powiedziałem rozdrażniony. - Za tak niewielką liczbę godzin to jest dobra płaca, a pani nie posiada kwalifikacji. Tu nie chodzi o pisanie na maszynie i robotę papierkową. To praca kreatywna. Będę panią musiał przeszkolić. Uważam, że to dobra oferta. Powinna pani być z niej zadowolona.

- A co z opublikowaniem moich tekstów? I wykorzystaniem ich?

- Wykorzystamy je. Jeśli okażą się wystarczająco dobre.

- Przyniosłam kilka ze sobą. - Otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę. - Proszę.

Otworzyłem kopertę i wyjąłem cztery kartki papieru, pokryte wersetami zapisanymi niebieskim atramentem. Pismo miała czytelne, lecz chwiejne, na skutek choroby.

Przebiegłem wzrokiem wiersze - były to wiersze, nie teksty piosenek - lecz myślami byłem przy tym, co właśnie powiedziała. Niby że co zrobi Związek Radziecki? Zestrzeli satelitę? Co wtedy stanie się ze mną? Skąd przyjdzie pomoc?

- Przepraszam, ale nie mogę się skupić. Są bardzo dobre.

Powiedziałem to machinalnie, bez przekonania. Może były dobre, może nie. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym oprócz ponurych, przerażających słów, które powiedziała, jej hipotezy na temat radzieckich zamiarów. Kiedy ją już sformułowała, hipoteza wydawała się oczywista. Oczywiście, że nie ograniczą się do sfotografowania satelity. Nie pozwolą, żeby pozaziemski pojazd kosmiczny, intruz w naszym zapiętym pod szyję świecie, nadawał trwające ułamek sekundy komunikaty podprogowe do naszego narodu, nałożone na nasze kontrolowane transmisje radiowe i telewizyjne. Żeby faszerował nas Bóg wie jakimi zakazanymi informacjami.

Radio Wolne Alfa Centauri, pomyślałem z goryczą. Radio Wolne Albemuth, jak to na własny użytek ochrzciłem. Jak długo wytrwacie, skoro was wytropili? Nie mogą was osiągnąć pociskiem raketowym. Wystrzelą satelitę z głowicą nuklearną i po prostu was rozwalą w ogólnej eksplozji. Koniec ze skoncentrowanymi wiązkami informacji. I koniec z moimi snami.

- Mogę zabrać te wiersze do domu? - spytałem Sadassę. - Żebym mógł je przeczytać w spokojniejszych warunkach?

- Oczywiście. Hej, co pana tak zmartwiło? - powiedziała nagle. - Wiersz o chłoniaku? O to chodzi? Większość ludzi tak na niego reaguje... Napisałam go, kiedy byłam bardzo chora. To widać po treści. Nie spodziewałam się, że przeżyję.

- Tak, to ten wiersz mnie tak rąbnął.

- Nie powinnam go była panu pokazywać.

- To przejmujący wiersz. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, jak wiersz o osobie chorej na raka można przerobić na tekst piosenki. Z pewnością byłby to precedens.

Oboje próbowaliśmy się uśmiechnąć; żadnemu z nas nie wyszło.

- Pozostałe nie są takie ponure - zapewniła Sadassa. Wyciągnęła rękę i poklepała mnie w dłoń. - Może uda się panu wykorzystać któryś z nich.

- Jestem pewien, że je wykorzystamy.

Co za urocza, nieszczęśliwa dziewczyna, zmagająca się z tak ciężkim brzemieniem.

Rozmyśliłem się i nie zaprosiłem Sadassy Silvii na kolację. Zamiast tego zabrałem się wcześniej z pracy i pojechałem prosto do Orange County, do domu. Dalej całkowicie zaprzął mnie nowy problem, sprawa poruszona przez Sadassę - cała sytuacja budziła we mnie przerażenie i konsternację.

W skrócie biorąc, zacząłem postrzegać Valisa i operatorów sieci telekomunikacyjnej jako istoty boskie, co oznaczało, że śmierć ich nie dotyczy. Nie można wysadzić w powietrze Boga. Tymczasem moja żona i najlepszy przyjaciel kładli mi do uszu, że moje źródło boskiej pomocy - satelita okrążający Ziemię i emitujący wiązki informacji - zostało namierzone oraz że zostało złapane na gorącym uczynku przez czołowego radzieckiego astrofizyka, ich wielkiego naukowego szpicla - ziemskiego kosmogliniarza, uzbrojonego w teleskopy radiowe, antysatelity z głowicami bojowymi i nie wiadomo co jeszcze.

Choć pomyśl, że inteligentne istoty pozaziemskie z innego układu gwiazdowego umieściły na naszej orbicie jeden ze swoich pojazdów kosmicznych i nadawały do nas zaszyfrowane informacje, był ekscytujący, to redukował nieskończony byt do skończonego, podlegającego zwyczajnym zagrożeniom. Byt, który uznałem za wszechwiedzący i wszechmogący, miał zostać zestrzelony z nieba. I razem z nim, uświadomiłem sobie, zniknie możliwość obalenia Ferrisa Fremonta. Kiedy Sowieci, bez wątplenia korzystający z danych dostarczanych przez nasze bardziej wyrafinowane stacje detekcyjne, ściągną na ziemię satelitę pozaziemskich istot inteligentnych - PII - umrą nadzieje wolnych ludzi w obu narodach.

Chyba że nie istniał związek pomiędzy nowo wykrytym satelitą a moimi doznaniem. Lecz, jak zwrócili już uwagę Rachel i Phil, byłby to zbyt duży zbieg okoliczności. Zbyt wiele elementów pasowało do siebie.

Boże, pomyślałem, od lat wykonywałem jego polecenia. Przeprowadziłem się do południowej Kalifornii, poszedłem do pracy w Progressive Records - co ja zrobię, kiedy go zestrzela? Wokół czego zbuduję swoje życie? Ale potem pomyślałem: Może Valis umieści na orbicie następnego satelitę. Potrafiłby to zrobić. Przy jego zdolności przewidywania przyszłości zna zamiary Sowieców z dużym wyprzedzeniem - a właściwie od samego początku. Nie da się go zaskoczyć.

A może się da.

Nie można wykluczyć, mówiłem sobie, wlokąc się prawym pasem za wielką ciężarówką, że satelita wypełnił już swoje zadanie. Przekazał już wszystko, co miał w swoich bankach danych. Ale przyzwyczaiłem się do słuchania jego głosu, tego cudownego głosu SI, udzielającego mi informacji, dodającego mi otuchy, pomagającego mi... Jak wiele zrobił dla Johnny'ego, jak wiele zrobił dla mnie. Pozbawiony tego...

Czy będę miał coś, dla czego warto żyć, kiedy mi tego zabraknie? Czy kiedykolwiek miałem? Mój związek z Rachel nie jest specjalnie szczęśliwy. Kocham swojego syna, ale tak rzadko go widuję. Praca jest dla mnie ważna, ale nie aż tak ważna. Mieć coś takiego jak to, słyszeć głos SI... Gorzej to stracić, niż wcale nie mieć. To takie bolesne.

Ból utraty, pomyślałem; największy ból, jaki istnieje. Mój przyjaciel wkrótce przestanie ze mną rozmawiać. Ten dzień zbliża się wielkimi krokami, równie nieuchronnie jak to, że ZSRR przygotowuje się do wystrzelenia na orbitę satelity przechwytyjącego. Ogólnoświatowa tyrania wytropiła wroga i teraz przystępuje do działania. Kręci korbą wielkiej, ślepej maszyny.

Uświadomiłem sobie, że kiedy zlikwidują tego satelitę, to zlikwidują tym samym mnie. Na nic się zda to, że zostałem uratowany z pułapki, jaką była przysłana w liście reklama butów. Cała ta pomoc, cała wiedza i wskazówki, wszystkie porady i lekcje - do kosza, na nic, koniec. I dotyczy to nie tylko mnie, lecz wszystkich, którzy pragnęli sprawiedliwego społeczeństwa, którzy pragnęli być wolni. Tych, którzy słyszeli głos SI i tych, którzy go nie słyszeli: nasz los jest ten sam. Jedyne przyjaciel, którego mieliśmy, wkrótce zostanie zgładzony, jakby nigdy nie istniał.

Czułem, że wszechświat ulega rozkładowi, kiedy jechałem autostradą: czułem chłód, chorobę i ostateczną zaturę.

Zapewne, rozmyślałem, mógłbym próbować przekonywać siebie samego, że dzięki pomocy Valisa spotkałem atrakcyjną i inteligentną dziewczynę... która ma przed sobą już bardzo niewiele życia. Poznano nas ze sobą akurat na czas, żebyśmy zdążyli wspólnie pójść z dymem. Plany, nadzieje, marzenia - wszystko pójdzie z dymem. Fragmenty satelity, który przybył tutaj, aby zostać zniszczony, tak samo jak my: urodzeni po to, by zostać wysadzeni w powietrze. Do cholery z tym wszystkim, pomyślałem zrozpaczony. Lepiej było niczego nie zaczynać, niczego nie próbować. Lepiej było nie wiedzieć, że jest pomoc, nie wyobrażać sobie, że istnieje szczęśliwsze życie.

Kiedy zaatakujesz tyranię, musisz się spodziewać kontrataku. Bo i dlaczego nie miałyby kontratakować? Czy ja, który trochę wiedziałem na temat jej natury, mogłem się spodziewać czegokolwiek innego? Głowica nuklearna dla pozaziemskiego satelity; rak dla Sadassy Silvii; gdyby pułapka z reklamą butów zadziałała, więzienie dla mnie - więzienie albo śmierć.

Rozmyślając o tym wszystkim, nie zarejestrowałem - a może zarejestrowałem, lecz było mi wszystko jedno - że jadąca przede mną ciężarówka zwolniła. Zapaliły się światła stopu, lecz nie zauważyłem tego. Dalej jechałem moim volkswagenem garbusem i wpakowałem się prosto w przyczepę, w wielki żelazny zderzak ciężarówki.

Nic nie usłyszałem, nic nie poczułem - nie usłyszałem huku, nie poczułem wstrząsu. Zobaczyłem tylko, że przednia szyba rozpryskuje się na miliard potłuczonych denek butelek po coli - dziwny deseń, niby oplatająca mnie gigantyczna pajęczyna. Pamiętam, że pomyślałem

sobie: wpadłem w pajęczynę. Później zostanę zjedzony. Pajęczyna, ale gdzie jest pająk? Poszedł sobie.

Jakiś płyn rozlał mi się po szyi i klatce piersiowej. Była to moja własna krew.

Hałas wokół mnie był straszny. Łóżko na kółkach, wieziony po rampie, przypięty pasami. Próbowałem odwrócić głowę, ale nie miałem dość sił. Głosy, ruch. Jakaś twarz spojrzała na mnie z góry, twarz kobiety, usłyszałem kobiecy głos. Świeciła mi latarką w oczy i kazała mi coś zrobić. Nie mogłem. Przykro mi, pomyślałem.

- Jest pan w jakiejś ubezpieczalni? - spytał natarczywie inny głos. - Na przykład w programie Blue Cross? Podpisze pan ten formularz, jeśli panu potrzynam? Tutaj jest długopis. Może pan podpisać lewą ręką, jeśli pan chce.

Do cholery z wami wszystkimi, pomyślałem.

Widziałem dwóch gości z kalifornijskiej policji drogowej, w brązowych mundurach, stali trochę z boku z notatnikami i znudzonymi minami. Wózki, łóżka na kółkach. Niskie, młode pielęgniarki w krótkich spódniczkach i krucyfiks na ścianie.

Facet z drogówki pochylił się i powiedział:

- Niech pan nie pozwoli swojej firmie ubezpieczeniowej, żeby naprawiali samochód. Z silnika cieknie olej. Blok jest pęknięty.

- Dobrze - zdołałem wyszeptać. Nic nie czułem, o niczym nie myślałem.

- Będę musiał sporządzić wniosek do kolegium, panie Brady - oświadczył policjant. - Za jechanie zbyt blisko innego pojazdu i niedostosowanie prędkości do warunków jazdy. Zatrzymałem pańskie prawo jazdy. Sprawdzamy je. Zaraz pana wezmą na blok operacyjny, więc zwrócę prawo jazdy do szpitalnego depozytu. Będzie razem z innymi pańskimi rzeczami. Portfelem, kluczami i pieniędzmi.

- Dziękuję.

Funkcjonariusz oddalił się. Leżałem sam i mówiłem sobie: rany boskie, rany boskie! Powinni do kogoś zadzwonić, pomyślałem. Do Rachel. Powinni ją zawiadomić. Muszę im to powiedzieć. Przypomnieć im. Oni mają to gdzieś. Ciekawe, co to za szpital. Jechałem - dokąd? Właśnie przekroczyłem granicę Orange County. Nie dotarłem do Placentii, do domu. Mówi się trudno. Postanowiłem skorzystać z jego rady. Nie pozwolę im naprawiać samochodu. Niech go wycenią i zlicytują. Wisi mi, ile za niego dostanę. Wszystko mi wisi.

Dwie pielęgniarki zaczęły żwawo pchać moje łóżko. Dwa podskoki, potem gładka jazda. Stop przy windzie. Stały obok siebie, całe w uśmiechach. Ja patrzyłem prosto w sufit. Miałem założoną kroplówkę. Pięcioprocentowy roztwór glukozy, przeczytałem na etykietce. Żeby żyła się nie zatkała, uznałem.

Niesamowicie jasne białe światło spłynęło na mnie z góry. To była sala operacyjna. Nałożyli mi maskę na dolną część twarzy. Usłyszałem męskie głosy, które deliberowały. Igła wbiła mi się w ramię. Bolało. To była pierwsza rzecz, którą poczułem.

Oślepiające białe światła nagle zgasły jak polaną wodą węgielki.

Unosiłem się nad pustynnym krajobrazem, który mienił się daleko w dole barwami w tonacji czerwono-brązowej. W oddali zarys *mesas*. Wielka próżnia, w której byłem zawieszony, w której szybowałem bez wysiłku.

Ktoś zbliżył się do mnie. Daleko, za suchymi *mesas*. Niewidzialna obecność promieniująca miłością. To był Valis. Rozpoznałem jego jestestwo. Rozpoznałem jego troskę, zrozumienie, pragnienie niesienia pomocy.

Nie padały między nami żadne słowa. Nie słyszałem żadnych głosów, żadnych dźwięków, poza ustawicznym cichym warczeniem, podobnym do wiatru. Dźwięki pustkowia, pustyni, wielkich otwartych przestrzeni tego świata. Wiatr i woda pędzą... ale nie wydawały się bezosobowe; wydawały się żywe, jakby były częścią Valisa. Jego emanacjami, równie dobrymi, życzliwymi i kochającymi jak on. Ożywiał *mesas*.

Valis spytał mnie bezgłośnie, czy myślałem, że o mnie zapomniał.

Powiedziałem: A jeśli zastrzelą satelitę?

Nie ma znaczenia. To główka szpilki. Za nim jest tylko światło, płachta światła, nie niebo.

Czy już wyczerpałem limit?

Bez odpowiedzi.

W końcu tu wróciłem, powiedziałem. Wiem o tym. Rozpoznaję to miejsce. Już tu kiedyś byłem.

Urodziłeś się tutaj. Wróciłeś.

To jest mój kraj rodzinny, przytaknąłem.

Jestem twoim ojcem, rzekł Valis.

Gdzie jesteś?

Nad gwiazdami, odparł Valis.

Przybyłem z gwiazd?

Tak. Wiele razy.

Czyli to byłem ja? To ja przejąłem stery, kiedy listonosz przyniósł tę reklamę butów?

To byłeś ty, przypomniałeś sobie, kim jesteś.

Kim jestem?, spytałem.

Każdym.

Zdumiony powtórzyłem: Każdym?

Bez odpowiedzi, tylko fale miłości.

Co teraz zrobić?, spytałem.

Poprosiłeś o to, żeby cię złamać, odparł Valis. I uleczyć. To jest właśnie to złamanie i uleczenie. Będziesz przeistoczony.

I będę trwał dalej?

Ciepło jego miłości spowiło mnie jak niewidzialny obłok światła. Valis odpowiedział: I będziesz trwał dalej. Nic nigdy nie ulega zatracie.

Nie mogę ulec zatracie?

Nie ma innego gdzieś, gdzie rzeczy mogłyby się przenieść. Jest tylko to miejsce i my. Po wieczne czasy.

Zdałem sobie wtedy sprawę, że Valis i ja nigdy nie byliśmy rozdzieleni, tylko on do czasu do czasu milknął. Poczułem się zmęczony. Szybowałem nisko nad *mesas* i chciałem odpocząć. Poczucie obecności Valisa zacierało się, jakby ode mnie odchodził. Pozostał jednak, niby lampa naftowa, w której zmniejszono płomień, lecz jej nie zgaszono. Do tej pory jak dziecko zakładałem, że jeśli coś przestaje być widoczne, to znaczy, że już nie istnieje. Dla niemowlęcia rodzice, którzy wyszli z pokoju, przestają istnieć. Ale z wiekiem dziecko zaczyna rozumieć, że rodzice dalej są, niezależnie od tego, czy ono może ich widzieć, dotykać, słyszeć ich głosy. To jedna z pierwszych w życiu lekcji. Ale czasem lepiej jest nie przyswoić jej sobie do końca. Zatem wiedziałem już teraz, kim jest Valis. Był moim ojcem, moim prawdziwym ojcem, którego ród raz po raz opuszczałem, aby przybyć na ten świat, odejść z niego, znowu powrócić, w pościgu za jakimś odległym, nie widzianym, jeszcze nie pojętym celem. Być może celem było samo poszukiwanie. Zbliżając się ku niemu bardzo powoli, zrozumiałem to. Obalenie tyranii Ferrisa Fremonta było pewnym etapem, nie celem, lecz przełomowym momentem, po którym miałem dalej zmierzać do przodu. W jakimś stopniu zmieniony, lecz przez mojego ojca, nie przez to, co uczyniłem. Zrozumiałem bowiem, że to Valis działa za moim pośrednictwem. Jemu należała się zasługa.

Jesteśmy rękawiczkami, pomyślałem, które nasz ojciec zakłada, aby urzeczywistnić swoje zamysły. Co za radość być czymś takim, służyć. Być częścią większego organizmu: jego wysięgnikiem w przestrzeń i czas, w świat przemiany. Mieć wpływ na tę przemianę - największa radość ze wszystkich.

Mogę udzielać ci instrukcji bez satelity, powiedział mi Valis myślami. Satelita jest tylko na pokaz, taka błyszcząca zabawka. Żeby zrozumieli. Emitując, wykonywał swoje zadanie: otwierał twój umysł i umysły innych. Raz otwarte, umysły te już nigdy się nie zamkną. Kontakt został nawiązany, układ sieciowy zainstalowany. Już tak pozostanie.

Czyli jestem podłączony, pomyślałem. Po wsze czasy.

Przypomniałeś sobie. Wiesz. Już nigdy nie będzie zapominania. Bądź dobrej myśli.

Dziękuję, powiedziałem.

Czerwonawe *mesas*, płaska równina pode mną rozwinęła się, niebo się zamknęło, a szum porywistego wiatru powoli ucichł.

Valis znikł z mojego pola widzenia, jego twarz odwróciła się ode mnie, nastąpiła faza wciągnięcia. Tym razem nie doznałem poczucia utraty, inaczej niż przedtem.

Syn Ziemi i gwiazdzistego nieba. Stary rytuał, objawienie dane uczestnikowi starożytnego obrzędu inicjacyjnego. Wziąłem udział w ceremoniach orfickich, na dnie mrocznych jaskiń, by nagle stanąć w pieczarze pełnej światła, zobaczyć złotą tablicę, która przypomniała mi o mojej naturze i mojej przeszłości: o podróży przez przestrzeń kosmiczną z Albemuth, odległej gwiazdy, o wędrówce do tego świata, podjętej po to, aby wspólnie uciec przed naszym krecim wrogiem. Wróg ten wkrótce ruszył za nami w pościg i zakaził, zatruił założony przez nas ogród swoją obecnością, swoimi odchodami. Zatonęliśmy w szlamie; na poły zaniewidzieliśmy; zapomnieliśmy, dopóki nam nie przypomniano. Dopóki nie przypomnieli nam orbitujący głos z pobliskiego nieba, umieszczony tam dawno temu na wypadek katastrofy, na wypadek urwania się ogniwa w łańcuchu ciągłości. Doszło do tej katastrofy i w tym momencie automatycznie uruchomił się głos. I poinformował nas, najlepiej jak umiał, o tym, co kiedyś wiedzieliśmy.

Jeśli Rosjanom uda się sfotografować satelitę PII, najeżdżęc, to okaże się on stary i podziurawiony. Krąży tam od tysięcy lat. Ależ czeka ich niespodzianka! Może oni również sobie przypomną... do czasu, gdy kreci wróg pozamyka im umysły i znowu zapomną. Zostaną zmuszeni do zapomnienia, gdy zniekształcony krajobraz, przesłonięty przez skażoną atmosferę, otumani ich zmysły i mózg, po czym znowu upadną, tak jak wcześniej.

Powtarzające się cykle, powiedziałem sobie: powrót do przytomności na jakiś czas, potem znów zapadnięcie w sen. Ja sam spałem tak jak inni, lecz się obudziłem, czy też raczej zostałem celowo obudzony. Głos przyjaciela zawołał do mnie, wędrując pośród łąnów młodego zboża, nowego życia, a ja usłyszałem go i rozpoznałem. Głos ten nieustannie wołał, nieustannie próbował nas obudzić, nas, którzy spaliśmy. Być może w końcu wszyscy się przebudzimy. Aby odnowić łączność z naszym macierzystym rodem za gwiazdami... Jakbyśmy nigdy nie odeszli.

Albemuth. Nasz pierwszy dom. Jesteśmy włóczęgami, wygnańcami, wszyscy z nas, nawet jeżeli o tym nie wiemy. Może większość z nas chce o tym zapomnieć. Pamiętanie - świadomość naszego prawdziwego losu, naszej tożsamości - jest zbyt bolesne. Uczynimy z tego miejsca nasz dom i nie będziemy pamiętali niczego innego. Tak jest łatwiej.

Dobrodziejstwa nieświadomości. Łatwiejsza droga. Zabójcza w skutkach: pozbawiwszy się pamięci, padliśmy ofiarą wroga. O nim też zapomnieliśmy, a on wyprzedził nas i zaskoczył. Taką zapłacimy cenę.

Już ją płacimy.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na intensywnej terapii i pielęgniarka mierzyła mi tętno. Czulem ból w klatce piersiowej, miałem kłopoty z oddychaniem. Maska tlenowa zakrywała mi nos. I byłem głodny jak wilk.

- Jejku! - powiedziała wesoło pielęgniarka. - Aleśmy zmalretowali nasz samochodzik!

- Co się mi stało? - zdołałem zapytać.

- Doktor Wintaub omówi z panem szczegóły operacji. Kiedy zostanie pan przewieziony na salę pooperacyjną.

- Czy zawiadomiliście...

- Pańska żona jest w drodze.

- Co to za miasto?

- Downey.

- Jestem daleko od domu.

Pół godziny po przeniesieniu mnie na górę do sali z dwoma łózkami przyszedł doktor Wintaub, żeby mnie zbadać.

- Jak się pan czuje? - spytał, mierząc mi tętno.

- Strasznie mnie boli głowa.

Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek miał taki ból głowy. Dorównywał mu tylko ból, który czulem tego wieczoru, gdy Valis poinformował mnie o wadzie okołoporodowej Johnny'ego. I wydawało mi się, że znowu gorzej widzę.

- Został pan ciężko pokiereszowany. - Dr Wintaub odciągnął koc, aby obejrzeć opatrunki. - Złamane żebro przebiło płuca. Dlatego musieliśmy otworzyć klatkę piersiową. Obawiam się, że pobędzie pan tutaj jakiś czas. Uderzył pan o kierownicę i to było przyczyną większości uszkodzeń...

Nagle urwał.

- O co chodzi? - spytałem przerażony, że coś odkrył.

- Za minutkę wróce, panie Brady.

Doktor Wintaub wyszedł z sali. Zostałem sam ze swoimi myślami. Po chwili wrócił z dwoma sanitariuszami.

- Zdejmijcie opatrunki - polecił. - I szyny. Chcę obejrzeć ranę.

Zaczęli zdejmować bandaż, bardzo delikatnie. Doktor Wintaub obserwował ich krytycznym okiem. Nic nie czulem, żadnego dyskomfortu, żadnego bólu. Tylko ból głowy nie ustępował. Przypominał migrenę, w prawym oku migotała siatka niesamowicie intensywnego różowego światła, pole rozmytego koloru powoli przesunęło się z lewa na prawo.

- Gotowe, panie doktorze.

Sanitariusze odstepili od mojego łóżka.

Doktor Wintaub podszedł bliżej. Poczułem, jak dotyka palcami mojej klatki piersiowej.

- Około dwóch godzin temu zrobiłem operację - mruknął, po czym spojrzął na zegarek. -

Dwie godziny dziesięć minut temu.

- Mógłby mi pan zajrzeć do oczu? - powiedziałem. - Tam jest ból.

Doktor Wintaub niecierpliwie zaświecił mi lampą w oczy.

- Niech pan biegnie wzrokiem za światłem - polecił. - Wodzenie w porządku.

Uznał badanie wzroku za zakończone i zwrócił się do sanitariuszy:

- Zabierzcie go na radiologię i zróbcie mu kompleksowe prześwietlenie klatki piersiowej.

- Można nim ruszać? - spytał jeden z nich.

- Tak, tylko bardzo ostrożnie - odparł doktor Wintaub. Zawieźli mnie na radiologię i zrobili mi kilka zdjęć klatki piersiowej, po czym wróciłem do swojej sali. Czekaając na klisze rentgenowskie, zdołałem usiąść, aby przyjrzeć się swojemu torsowi.

Przecinała go twarda różowa linia. Cięcie zabiłniło się.

Nic dziwnego, że doktor Wintaub chciał, aby natychmiast zrobić rentgena. Chciał wiedzieć, czy uszkodzenia wewnętrzne również są zagojone.

Niedługo potem weszło dwóch nie znanych mi lekarzy i zaczęli mnie badać. Mieli ze sobą pielęgniarki i sprzęt. Leżałem, nie mówiąc ani słowa, wpatrzony w sufit. Ból głowy zaczął mi przechodzić, za co byłem wdzięczny, i znowu widziałem wyraźnie, jeśli nie liczyć różowej fosficznej poświaty. To, co zobaczyłem na swoim torsie, w połączeniu ze świadomością, co oznacza fosficzne światło, pozwoliło mi zrozumieć sytuację. Valis zajął się moim przypadkiem, podobnie jak przypadkiem Johnny'ego, najbardziej oszczędną z możliwych metod: normalna operacja chirurgiczna, a potem, pod wpływem satelity i jego emisji, nienaturalnie szybkie gojenie. Najprawdopodobniej byłem gotów do opuszczenia szpitala.

Pozostawał jednak problem lekarzy. Nigdy w życiu nie spotkali się z czymś takim.

- Jak pan sądzi, kiedy stąd wyjdę? - spytałem doktora Wintauba, gdy odwiedził mnie po obiedzie. Siedziałem na łóżku i jadłem normalny posiłek. Czułem się teraz zupełnie dobrze. Doktor Wintaub to widział. Nie wyglądał na zadowolonego z tego stanu rzeczy.

- Nasz szpital jest kliniką uniwersytecką - powiedział.

- Chce pan, aby studenci mnie obejrżeli.

- Zgadza się.

- Klatka piersiowa się zagoiła?

- Całkowicie, o ile potrafimy to ocenić. Ale musimy mieć pana pod obserwacją. To może być powierzchowne zagojenie.

- Czy moja żona została zawiadomiona?

- Tak, jest w drodze. Powiedziałem jej, że operacja się udała. Panie Brady, był pan już kiedyś operowany?

- Tak.

- Czy odnotowano znacznie przyspieszone tempo powrotu do zdrowia? Gojenia się tkanek?

Milczałem.

- Potrafi pan to wytłumaczyć, panie Brady?

- Wzmózione wydzielanie hormonów.

- Niemożliwe.

- Chciałbym zostać wypisany. Żebym mógł pojechać dziś wieczór do domu z moją żoną.

- Wykluczone, panie Brady. Po tak poważnej operacji...

- Wypiszę się na własną odpowiedzialność. Wbrew opinii lekarzy. Proszę mi przynieść formularze.

- Nie ma mowy, panie Brady. Nie pójde panu na rękę. Będziemy pana badali, aż się dowiemy, co się stało w pańskim organizmie po operacji. Kiedy pana tu przywieziono, płuco było prawie...

- Proszę mi przynieść moje ubranie.

- Nie.

Doktor Wintaub wyszedł z sali. Drzwi się za nim zamknęły.

Wstałem z łóżka, aby przeszukać szafę i szuflady. Żadnych ubrań oprócz szpitalnego fartucha. Włożyłem go na siebie. Jeśli będzie trzeba, to wyjdę w takim stroju. Ani doktor Wintaub, ani władze szpitala nie mogą mnie zatrzymać, skoro byłem zupełnie zdrowy.

Nie ulegało wątpliwości, że wyzdrowiałem. Czułem to fizycznie i miałem tego świadomość w umyśle, równie nieodpartą jak tego wieczoru, kiedy zorientowałem się, że Johnny ma wadę okołoporodową. Pozostał tylko praktyczny problem, jak wrócić do domu.

Wyszedłem z sali i ruszyłem korytarzem, zaglądając do otwartych sal, aż znalazłem taką, w której nikogo nie było. Pacjenci wyszli trochę pospacerować po kolacji. Wszedłem do środka i otworzyłem szafę ubraniową. Udało mi się znaleźć tylko włochate bambosze, jasną, kolorową sukienkę z dużym wycięciem na plecach i turban z pastelowego płótna. Lepiej będzie przebrać się za kobietę, uzmysłowiłem sobie. Oni będą szukali mężczyzny. Na szczęście kobieta, do której należało ubranie, była potężnie zbudowana. Zmieściłem się we wszystko, po czym założyłem ciemne okulary, które znalazłem w szufladzie i wyszedłem z powrotem na korytarz.

Nikt mnie nie zatrzymywał ani nie zagadywał do mnie, kiedy zdążyłem w stronę schodów. Chwilę później byłem już na dole i wyszedłem na parking. Teraz wystarczyło już tylko usiąść na ławce i obserwować nadjeżdżające samochody, aż zobaczę mavericka Rachel.

Znalazłem ławkę trochę z boku, usiadłem i czekałem.

Po jakimś czasie - mój zegarek zniknął, albo został zniszczony podczas kraksy, albo znajdował się w szpitalnym depozycie - zielony maverick zwawo wjechał na obwiedziony białą linią prostokąt i wysiedli z niego Rachel i Johnny, oboje roztrzęsieni i rozmamłani.

Gdy Rachel gnała chodnikiem koło mojej ławki, podniosłem się i powiedziałem:

- Zmykajmy stąd.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie zdumiona.

- Nie poznałabym cię - wydusiła wreszcie.

- Nie chcieli mnie puścić.

Ruszyłem w stronę samochodu, pokazując jej ręką, by szła za mną.

- Możesz wracać do domu? Znaczy, czujesz się wystarczająco dobrze? Lekarz powiedział, że przeprowadzili poważną operację na otwartej klatce piersiowej...

- Czuję się świetnie. Satelita mnie uzdrowił.

- Czyli za tymi twoimi doznaniem kryje się satelita.

- No - odparłem, wsiadając do samochodu.

- Rzeczywiście sprawiasz wrażenie zdrowego, ale dziwnie wyglądasz w tym ubraniu.

.- Możesz odebrać moje osobiste rzeczy jutro - powiedziałem, zamykając za sobą drzwi samochodu. - Cześć, Johnny - przywitałem się z moim synem. - Poznajesz tatę?

Patrzył na mnie z kwaśną i podejrzliwą miną.

- Satelita mógł ci dostarczyć lepsze ubranie - stwierdziła Rachel.

- On się tym nie zajmuje - odparłem. - Trzeba sobie samemu znaleźć. I tak zrobiłem.

- Może należało zaczekać, aż satelita coś wymyśli. - Wyjeżdżając z parkingu, rzuciła mi ukradkowe spojrzenie. - Cieszę się, że nic ci nie jest.

Gdy zmierzaliśmy w stronę autostrady, pomyślałem sobie, że otrzymałem instrukcje, kiedy byłem w narkozie. Czyżby Valis zaaranżował wypadek, aby móc do mnie przemówić? Nie, Valis doprowadził do mojego wyzdrowienia, aby móc działać za moim pośrednictwem. Wykorzystał kiepską sytuację, aby wyciągnąć z niej coś pozytywnego: najlepszą rozmowę, jaką kiedykolwiek odbyliśmy i przypuszczalnie kiedykolwiek odbędziemy. Moja obecna wiedza jest nieskończona, pomyślałem. Najważniejsze elementy znajdują się na swoich miejscach. Radość z tego, że się odnaleźliśmy, Valis i ja. Ojciec i syn znowu razem. Po upływie milleniów. Więż odnowiona.

Jednak zrozumiałem również inną rzecz, która nie była pozytywna. Uświadomiłem sobie, że nie mamy szans obalić Fremonta. To były mrzonki. Dzięki mojemu stanowisku w Progressive Records możemy coś zrobić. Możemy propagować to, co wiemy, w formie podprogowej na longplayu, zagrzebane w aranżach i chórkach, zakamuflowane dzięki możliwości dwukrotnego zapisu dźwięku na tym samym śladzie, jaką dawały nam nasze miksery. Zanim policja nas dopadnie, możemy przekazać to, co wiemy, Sadassa i ja, setkom, tysiącom, a nawet milionom Amerykanów. Ale Ferris Fremont pozostanie u władzy. Policja nas zniszczy, sfabrykuje

kontrdokumenty i kontrdowody. My znikniemy, a reżim przetrwa.

A jednak warto było to zrobić. Miałem co do tego absolutną pewność. Valis to uruchomił, a Valis nie mógł się mylić. Nie doprowadziłby do spotkania z Sadassą, nie zasypałby mnie informacjami i poradami, gdyby gra nie była warta świeczki. Nie musieliśmy odnieść całkowitego sukcesu. Wystarczyło cząstkowe zwycięstwo, w pewnych rozsądnych granicach. Może zapoczątkujemy proces, który liczniejsi i silniejsi od nas doprowadzą kiedyś do końca.

Wola Valisa nie wypełniała się na Ziemi w stu procentach. Nasza planeta była domeną wroga, księcia tego świata. Valis mógł tylko działać w obrębie tego świata, działać przy pomocy grupki ludzi, którzy mu pozostali. Był tutaj partią mniejszości, zwracał się jako „szmer łagodnego powiewu”⁹ do jednego człowieka albo do garstki ludzi, z krzewu, we śnie, podczas operacji. Kiedyś zwycięży. Ale nie teraz. Przecież jeszcze nie nastał koniec czasów. Koniec czasów nieustannie się zbliżał, a nigdy nie nadchodził, zawsze był blisko i wpływał na nas, ale nigdy się nie dokonywał.

Dobrze, pomyślałem, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Z wiarą, że gra jest warta świeczki.

Kiedy jechaliśmy autostradą, powiedziałem do Rachel:

- Poznałem pewną dziewczynę. Muszę z nią współpracować. Być może tego nie zaaprobujesz, być może nikt tego nie zaaprobuje, ale to musi być zrobione. To może zniszczyć nas wszystkich.

Rachel, która prowadziła ostrożnie, spytała:

- Valis ci to powiedział?

- Tak.

- Rób to, co musisz robić - powiedziała ściszym, pełnym napięcia głosem.

- Tak będzie.

⁹ 1 Król 19, 12, *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. III poprawione, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980.

Nie rozmawiałem jeszcze z Sadassą Silią o jej matce. Ona sądziła, że nie mam żadnych informacji na temat jej przeszłości. To był pierwszy krok, który należało poczynić - pomówić o pani Aramchek. Nakłonić Sadassę, aby powiedziała mi otwarcie, co Valis i sieć telekomunikacyjna przelały do jej umysłu ze swych banków informacji. Inaczej nie mogliśmy ze sobą współpracować.

Uznałem, że najlepszym miejscem na rozmowę będzie dobra, spokojna restauracja. W ten sposób uniknęlibyśmy możliwości, że podsłucha nas rządowa pluskwa. Zadzwoiłem więc z pracy do Sadassy i zaprosiłem ją na kolację.

- Nigdy nie byłam w Del Rey's, ale słyszałam o niej. Mają taką kuchnię jak w restauracjach w San Francisco. Jestem wolna w czwartek wieczorem.

W czwartek wieczorem pojechałem po nią do jej mieszkania, zabrałem ją i wkrótce siedzieliśmy w boksie w głębi sali jadalnej Del Rey's.

- Co chce mi pan powiedzieć? - spytała, kiedy jedliśmy sałatki.

- Wiem o pani matce. I o Ferrisie Fremontie.

- Nie rozumiem.

Ściszywszy dla bezpieczeństwa głos, rzekłem:

- Wiem, że pani matka była działaczką Partii Komunistycznej.

Oczy Sadassy otworzyły się szeroko za grubymi szklami. Wbiła we mnie wzrok. Przestała jeść.

- Wiem też - ciągnąłem - że zwerbowała do partii Ferrisa Fremonta, kiedy miał niecałe dwadzieścia lat. Wiem, że wyszkoliła go na „uśpionego”, miał zrobić karierę polityczną, nie przyznając się do swoich prawdziwych poglądów i do swoich prawdziwych afiliacji.

Nie zdejmując ze mnie wzroku, Sadassa orzekła:

- Z pana rzeczywiście jest wariat.

- Pani matka nie żyje, więc partia, Ferris Fremont, myśli, że tajemnica nie może się wydać. Ale jako dziecko widziała pani Fremonta ze swoją matką i podsłuchiwała pani wiele ich rozmów. Poza najwyższymi funkcjonariuszami partyjnymi jest pani jedyną osobą, która wie. To dlatego rząd próbował panią zabić, aplikując pani kancerogeny. Mimo że zmieniła pani nazwisko, odkryli, że pani żyje i że pani wie. A w każdym razie podejrzewają, że pani wie. Więc musi pani zostać zlikwidowana.

Sadassa, która zastygła z uniesionym do połowy widelcem, dalej wpatrywała się we mnie w osłupiałym milczeniu.

- Mamy razem pracować - ciągnąłem. - Ta informacja zostanie nagrana na płytę, longplay folkowy, w formie podprogowych danych tak rozłożonych, aby po wielokrotnym słuchaniu

odbiorca podświadomie przyswoił sobie przekaz. Przemysł fonograficzny dysponuje technikami, które to umożliwiają. Robią to bez przerwy, chociaż przekaz musi być prosty. „Ferris Fremont jest czerwony”. Nic skomplikowanego. Jedno słowo w jednej piosence, jedno w następnej, góra osiem słów. Rodzaj kodu. Dopilnuję, żeby płyta podbiła cały kraj. Zalejemy nią rynek, zrobimy pierwsze tłoczenie w ogromnym nakładzie. Będzie tylko jedno tłoczenie i jedna dystrybucja, bo jak tylko podprogowe dane zaczną przebijać się do świadomości ludzi, władze wkroczą i zniszczą wszystkie...

Sadassa odzyskała głos.

- Moja matka żyje. Pracuje w kościelnych organizacjach dobroczynnych. Mieszka w Santa Ana. W tym, co pan mówi, nie ma ani słowa prawdy. W życiu nie słyszałam takich bredni - Wstała, odłożyła widelec, wytarła sobie usta serwetką; wy dawała się na pograniczu łez. - Jest pan zupełnie odklejony Słyszałam o pana wypadku na autostradzie. Mówili o tym w *Register*. Musiały się panu kleпки poprzestawiać. Jest pan obłąkany. Dobranoc.

Szybkim krokiem wyszła z boks, nie oglądając się za siebie.

Siedziałem sam w ciszy.

Nagle wróciła, stanęła koło mnie, pochyliła się i powiedziała mi do ucha ściszym, ponurym głosem:

- Moja matka jest twardo stającą po ziemi republikanką i zawsze nią była. Nigdy nie miała nic wspólnego z politycznym lewactwem, a już na pewno nie z Partią Komunistyczną. Nigdy nie poznała osobiście Ferrisa Fremonta, chociaż była na wiecu na stadionie w Anaheim, gdzie przemawiał, to była jej najbliższa styczność z nim. Jest zupełnie zwyczajną osobą, przypadkiem noszącą nazwisko „Aramchek”, które nic nie znaczy. Policja wielokrotnie ją z tego powodu przesłuchiwała. Chce pan ją poznać? - Głos Sadassy ociekał furją. - Przedstawię ją panu. Może pan ją spytać. To przez mówienie takich idiotyzmów ludzie... Zresztą nieważne.

Znowu wyszła, lecz tym razem nie wróciła.

Nie rozumiem, pomyślałem. Czyżby kłamała?

Wstrząśnięty, jakoś skończyłem kolację, mając nadzieję, że Sadassa wróci, usiądzie i odwoła to, co powiedziała. Nie wróciła. Zapłaciłem rachunek, wsiadłem do mavericka i powoli pojechałem do domu.

Kiedy otworzyłem drzwi mieszkania, Rachel powitała mnie jednym łamliwym zdaniem:

- Dzwoniła twoja znajoma.

- Co mówiła?

- Jest w La Paz Bar w Fullerton. Kazała ci powtórzyć, że poszła tam na piechotę z Del Rey's i że nie ma pieniędzy na taksówkę, więc chce, żebyś wrócił do Fullerton i odwiózł ją do domu.

- Dobra.

- Sądzisz, że ty i ona potraficie odsunąć Ferrisa Fremonta od władzy? - zawołała za mną Rachel sardonicznie. - Ty, ona i Valis? Ten satelita?

Zatrzymałem się w drzwiach i odparłem:

- Nie, nie sądzę. Może jakąś pomniejszą tyranię w innym wszechświecie. Jakiegoś despotycznego władcę Ameryki w równoległym świecie, który nie jest taki zły jak nasz; ale w tym świecie, tego tyrana - nie.

- Zazdroszczę ludziom z tamtego wszechświata.

- Ja też.

Zszedłem na dół i pojechałem z Placentii do La Paz Bar przy Harbor Boulevard w Fullerton.

W La Paz Bar jest bardzo ciemno, i po wejściu do środka nigdzie nie mogłem zobaczyć Sadassy. W końcu wyłowiłem z półmroku jej drobną postać. Siedziała sama przy małym stoliku w głębi sali. Na blacie leżała jej torebka, obok szklanki po drinku i miseczki chipsów kukurydzianych.

Usiadłem naprzeciwko niej i zacząłem:

- Przepraszam za to wszystko, co powiedziałem.

- Nie ma za co. Takie miał pan zadanie. Po prostu nie wiedziałam, jak zareagować, musiałam wyjść z tej restauracji. Za dużo ludzi, za duży tłok. Nie poinstruowano mnie, co mam odpowiedzieć. Zaskoczył mnie pan.

- Czyli to jest prawda, co mówiłem? O pani matce?

- W zasadzie tak. Tymczasem otrzymałam instrukcje. Wiem, co mam powiedzieć. Pan ma tutaj siedzieć, dopóki nie skończę mówić.

- Dobrze.

- Tę informację otrzymał pan z satelity. Niemożliwe, aby pan się tego dowiedział z innego źródła.

- Zgadza się.

- Informacja, którą mi pan przekazał, zidentyfikowała pana jako członka naszej organizacji, nowicjusza. Informacja ta stanowi wstępny etap na drodze do zrozumienia sytuacji, ale nie oddaje całego obrazu rzeczy. Mam pana przenieść na wyższy szczebel wtajemniczenia w organizacji...

- Jakiej organizacji?

- Aramchek.

- Czyli Aramchek istnieje.

- Oczywiście. Dlaczego Ferris Fremont miałby marnować połowę czasu na próby zlikwidowania wyimaginowanej organizacji? Do Aramcheku należą setki, może tysiące ludzi, tutaj i w Związku Radzieckim. Nie znam dokładnej liczby. Satelita kontaktuje się z każdym z nas osobno, toteż tylko satelita wie, ilu nas jest, jak również gdzie i co mamy robić.

- Co to jest Aramchek?

- Właśnie panu powiedziałam. Ludzie tutaj i w ZSRR, z którymi kontaktuje się satelita i udziela im informacji. Aramchek to nazwa satelity. Jest pan członkiem Aramcheku wciągniętym do naszej organizacji z inicjatywy satelity. Zawsze decyduje o tym wola satelity: dokładnie tak, jak było z panem: został pan wybrany, wyselekcjonowany. My, pan, ja i inni, jesteśmy ludźmi Aramcheku, eksponentami złożonego umysłu emanującego z satelity, który z kolei otrzymuje instrukcje za pośrednictwem sieci z planet układu Albemuth. Albemuth to poprawna nazwa gwiazdy, którą my nazywamy Fomalhaut. Stamtąd się wywodzimy, ale umysł zawiadujący satelitą nie przypomina naszego. A raczej - na chwilę zawiesiła głos - jest dużo bardziej od niego zaawansowany. To dominująca forma życia na planetach układu Albemuth. My natomiast byliśmy mniej wyewoluowanymi organizmami. Dziesiątki tysięcy lat temu dano nam wolność i przenieśliśmy się tutaj, aby założyć kolonię. Kiedy pograżyliśmy się w nieprzezwycięzalnych trudnościach, wysłano satelitę, aby nam pomógł, aby nas na powrót połączył z układem Albemuth.

- Większość tego już wiedziałem.

- Jest jedna rzecz, której pan nie wie, a raczej nie zdaje sobie sprawy - ciągnęła Sadassa. - Te wszystkie zjawiska, których jest pan świadkiem, to transfer plazmatycznych, wysoko rozwiniętych form życiowych z planet Albemuth via sieć telekomunikacyjna na satelitę, a stamtąd na powierzchnię naszej planety. Formalnie biorąc, Ziemia przeżywa inwazję z kosmosu. Tak należy określić to, co się dzieje. Satelita próbował to zrobić już wcześniej, ściśle mówiąc, dwa tysiące lat temu. Wtedy się nie udało. Biorcy zostali zniszczeni i plazmatyczne formy życia uciekły do atmosfery, zabierając ze sobą energię biorców. Pana samego spotkała inwazja plazmatycznej formy życia przysłanej w formie energii po to, aby panem zawładnąć i pokierować pana działaniami. My, członkowie organizacji, jesteśmy receptorami tych plazmatycznych form życia przybyłych z macierzystych planet, jesteśmy jakby zbiorowym mózgiem; z tego się obecnie składamy, co jest dla nas korzystne. Przybywają jednak w bardzo niewielkiej liczbie, aby nam pomóc. Nie jest to inwazja masowa, lecz mała, bardzo selektywna. Został pan wybrany jako receptor po długotrwałym namyśle. Ja również. Bez tego opętania nie mogłoby nam się udać. Być może i tak nam się nie uda.

- Co nam się nie uda?

- Obalić Ferrisa Fremonta.

- Czyli to jest zasadniczy cel.

- Tak. - Skinęła głową. - Zasadniczy cel tutaj, w ograniczonej perspektywie tej planety. Stał się pan bytem złożonym, częściowo ludzkim, a częściowo... no, oni nie mają nazwy. Ponieważ składają się z energii, zlewają się ze sobą, rozdzielają i ponownie przybierają swoją złożoną formę jako warstwa atmosfery ich macierzystych planet. To wysoko rozwinięte duchy

atmosferyczne, które niegdyś miały materialne ciała. Są bardzo starzy. To dlatego, kiedy zaczęły się pana quasi-teoleptyczne doznania, miał pan wrażenie, że wzięła pana w posiadanie osoba sprzed wieków, ze wspomnieniami sprzed wieków.

- Tak.

- Sądził pan, że to jakiś zmarły człowiek, prawda? Ja również tak sądziłam, kiedy mi się to zdarzyło. Wyobrażałam sobie najróżniejsze rzeczy, wypróbowałam wszelkie możliwe hipotezy. Valis pozwolił nam...

- Ja wymyśliłem to słowo - przerwałem jej.

- Otrzymał je pan. Zostało umieszczone w pańskiej głowie. Wszyscy tak na niego mówimy. Oczywiście to nie jest imię, tylko etykieta, analiza jego własności. Valis daje nam trochę czasu na sformułowanie teorii możliwych do przyjęcia przez nasze umysły, w celu złagodzenia wstrząsu. Kiedy jesteśmy gotowi, przedstawia nam prawdę. To ciężki cios, Nick, mówmy sobie na ty, dobrze? - Skinąłem głową. - To ciężki cios odkryć, że Ziemia przeżywa selektywną inwazję. Od razu rysują się w głowie makabryczne sceny, w których insekty z Marsa, wielkie jak budynki, lądują i burzą Golden Gate Bridge. Ale to, co się dzieje teraz, nie ma z tym nic wspólnego. To jest dla naszego dobra. To inwazja selektywna, ostrożna i rozważna, a jej jedynym wrogiem jest nasz przeciwnik.

- Czy te plazmatyczne formy życia odejda, kiedy Fremont zostanie usunięty?

- Tak. Przybyli już kilka razy w przeszłości, niosąc nam pomoc i wiedzę - przede wszystkim medyczną - i odeszli. To nasi opiekunowie, Nick. Przybywają, kiedy ich potrzebujemy, a potem wracają do siebie.

- To się zgadza z tym, co już wiem. - Zauważyłem, że cały dygoczę, jakby mi było zimno. - Mogę poprosić kelnerkę, żeby przyniosła mi drinka?

- Oczywiście. Jeśli starczy ci pieniędzy, chciałabym jeszcze raz to samo. Margaritę. Zamówiłem dwie margarity.

- Tak jest mi dużo łatwiej - powiedziałem, kiedy siedzieliśmy i popijaliśmy nasze koktajle. - Nie muszę cię przekonywać.

- Materiał mam już zredagowany.

- Jaki materiał? - zdziwiłem się, a potem zrozumiałem. Informacje podprogowe do umieszczenia na albumie fonograficznym. - Mogę rzucić okiem?

- Nie mam przy sobie. Dostarczę ci w ciągu najbliższych kilku dni. Powinien się znaleźć na płycie, po której spodziewasz się wysokiej sprzedaży. Artysta dowolny, ale najlepiej jeden z najbardziej popularnych w waszej stajni. Dobrze byłoby, gdyby płyta stała się bestsellerem. To przedsięwzięcie jest przygotowywane od lat, Nick. Od kilkunastu lat. Nie może spalić na panewce.

- Jak brzmi tekst, z grubsza biorąc?

- Zobaczysz. Jak przyjdzie czas. - Uśmiechnęła się. - Na pierwszy rzut oka wygląda niewinnie.

- Ale wiesz, co się za nim kryje?

- Nie, nie całkiem. Tekst opiera się na grze pomiędzy słowem party i partia. Wygląda na to, że chodzi o imprezę, ale gdzieś w tle słuchać słowa prezydent, partia, komuch. Jakieś zabawy typu „imprezy dęta...”. Ten fragment potrafiłam rozszyfrować, ale reszty nie.¹⁰

- Jejku - rzuciłem. Byłem przerażony. Wiedziałem, że można robić takie numery za pomocą techniki dwukrotnego zapisu na tym samym śladzie.

- Ale ta płyta - powiedziała Sadassa - którą stworzy i wyda Progressive Records, zawiera tylko połowę informacji. W produkcji jest inna płyta. Nie wiem czyja i gdzie, ale Valis zsynchronizuje jej publikację z waszą i dopiero informacje z obu płyt złożą się na całościowy przekaz. Na przykład piosenka z drugiej płyty może zaczynać się od słów „W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym”, w tym roku Fremont wstąpił do Partii Komunistycznej. Sama w sobie ta data nic nie znaczy, ale didżeje będą puszczała najpierw kawałek z płyty Progressive Records, a potem z tej drugiej i w końcu ludziom się to zleje w jeden całościowy przekaz. Przypadek połączy ze sobą dwie połowy w kolejnych stacjach.

- I skończy się na tym, że ludzie będą chodzili ulicami i nucili „Prezydent wstąpił do partii w 1941 roku?”

- Coś w ten deseń.

- Jeszcze coś?

- *Adam czeka na Ewę.*

- Słucham?

- *Adam czeka na Ewę.* Chórki od czasu do czasu zmienią to na *Aramcheka na Ewę.* Świadomie ludzie dalej będą interpretowali słowa jako *Adam czeka...* ale na poziomie podświadomym przyswoją sobie zmodyfikowaną treść. To jest podobny motyw jak w słynnym...

- Wiem, co to za motyw. Podobny jak w słynnym longplayu, który wciąż sprzedaje się w milionach egzemplarzy, z chórkami: „Palcie trawę, palcie trawę, wszyscy palcie trawę”.

Parsknęła swoim gardłowym śmiechem.

- Właśnie.

- Ferris Fremont wie o satelicie, prawda? - spytałem.

- Domyślili się. Szukali satelity i teraz, jak wiadomo, Georgi Moyashka go zlokalizował, we współpracy z naszymi stacjami kosmicznymi. USA i ZSRR wspólnie namierzyły satelitę Aramcheka. Satelita, którego Moyashka wysłała na orbitę, jest oczywiście uzbrojony. „Przypadkowo” wybuchnie, niszcząc przy okazji satelitę Aramchek.

¹⁰W oryginale aluzja do utworu Beatlesów *Come together* (co znaczy „pójdźmy razem”, ale też „wspólnie przeżyjmy orgazm”), napisanego na potrzeby kalifornijskiej kampanii wyborczej narkotykowego guru Timothy’ego Leary’ego.]

- Da się wysłać następnego satelitę? Z Albemuth?

- To trwa tysiące lat.

Wpatrywałem się z nią osłupiały.

- I jeszcze nie...

- Jeden jest w drodze. Przybędzie tutaj długo po tym, jak wszyscy żyjący dzisiaj ludzie pomierają. Satelita Aramchek, który znajduje się obecnie na naszym niebie, orbituje od czasów wielkiego imperium egipskiego, od czasów Mojżesza. Przypominasz sobie płonący krzew?

Skinałem głowę. Znałem osłepiający efekt aktywności fosfeniczej: przejawienia nigdy nie wygasającego ognia. Przez długi czas pomagano nam w walce przeciwko niewolnictwu. Lecz teraz dni satelity były policzone. Rosjanie mogli wystrzelić satelitę w ciągu... Nagle zdałem sobie sprawę, że przypuszczalnie już czeka w kosmodromie jako ostatni człon rakiety.

Wszystko na swoim miejscu. Pozostaje już tylko zaprogramować trajektorię lotu.

- Start - powiedziała Sadassa, jakby czytała mi w myślach - nastąpi pod koniec tygodnia. I wtedy satelita umrze. Napływ pomocy i informacji ustanie.

- Jak możesz to mówić z takim spokojem?

- Zawsze jestem spokojna. Nauczyłam się spokoju. Od wielu miesięcy wiemy, że to nas czeka. Mamy wszystkie informacje, których nam potrzeba, wszystkie, które mieliśmy otrzymać. To powinno wystarczyć. Satelita Aramchek dotrwał do końca swojej misji. Na Ziemi jest wystarczająco dużo plazmatycznych form życiowych, żeby...

- Nie sądzę, żeby nam się udało.

- Ale nagramy płytę.

- O tak. Możemy zacząć jutro. Nawet dzisiaj, jeśli chcesz. Mam parę pomysłów co do wykonawców. Dobrych artystów, których i tak planowaliśmy wydać i wylansować.

- Świetnie.

- Dlaczego w czasach starożytnych wybrał sobie na rozmówców Żydów?

- Byli pasterzami żyjącymi pod gołym niebem, a nie mieszczanami odciętymi od gwiazd. Były dwa królestwa, Izraela i Judy. Valis zwrócił się do Judy, rolników i pasterzy. Zauważyłeś, że operatora sieci lepiej słyhać, kiedy wieje wiatr od pustyni?

- Zastanawiałem się nad tym.

- To, co odbieramy, to są sygnały paradiowe, otulina falowa sygnału radiowego, więc kiedy przekaz radiowy zostanie zdekodowany, jest pozbawiony sensu. To dlatego doktor Mo-yashka nie potrafił odczytać instrukcji przesyłanych z satelity na Ziemię. Sam sygnał radiowy to tylko połowa całej informacji. Gwałtowna aktywność fosfeniczna, której od czasu do czasu doświadczasz, zwłaszcza kiedy emituje osobowość plazmatyczna, jest wzbudzana przez promieniowanie, nie przez sygnał radiowy. Ten typ promieniowania jest u nas nieznan. Poza reakcją fosfeniczną jest niezauważalne, a tylko osoba odbierająca doświadcza reakcji

fosfonicznej. U innych organizmów mogą występować zmiany objętości i ciśnienia krwi, ale na tym koniec.

- Fakt, że starożytni Żydzi nie mieszkali w miastach, nie mógł być jedynym powodem, dla którego ich wybrano.

- Nie, to nie był jedyny powód. Dzięki temu łatwiej było nawiązać z nimi łączność. Starożytna Juda tak się sytuowała wobec tyrańskich imperiów jak my wobec Ferrisa Fremonta. Stanowili ostatni nie zasymilowany odłam ludzkości, nie splamiony władzą i majestatem. Zawsze walczyli z tym czy innym imperium. Zawsze dążyli do niepodległości, wolności i indywidualizmu. Byli awangardą nowożytnego człowieka, sprzeciwiającą się przytłaczającej jednorodności Babilonu, Asyrii i przede wszystkim Rzymu. Byli wobec Rzymu tym, czym my jesteśmy wobec Rzymu dzisiaj.

- Ale nie zapominaj, co się stało w 70 roku naszej ery, kiedy zbuntowali się przeciwko Rzymowi. Świątynia zburzona, ich naród zdziesiątkowany i rozproszony po wieczne czasy.

- Boisz się, że to się powtórzy teraz.

- Tak.

- Ferris Fremont zniszczy nas niezależnie od tego, czy go zaatakujemy, czy nie. Pod koniec tygodnia zestrzelił satelitę Aramchek za pośrednictwem radzieckiej techniki. Tymczasem panowcy próbują namierzyć wszystkie podwójne osobowości stworzone przez satelitę, takich ludzi jak ty i ja, Nick. Stąd zestawy „Zostań agentem”, stąd wzmożony nadzór policyjny. Nie wiedziałeś, czego szukają, kiedy do ciebie przyszli, ale oni wiedzieli.

- Czy złapali już wielu z nas?

- Nie wiem. Rzadko się ze sobą kontaktujemy... tak jak ty i ja teraz. Ale mówiono mi, że połowa organizacji została wytropiona i zlikwidowana. Zabijają nas, kiedy nas znajdują, a nie wsadzają do więzienia. Często zabijają nas tak, jak próbowali to zrobić ze mną: za pomocą toksyn. W rządowych arsenałach znajdują się bardzo silne toksyny przeznaczone do walki z wewnętrznym wrogiem. Nie zostawiają w organizmie żadnych śladów. Żaden lekarz medycyny sądowej nie potrafi ustalić przyczyny śmierci.

- Ale ty przeżyłaś.

- Nie spodziewali się, że Valis mnie uzdrowi. Miałam przerzuty w całym organizmie, kiedy wkroczył do akcji i mnie wyleczył. W ciągu jednego dnia po byłam zdrowa. Zniknęły wszystkie komórki rakowe, nawet w rdzeniu kręgowym i mózgu. Lekarze nie mogli znaleźć ani śladu raka.

- Co się z tobą stanie po zniszczeniu satelity?

- Nie wiem, Nick - odparła spokojnie. - Pewnie znowu zachoruję. A może nie. Może uzdrowienie przez Valisa jest trwałe.

Jeśli nie, pomyślałem, to u mnie powrócą uszkodzenia narządów klatki piersiowej, które powstały podczas wypadku samochodowego. Nic jednak nie powiedziałem.

- Co cię najbardziej przeraża w tej całej sytuacji? - spytała Sadassa. - Inwazja? Bo ja...

- Koniec satelity.

- Czyli nie przestraszyłeś się tego, co się z tobą stało? Z tobą i ze mną?

- Nie. To znaczy, przestraszyłem się, bo zaskoczyło mnie to. I nie rozumiałem tego. Ale to był pozytywny strach, bo uratował mnie przed policją.

- Przysłano ci coś pocztą.

- Tak.

- Potrafią wykryć przybliżony obszar objęty zmasowaną emisją danych. Wiedzieli, że transmisja jest skierowana do kogoś w twojej okolicy. Przymuszczalnie wysłali, to znaczy policyjni kryptografowie, przymuszczalnie wysłali podobny materiał do wszystkich mieszkańców twojego bloku i sąsiednich. Co z nim zrobiłeś?

- Zadzwoiłem do PAN-u. Ale to nie byłem ja, to było... - Zawahałem się, bo nie wiedziałem, jak to nazwać.

- Węgielek - powiedziała Sadassa.

- Co?

- Tak nazywam plazmatyczny twór we mnie: „węgielek”. To jest opis, nie imię. On przypomina jajeczko bladego, zimnego ognia. Żarzącego się życiem tutaj. - Dotknęła swego czoła. - To dziwne, mieć go w sobie, żywego i nie widzianego. Ukrytego we mnie, tak samo jak jest ukryty w tobie. Inni nie mogą go zobaczyć. Jest bezpieczny. Względnie bezpieczny - dodała po chwili.

- Czy jeśli zostanę zabity, to on umrze razem ze mną?

- Jest nieśmiertelny. - Wpatrywała się we mnie przez jakiś czas. - Tak samo jak ty, Nicholasie. Odkąd węgielek wtopił się w ciebie, stałeś się istotą nieśmiertelną. Trwasz razem z nim. Kiedy twoje ciało zostanie zniszczone i on je opuści, zabierze cię ze sobą. Nie zostawia nas. Ponieważ daliśmy im oboje mieszkanie i schronienie, zabiorą nas ze sobą w wieczność.

- Nagroda?

- Tak. Za to, co zrobiliśmy, czy raczej próbowaliśmy zrobić. Oni cenią wysiłek, staranie, na równi z osiągnięciem celu. Biorą pod uwagę zaangażowanie, intencje. Wiedzą, że nasze możliwości są ograniczone, że może nam się nie udać. Możemy jedynie spróbować.

- Ty też uważasz, że nam się nie uda.

Sadassa w milczeniu popijała swoją margaritę.

Pod koniec tygodnia władze radzieckie oznajmiły, że doszło do tajemniczej eksplozji na pokładzie satelity przechwytyjącego, który został wystrzelony w celu sfotografowania satelity PII. Siła wybuchu zniszczyła oba satelity. Przyczyna potężnej eksplozji była nie znana, lecz podejrzewano, że ma to związek z układem paliwowym radzieckiego satelity. Doktor Moyashka zarządził dogłębne śledztwo.

Tylko dwa zdjęcia satelity PII zostały przesłane na Ziemię, zanim został zniszczony. Co zaskakujące, okazało się, że był podziurawiony i przypuszczalnie częściowo uszkodzony przez deszcze meteorytów. Należy z tego wnioskować, stwierdził doktor Moyashka, że satelita PII pokonał znaczną odległość w przestrzeni międzygwiazdnej, zanim został schwytyany przez pole grawitacyjne Ziemi. Hipotezę, że był to bardzo stary satelita, od dawna krążący po orbicie, odrzucono jako nienaukową i niezgodną z zasadami marksizmu-leninizmu.

To by było na tyle, powiedziałem do siebie, oglądając materiał na ten temat w wiadomościach telewizyjnych. Zestrzelili Boga, a raczej głos Boga. *Vox Dei*, pomyślałem. Zniknął ze świata.

W Moskwie na pewno jest wielkie święto.

Cóż, pomyślałem ze smutkiem, dobiegła końca pewna wielka epoka w dziejach ludzkości. Nic nas nie poinstruuje, na niebie nie ma nic, co by nas pocieszyło, kiedy jesteśmy przygnębieni, co by nas podniosło na duchu i podtrzymało przy życiu, co by uleczyło nasze rany. W Waszyngtonie i Moskwie mówią: „Człowiek nareszcie osiągnął dorosłość. Nie potrzebuje paternalistycznej pomocy”. Innymi słowy: „Zlikwidowaliśmy tę pomoc i zamiast niej my będziemy rządzić”, nie oferując żadnej pomocy. Będziemy brali, a nie dawali, rozkazywali, a nie byli posłuszni, mówili, a nie słuchali, odbierali życie, a nie dawali je. Zabójcy rządzą teraz bez żadnych przeszkód. Marzenia ludzkości stały się puste.

Tego wieczoru, kiedy Rachel, Johnny i ja, plus nasz kot Pinky, leżeliśmy razem na naszym dużym łóżku w sypialni, pojawiło się światło koloru bladej bieli i zaczęło wypełniać pokój.

Wyciągnięty na moim końcu łóżka zdałem sobie sprawę, że nikt oprócz mnie nie widzi bladego światła. Pinky spał, Rachel spała, Johnny chrapał przez sen. Tylko ja, przytomny, widziałem, jak światło się powiększa, widziałem, że nie ma żadnego źródła, że nie jest nigdzie zlokalizowane. Równomiernie wypełniało całą przestrzeń i nadawało każdemu przedmiotowi niezwykłą wyrazistość. Co to jest? Zastanawiałem się i schwycił palie głęboki lęk. Poczulem się tak, jakby do pokoju weszła śmierć we własnej osobie.

Światło zrobiło się tak jasne, że rozróżniałem każdy szczegół wokół siebie. Śpiąca kobieta, chłopczyk, podzemuający kot - wszyscy sprawiali wrażenie wygrawerowanych albo

namalowanych, nie mogących się poruszyć, bezlitośnie obnażonych przez światło. Ponadto coś patrzyło na nas z góry, a my leżeliśmy jakby na dwuwymiarowej powierzchni. Coś, co przemieszczało się i korzystało z trzech wymiarów, obserwowało istoty ograniczone do dwóch wymiarów. Nie było gdzie się schować. Światło, bezlitosne spojrzenie, było wszędzie.

Jesteśmy osądzeni, uzmysłowiłem sobie. Światło przyszło bez ostrzeżenia, aby nas obnażyć, i teraz sędzia bada każdego z nas. Jaki wyda werdykt? Doznanie śmierci, mojej własnej śmierci, było przejmujące. Czuję się tak, jakbym był przedmiotem nie ożywionym, zrobionym z drewna, wyrzezaną i pomalowaną zabawką... Wszyscy byliśmy wyrzeźbionymi zabawkami w oczach sędziego, który spoglądał na nas z góry i mógł podnieść każdego z nas z malowanej powierzchni, kiedy tylko zechciał.

Zacząłem się modlić, w duchu. A potem na głos. Modliłem się, osobliwa rzecz, po łacinie - której nie znałem - wypowiadałem zwroty i całe zdania, błagając, by mnie oszczędzono. Tego chciałem. O to prosiłem raz po raz, w wielu językach, w każdym języku: aby sędzia mnie przepuścił i pozwolił iść dalej.

Blade, jednorodne światło powoli zgasło i pomyślałem sobie: to dlatego, że zestrzelili satelitę. Dlatego. Śmierć wlała się, aby wypełnić pustkę. Kiedy życie ulegnie zniszczeniu, to, co pozostaje, jest bezwładne. Jestem świadkiem powrotu śmierci.

Następnego dnia Rachel zauważyła, że Pinky wygląda na chorego. Siedział bez ruchu, a w pewnym momencie głowa mu opadła i uderzyła o podłogę, jakby ogarnęło go potworne znużenie. Ujrzawszy go, zrozumiałem, że umiera. Śmierć przyszła po niego, nie po mnie.

Zawiozłem go do lecznicy dla zwierząt Yorba Linda. Tamtejsi weterynarze zdiagnozowali u Pinky'ego tumor. Operowali go, kiedy ja wracałem do domu. „Przypuszczalnie potrafimy go uratować”, powiedzieli mi na odjeźdźnym, widząc, jaki jestem zrezygnowany, ale nie dałem się oszukać. Oto co zostało zainaugurowane dla całego świata. Na pierwszą ofiarę wybrane zostało oczywiście najmniejsze ze stworzeń.

Pół godziny po moim powrocie do domu zadzwoniła jedna z weterynarzy.

- To rak - powiedziała mi. - Nastąpiła całkowita dysfunkcja nerek, ustała produkcja uryny. Możemy go z powrotem zszyć i przeżyje tydzień, ale...

- Jest jeszcze pod narkozą?

- Tak, jest jeszcze rozkrajany.

- Pozwólcie mu umrzeć.

Rachel, która stała obok mnie, zaczęła płakać. Mój przewodnik, pomyślałem. Nie żyje. Tak jak Charley. Spójrz na siły tego świata, które szaleją teraz bez żadnej kontroli.

- Te złośliwe guzy musiały się od jakiegoś czasu powiększać - mówiła pani weterynarz. - Kot ma niedowagę, jest odwodniony i...

- Zmarł ubiegłej nocy - rzuciłem.

Zabrali go zamiast mnie, pomyślałem. Mnie, Johnny'ego albo Rachel. Może sam tego chciał. Może wiedział i zaofiarował siebie.

- Dziękuję - powiedziałem. - Wiem, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy. Nie mam pretensji.

Satelita zniknął z naszego świata, a wraz z nim uzdrawiające promienie, podobne do promieni niewidzialnego słońca, które się czuje, lecz nie widzi się go i nie uznaje jego istnienia. Słońce z uzdrowicielskimi skrzydłami.

Lepiej będzie nie mówić o tym Sadassie, uznałem. A przynajmniej o przyczynie śmierci Pinky'ego.

Tego wieczoru, kiedy myłem w łazience zęby, nagle poczułem na ramieniu stanowczą, silną dłoń: uścisk przyjaciela. Sądząc, że to Rachel, odwróciłem się. Nikogo nie zobaczyłem.

Utracił swoją zwierzęcą formę, uzmysłowiłem sobie. Nigdy nie był kotem. Istoty nadprzyrodzone maskują się jako zwykłe stworzenia, aby żyć pośród nas, aby nas prowadzić i kierować nami.

Tej nocy śniło mi się, że orkiestra symfoniczna gra symfonię Brahmsa, a ja czytam tekst z okładki płyty. Na końcu pojawiło się imię:

Herbert

Mój dawny szef, pomyślałem. Który zmarł lata temu na zawał serca. Który mnie nauczył, co znaczy poczucie obowiązku. Wiadomość od niego dla mnie.

Po imieniu pojawiła się w tym samym miejscu pięciolinia z katgutem, która wyglądała na wciśniętą w miękki papier pięcioma pazurami. Podpis Pinky'ego. W końcu Pinky nie umiał pisać. Mój dawny szef, który tak wiele mnie nauczył i który nie żyje, odrodził się jako Pinky? Aby znowu mnie poprowadzić, a potem odejść, tak jak przedtem? Kiedy nie mógł już zostać dłużej... list pożegnalny od niego czy od nich, wszystko jedno. Od mojego przyjaciela. W każdym razie przeprowadził mnie przez wiele lat życia. Współkształtował mnie, a potem umarł.

Świeć, Panie, nad jego duszą, pomyślałem we śnie, i słuchałem symfonii Brahmsa, puszczonej w kabinie odsłuchowej w University Music - kabinie numer trzy, za którą wiele lat temu tak często zmieniałem papier toaletowy w ubikacji, co należało do moich obowiązków. A przecież on był tutaj przed chwilą, jego stanowcza dłoń z sympatią ścisnęła mnie za ramię. W pożegnalnym geście.

W Progressive Records zaczęły się sesje nagraniowe nowego longplaya - umieszczonej już wcześniej w katalogu płyty, na której miały się znaleźć informacje podprogowe na temat

Aramcheku. Uzyskałem od szefostwa firmy zgodę na to, żeby dać mój materiał zespołowi Playthings. Playthings to była nasza najpopularniejsza nowa grupa. Martwiło mnie tylko, że mogą zostać poddani represjom, kiedy władze wykryją treści podprogowe. Należało tak to zaaranżować, aby zdjąć z nich wszelkie podejrzenia. Z nich i z wszystkich innych osób w Progressive Records.

Sporządziłem więc serię obszernych notatek, z których wynikało, że decyzja dotycząca nagrywanych przez Playthings utworów została podjęta przeze mnie jednoosobowo, że to ja zamówiłem i zredagowałem teksty, że zespół nie miał żadnego wpływu na to, które teksty zaśpiewa, i nie miał prawa ich modyfikować - potrzebowałem prawie dwóch tygodni cennego czasu, aby zapewnić im bezpieczeństwo, ale było to konieczne. Oboje z Sadassą zgodziliśmy się co do tego. W przeciwnym razie zespół czekałyby bardzo dotkliwe represje. Miałem potworne wyrzuty sumienia, że wplątuje w to Playthings, sympatycznych ludzi, którzy nikomu źle nie życzyli. Ktoś jednak musiał nagrać tę płytę, jakiś modny zespół. Kiedy skończyłem przygotowywanie dokumentacji, obejmującej podpisany przez członków zespołu list, w którym protestowali energicznie, że teksty piosenek nie pasują do ich image'u, byłem w miarę pewien, że wyjdą z tego cało.

Któregoś dnia, kiedy siedziałem w biurze i słuchałem wstępnych nagrań do albumu - który miał być zatytułowany *Let's Play!* - odezwał się mój telefon komunikacji wewnętrznej.

- Jakaś młoda dama do pana, panie Brady.

Sądząc, że to wokalistka, która chce, żeby ją przesłuchać, powiedziałem recepcjonistce, żeby ją do mnie przysłała.

Weszła dziewczyna z krótkimi, czarnymi włosami i zielonymi oczami, uśmiechając się do mnie.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry - odparłem, wyłączając nagrania do *Let's Play!* - Czym mogę służyć?

- Jestem Vivian Kaplan - przedstawiła się, siadając. Dopiero teraz zauważyłem opaskę PAN-u i poznałem ją. To była panówka, o której opowiadał mi Phil, ta, która chciała, aby napisał moją charakterystykę polityczną. Co ona tu robi? Na moim biurku stał jak byk przenośny magnetofon Ampex z taśmą, na której nagrane były wstępne wersje kawałków do *Let's Play!* Na szczęście zdążyłem wyłączyć, zanim Vivian Kaplan cokolwiek usłyszała.

Usiadłszy, poprawiła spódnicę, po czym wyjęła notatnik i długopis.

- Ma pan znajomą, która nazywa się Sadassa Aramchek - powiedziała. - Istnieje organizacja wywrotowa o nazwie Aramchek. Satelita stacjonarny, którego właśnie zestrzelili Sowieci, też był czasem nazywany „satelitą Aramchek”. - Zerknęła na mnie znad notesu, w którym coś zapisywała. - Nie dostrzega pan w tym zdumiewającego zbiegu okoliczności, panie Brady? Milczałem.

- Chce pan złożyć dobrowolne oświadczenie?

- Jestem aresztowany?

- Nie, bynajmniej. Bezskutecznie próbowałam uzyskać oświadczenie o pańskiej lojalności politycznej od kilkorga pańskich znajomych, ale żadnemu z nich nie zależy na panu w takim stopniu, żeby spełnili moją prośbę. Przeprowadzając wywiad środowiskowy na pański temat, natrafiliśmy na tę osobliwość, słowo „Aramchek” pojawiające się raz po raz w związku z panem...

- Jediną rzeczą, która łączy mnie z tym słowem, jest fakt, że Sadassa tak się nazywa z domu.

- Nie ma pan nic wspólnego z organizacją Aramchek ani z satelitą?

- Nie.

- W jaki sposób poznał pan panią Aramchek?

- Nie mam obowiązku odpowiadać na te pytania.

- A jednak ma pan. - Vivian Kaplan wyjęła z torebki czarną legitymację służbową; a więc autentyczna funkcjonariuszka policji. - Może pan porozmawiać ze mną tutaj, w swoim biurze, albo udać się ze mną do centrum. Co pan woli?

- Mogę zadzwonić do mojego adwokata?

- Nie. - Vivian Kaplan pokręciła głową. - To nie jest śledztwo przeciwko panu, na razie. Nie postawiono panu jeszcze żadnego zarzutu. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób poznał pan Sadassę Aramchek.

- Przyszła tutaj w poszukiwaniu pracy.

- Dlaczego pan ją zatrudnił?

- Żał mi jej było, ze względu na jej niedawne zmagania z rakiem.

Vivian Kaplan zapisała to sobie.

- Wiedział pan, że ona w rzeczywistości nazywa się Aramchek? Ostatnio przedstawia się jako Silvia.

- Mnie podała nazwisko Silvia.

Tu na pewno nie minąłem się z prawdą.

- Zatrudniłby ją pan, gdyby pan znał jej prawdziwe nazwisko?

- Nie. Chyba nie. Nie jestem pewien.

- Czy oprócz stosunków służbowych łączy z nią pana także stosunki osobiste?

- Nie. Jestem żonaty i mam dziecko.

- Widziano was razem w restauracji Del Rey's oraz w La Paz Bar, jedno i drugie w Fullerton. Raz w Del Rey's i sześciokrotnie w La Paz Bar, wszystko w ostatnim okresie.

- Serwują tam najlepsze margarity w całym Orange County.

- O czym rozmawiacie, kiedy idziecie do La Paz Bar?

- O różnych sprawach. Sadassa Silvia...

- Aramchek.

- Sadassa jest pobożną episkopalianką. Próbowwała mnie nawrócić na swoje wyznanie. Ale mówi mi wszystkie kościelne plotki, co mnie odstręcza.

To również była prawda.

- Nagraliśmy waszą ostatnią rozmowę w La Paz Bar - poinformowała mnie Vivian Kaplan.

- O! - przestraszyłem się, próbując sobie przypomnieć, o czym mówiliśmy.

- Co to za płytę zamierzacie wydać? - spytała Vivian Kaplan. - Rozmawialiście o tym z dużym zaangażowaniem. Nowy longplay Playthings.

- To będzie nasz nowy hit. - Czuję, że pot występuje mi na czoło, a puls gwałtownie przyspiesza. - Wszyscy w Progressive Records o tym rozmawiają.

- Pan dostarczył teksty do tej płyty?

- Nie. Tylko materiały dodatkowe, nie same teksty.

Vivian Kaplan wszystko zapisywała.

- To będzie genialna płyta - dodałem.

- No, tak można by sądzić z tego, co mówiliście. Ile egzemplarzy zamierzacie wytłoczyć?

- Mamy nadzieję sprzedać dwa miliony, ale pierwsze tłoczenie wyniesie tylko pięćdziesiąt tysięcy. Żeby sprawdzić, czy album chwyci.

W rzeczywistości planowałem trzykrotnie większy nakład.

- Kiedy może nam pan udostępnić egzemplarz?

- Nawet nie mamy jeszcze oryginału.

- W takim razie taśmę?

- No, taśmę moglibyśmy wam dać wcześniej.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym jej dać taśmę bez materiału podprogowego. Po prostu nie wgralibyśmy ścieżki z zakazanymi dźwiękami.

- Po zapoznaniu się z materiałem dowodowym - powiedziała Vivian Kaplan - doszliśmy do wniosku, że ma pan romans z panią Aramchek.

- Możecie sobie wsadzić w dupę wasze wnioski.

Vivian Kaplan przyglądała mi się przez jakiś czas, po czym zapisała w notatniku kilka słów.

- To wyłącznie moja sprawa - stwierdziłem.

- Co na to pańska żona?

- Nie ma nic przeciwko.

- Czyli wie?

Nie umiałem znaleźć na to odpowiedzi. Dałem się złapać w pułapkę językową, z której nic jednak nie wynikało. Byli na zupełnie błędnym tropie. Mają nie tę piłkę, pomyślałem. Niech z nią biegają nie do tej bramki. Świetnie.

- O ile możemy to stwierdzić - oznajmiła Vivian Kaplan - całkowicie zerwał pan ze swoją

lewacką berkeleyowską przeszłością. Czy tak jest w istocie, panie Brady?

- Tak jest w istocie.

- Czy zechciałby pan złożyć oświadczenie o lojalności politycznej pani Aramchek, żebyśmy to mieli w aktach? Skoro pan ją zna i rozmawia z nią na wiarygodnej stopie?

- Nie.

- Mamy do pana wielkie zaufanie, panie Brady, jeśli chodzi o pański patriotyzm.

- I słusznie.

- Dlaczego rezygnuje pan z okazji do utwierdzenia nas w tej opinii? To by nam praktycznie pozwoliło zamknąć pańską sprawę.

- Niczyja sprawa nie jest nigdy zamknięta.

- No to przynajmniej odłożyć na półkę.

- Przykro mi. - Odkąd pomocnik PII zastąpił moją wolę, kłamanie przychodziło mi z trudem.

- Nie mogę spełnić waszej prośby. To, czego ode mnie chcecie, jest złe i niemoralne. Właśnie takie rzeczy niszczą naszą tkankę społeczną. Wzajemne szpiclowanie się przez przyjaciół jest najbardziej szkodliwą ze wszystkich potworności, które Ferris Fremont wyrządził wolnemu wcześniej narodowi. Może to pani zapisać, panno Kaplan, i umieścić w moich aktach. Albo jeszcze lepiej, nakleić na mojej teczce jako moje oficjalne oświadczenie do was wszystkich.

Vivian Kaplan roześmiała się.

- Widać uważa pan, że ma pan bardzo dobrego adwokata.

- Uważam, że bardzo dobrze oceniam sytuację. A teraz, jeśli pani skończyła, proszę wyjść z mojego biura. Mam taśmy do przesłuchania.

Wstając, Vivian Kaplan spytała:

- Kiedy dostarczy nam pan taśmę?

- Za miesiąc.

- Czy to będzie taśma matka?

- Mniej więcej.

- „Mniej więcej” nas nie satysfakcjonuje, panie Brady. Musimy mieć taśmę matkę.

- Oczywiście. Co tylko pani sobie życzy.

Po chwili wahania Vivian Kaplan dodała:

- Jeden z pańskich inżynierów dźwięku dał nam cynk przez telefon. Powiedział, że na jednej ze ścieżek są jakieś dziwne rzeczy.

- Hmm.

- To wzbudziło w nim podejrzenia.

- Który inżynier dźwięku to był?

- Chronimy anonimowość naszych informatorów.

- Zupełnie słusznie.

- Panie Brady - rzuciła Vivian Kaplan zniecierpliwiona - pragnę pana niniejszym poinformować, że jesteśmy bardzo, bardzo bliscy decyzji o aresztowaniu pana i pani Aramchek, jak również całej pańskiej firmy i wszystkich blisko z panem związanych osób, pańskiej rodziny i przyjaciół.

- Dlaczego?

- Mamy powody sądzić, że na albumie *Let's Play!* znajdują się wywrotowe treści, umieszczone tam przypuszczalnie przez pana i panią Aramchek oraz być może inne osoby. Na razie jednak przyjmujemy roboczo, że nasze podejrzenia są mylne. Sprawdzimy płytę przed jej wypuszczeniem i jeśli nic nie znajdziemy, będzie pan mógł ją wydać zgodnie z harmonogramem i rozdystrybuować według planu. Lecz jeśli po analizie znajdziemy jakiegokolwiek...

- Kurtyna opada.

- Słucham?

- Żelazna kurtyna.

- Co pan chce przez to powiedzieć, panie Brady?

- Nic. Po prostu mam dość tej całej podejrzliwości, całego tego szpiclowania i wszystkich tych oskarżeń. Wszystkich tych aresztowań i morderstw.

- Jakich morderstw, panie Brady?

- Mam na myśli konkretnie próby zamordowania mnie.

Parsknęła śmiechem.

- Ma pan silnie neurotyczną osobowość, jak wskazuje posiadana przez nas charakterystyka. Za dużo się pan martwi. Wie pan, co pana zabije, jeśli w ogóle? Zabawianie się z tą całą Aramchek w pańskim wieku. Podczas ostatnich badań medycznych miał pan podwyższone ciśnienie. To było kiedy został pan przyjęty do szpitala w Downey po...

- Podwyższone ciśnienie krwi wzięło się z tego, że...

Urwałem.

- Tak?

- Nieważne.

Vivian Kaplan odczekała chwilę, po czym powiedziała ściszym, spokojnym głosem:

- Nie ma pan już satelity do pomocy, panie Brady. Oni się do niego dorwali.

- Wiem. Chodzi pani o satelitę PII? Tak, Rosjanie go wysadzili. Widziałem w telewizji.

- Jest pan teraz sam.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Pan rozumie, co chcę powiedzieć.

- Wcale nie - wydusiłem.

Kłamanie sprawiało mi wysiłek, ogromny wysiłek. Dokonywałem gwałtu na sobie samym. Ledwo byłem do tego zdolny.

- Myślałem, że oficjalne stanowisko Stanów Zjednoczonych w kwestii satelity brzmi, że... Co to za brednie słyszałem? „Porzucony nasz własny satelita” czy coś w tym rodzaju. Nie z przestrzeni kosmicznej. Złom. Nasze własne stare sygnały powracają do nas.

- To było, zanim Związek Radziecki go sfotografował.

- A, więc teraz stanowisko się zmieniło.

- Wiemy, co to był za satelita.

- W takim razie jak mogliście go zniszczyć? Cóż za pomieszany umysł mógł wydać rozkaz jego zniszczenia? Nie rozumiem was. Wy nie rozumiecie mnie i ja nie rozumiem was. Dla mnie jesteście obłąkani.

Urwałem. Powiedziałem za dużo.

- Chce pan, aby pozaziemski byt rządził pana umysłem? Rozkazywał panu? Chce pan być niewolnikiem...

- A pani za kogo się uważa, pani Kaplan? Tym właśnie jest PAN, bandą robotów, którzy ślepo wykonują rozkazy i ślepo zmuszają wszystkich, którzy nie zostali jeszcze złapani w sieć, żeby tak jak oni stali się robotami spełniającymi wolę przywódcy. I to jakiego przywódcy!

- Do widzenia, panie Brady - powiedziała Vivian Kaplan i drzwi się za nią zamknęły. Poszła.

Właśnie zacisnąłem sobie pętlę na szyi, pomyślałem. Tak samo jak Phil, też z pomocą Vivian Kaplan. Ta kobieta posiada dar nakłaniania ludzi do tego różnymi sposobami. Phil sam wykazał inicjatywę, ja dałem się sprowokować, ale efekt ten sam. Mam nadzieję, że płacą jej dobrą pensję, pomyślałem. Zasluguje na to. Każdego potrafi wciągnąć w pułapkę.

Mają teraz na mnie wystarczająco dużo, żeby w każdej chwili uzyskać nakaz aresztowania, uzmysłowilem sobie. Ale zawsze mieli wystarczająco dużo. To niczego nie zmienia. Nagrali naszą rozmowę w La Paz Bar. Mają wszystko, czego im potrzeba. A przepisów kodeksu postępowania karnego, gwarancji konstytucyjnych i tak się już nie przestrzega. W takich sprawach zawsze powołują się na względy bezpieczeństwa narodowego. Więc do cholery z tym. Cieszę się, że powiedziałem, co powiedziałem. Nie straciłem niczego, co nie byłoby już stracone.

Prawie wszystko zostało zaprzepaszczone, pomyślałem. Teraz, kiedy nie ma już satelity.

Wewnątrz mojego umysłu drgnął węgielek. Poczulem jego obecność. Wciąż żył, wciąż mieszkał we mnie. Ukryty przed zagrożeniami: bezpieczny.

Nie byłem zupełnie sam. Vivian się myliła.

Spotkałem się z Sadassą w gaju pomarańczowym w Placentii. Szliśmy razem, trzymając się za ręce i rozmawiając ściszymi głosami. Może nagrywali to, co mówiliśmy, może nie. Tak czy owak musieliśmy porozmawiać. Musiałem ją na bieżąco informować.

Najpierw jednak chciałem ją o coś zapytać.

- Satelita zestrzelony - powiedziałem po drodze - ale od czasu do czasu wciąż coś widzę, nałożone i w kolorze, jakby satelita dalej do mnie transmitował. - Wszystko, co mi do tej pory pokazywano, było dla mnie zrozumiałe, w każdym razie po wystarczającej analizie, tego natomiast nie potrafiłem zgłębić. - To się wiąże z...

Urwałem. To się wiąże z Pinkym, chciałem powiedzieć.

Obecnie ukazywały mi się drzwi, o proporcjach, które Grecy nazywali złotym prostokątem, uważanym przez nich za doskonałą formę geometryczną. Bardzo często widywałem te drzwi, oznaczone literami greckiego alfabetu, rzutowane na zbliżone do nich kształtem struktury naturalne: stojak pod słownik, bazaltowy blok, sekretarzyk. Pewnego razu, ku mojemu osłupieniu, zobaczyłem Pinky'ego, który napierał na drzwi od drugiej strony, żeby wejść do naszego świata, lecz był inny niż przedtem: znacznie większy, groźniejszy, niby tygrys, a przede wszystkim tryskający życiem i zdrowiem.

Zrelacjonowałem Sadassie, że widziałem zarys drzwi, a ona słuchała uważnie, kiwając głową. Na koniec powiedziałem jej, co mignęło mi za drzwiami: statyczny krajobraz nocny, spokojne czarne morze, niebo, wybrzeże wyspy oraz, ku mojemu zaskoczeniu, nieruchoma postać nagiej kobiety, która stała na piasku blisko wody. Rozpoznałem tę kobietę: była to Afrodyta. Widziałem zdjęcia jej greckich i rzymskich posągów. Proporcje, piękno i zmysłowość nie pozwalały się pomylić.

- To, co widzisz - odparła rzeczowo Sadassa - jest ostatnim, gasnącym obrazem miłości, oddalającym się od ciebie po zniknięciu satelity. Czymś w rodzaju powidoku.

- Mój zmarły kot tam jest.

- To drugi brzeg. Drugi kraj, od którego jesteśmy teraz odcięci. Będziesz go widział jeszcze przez kilka dni, a potem zniknie i na tym koniec: już nic nigdy nie zobaczysz. - Prychnęła gorzkim śmiechem. - To tak jak po wyłączeniu telewizora. Obraz blaknie, zanim całkowicie zgaśnie.

- To bardzo piękne. Idealna równowaga. - Przypomniałem sobie wtedy wcześniejsze grafiki abstrakcyjne, aktywność fosfeniczną, która zapoczątkowała proces przejmowania mojego umysłu przez wyższego rzędu umysł satelity. - Nie mogę opędzić się od myśli, że musi istnieć jakaś droga na tamtą stronę.

- Jest droga.

- Jaka? - spytałem, a potem przypomniałem sobie o Pinkym. - A, rozumiem, o co ci chodzi.

- Afrodyta była boginią płodności, nie tylko miłości - powiedziała Sadassa. - Ja też je widzę, Nicholasie. Ja też widzę drzwi, przez które nie możemy przejść. Widzę statyczny krajobraz, do którego nie możemy dotrzeć. Tam znajduje się źródło życia. Niegdyś krążyło po naszym niebie. Jest to pozostałość przesłania, jakie złożył w nas satelita, zanim został zniszczony, jego pożegnanie z nami wszystkimi. Abyśmy pamiętali, abyśmy je zachowali w sobie. Pożegnanie i obietnica.

- Nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego.

Nagle Sadassa zmieniła temat:

- Co zrobisz w sprawie Vivian Kaplan? To jest problem, którym musimy się teraz zająć.

- Damy im taśmę bez materiału podprogowego. To ich na jakiś czas zadowoli. Potem zaczniemy tłoczyć płyty. Każę wytłoczyć kilka płyt z oryginału bez materiału podprogowego i przekażę im jeden egzemplarz. Resztę cenzuralnych egzemplarzy będę trzymał w biurze, więc jeśli się włamią i je ukradną, uzyskają potwierdzenie, że dałem im to samo, co publikujemy. Wreszcie skoczmy na głęboką wodę i zaczniemy wysyłkę płyt z materiałem podprogowym. Wtedy usiądziemy wygodnie i zaczekamy na przyście policji. Będą jeździli od stacji do stacji i od sklepu fonograficznego do sklepu fonograficznego, konfiskując płyty, ale może trochę ich się uratuje i zostaną puszczone, zanim to się stanie. I oczywiście nas aresztują, nas i nasze rodziny, a potem zlikwidują. To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

- Tak - powiedziała Sadassa.

- Niepokoi mnie jednak, że już jesteśmy w pułapce. Oni wiedzą, co robimy. Wiedzą o płycie. A w każdym razie wiedzą, że powstaje płyta, w związku z którą planujemy jakąś akcję polityczną. Chcą, żeby płyta została nagrana. Chcą, żeby została wyprodukowana, aby ją przesłuchać i ustalić jej treść. Robimy to, czego od nas oczekują. No, może nie. Może nie są pewni - domyślają się i spekulują, grają na wycucie. Policja jest taka zakłamana. Może nie było żadnego inżyniera dźwięku, który dał im cynk przez telefon. Może nie nagrali naszej rozmowy w La Paz Bar. Może wiedzą tylko, że *Let's Play!* to nasz najbardziej obiecujący najnowszy album, że zainwestowaliśmy w niego dużo czasu i wysiłku, więc z natury podejrzliwa mentalność policyjna każe im obrać brutalną drogę, zażądać taśmy, zażądać egzemplarza przed dystrybucją, zamiast kontrolować sprawę normalnymi metodami.

- Sądzę, że kłamią. Błefują. Na pewno jest to prawdopodobna hipoteza. Powinniśmy kontynuować.

- Jeśli się teraz zatrzymamy, to nas nie zabiją.

- Kontynuujmy.

- Wiedząc, że nie mamy szans ucieczki?

W milczeniu skinęła głową.

- Myślę o Johnnym - powiedziałem. - Valis kazał mi go namaścić i w ogóle... a nawet nadać mu tajemne imię. Podejrzewam, że to imię zginie razem z nim, i to niedługo.

- Jeśli Valis kazał ci to zrobić, to twój syn przeżyje.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Być może Valisa nie ma z nami w tej chwili, ale w każdym z nas...

- Wiem. Poczulem kiedyś, jak się we mnie poruszył. Nowe życie w moim wnętrzu. Ponowne narodziny... Narodziny zesłane z góry.

- To jest wieczne. Czego więcej moglibyśmy sobie życzyć? Jesteśmy z tym stopieni. Jeśli twoje lub moje ciało ulegnie zniszczeniu, węgielek ucieknie do atmosfery i nasza własna iskierka uleci razem z nim. Tam się w końcu zbierzemy, jako jedna istota, zawsze razem. Aż do powrotu Valisa. Wszyscy: ty, ja, cała reszta. Ilukolwiek by nas było.

- Okej. To brzmi zachęcająco.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - powiedziała Sadassa. - Ze wszystkiego, co pokazał ci satelita, co było... Nie wiem, jak to ująć.

- Ostateczną wizją rzeczywistości?

- Tak. Najdogłębszą. Wnikającą najdalej. Bo kiedy tobą zawładnie, mówi ci tak wiele na temat wszechświata.

- Przez jakiś czas postrzegałem wszechświat jako żywą istotę.

- Tak.

Skinęła refleksyjnie głową.

- A my byliśmy jej częścią. Bardzo dziwne przeżycie, trudno je wyrazić. Jak ul pszczeli, miliony pszczoł komunikujących się ze sobą na ogromne odległości za pomocą kolorowych światła. Desenie światła, przesyłane tam i z powrotem, a my głęboko wewnątrz tego wszystkiego. Nieustanne sygnały i odpowiedzi od... no, od pszczoł czy co to było. Może to były gwiazdy albo układy gwiazdne organizmów obdarzonych świadomością. W każdym razie to sygnalizowanie trwało cały czas, desenie cały czas się zmieniały i słyszałem buczenie albo coś podobnego do dźwięku dzwonu, emitowane przez wszystkie pszczoły unisono.

- Wszechświat jest wielkim zbiorowym umysłem. Ja też to widziałam. Przedstawiono nam ostateczną wizję rzeczywistości, abyśmy wiedzieli, jak ona naprawdę wygląda w porównaniu z tym, jaka się tylko wydaje.

- I we wszystkich pszczołach, kiedy przesyłają sobie nawzajem sygnały na duże odległości, zachodzi proces myślowy. A zatem całościowy organizm myśli w ten sposób. Co pozwala mu koordynować i synchronizować wszystkie elementy, również na wielkie odległości, celem ich zaprzęgnięcia do wspólnego dzieła.

- Wszechświat jest żywy - powiedziała Sadassa.

- Tak, jest żywy.

- Pszczoły zostały mi opisane jako stacje nadawczo-odbiorcze w sieci. Każda się rozświetlała, kiedy transmitowała. Sądzę, że kolory odpowiadały ustalonym z góry częstotliwościom widma światłnego. Ogromny wszechświat stacji nadawczo-odbiorczych, ale, Nicholasie, czasami wiele z nich, za każdym razem innych, nie świeciło się. Były przejściowo nieczynne. Ale dalej obserwowałam rozświetlone stacje, które odbierały transmisje z tak wielkich odległości... Takie odległości liczy się chyba w parsekach.

- To było piękne. Mieniający się deseń światła utworzony przez czynne stacje.

- Ale w ten układ wkradło się coś, co zgasiło niektóre stacje. Zlikwidowało je, tak że już nigdy się nie zaświeciły. I zajęło ich miejsce, jakby zostały przykryte płótnem.

- Ale w ich miejsce powstały inne stacje. Tam, gdzie trudno się było tego spodziewać.

- Ta planeta nie odbiera ani nie nadaje - powiedziała po chwili Sadassa. - Nie licząc garstki z nas, kilku tysięcy spośród trzech miliardów, kierowanej przez satelitę. A teraz już nie ma kto nami kierować, więc zgasnęliśmy.

- Aż do przybycia satelity zastępczego.

- Czy widzieliśmy rodzaj mózgu?

- Mnie to bardziej przypominało małą gaj z wszędzie powciskanymi kolorowymi guzikami. Jej analogia była dla mnie za ciężka: wszechświat jako gigantyczny mózg, myślący.

- Pokazano nam wspaniałą rzecz - ciągnęła Sadassa. - Zobaczyć świat z tego uprzywilejowanego punktu widzenia, tego najwyższego punktu widzenia. Powinniśmy to sobie cenić. Nawet jeśli wszystkie stacje tego lokalnego regionu czy sektora zostaną przesłonięte i przestaną świecić, powinniśmy zapamiętać ten widok. Satelita zapewnił nam ostateczny wgląd w naturę rzeczy. Synapsy w żywym mózgu. I nazwa, którą nadajemy jego funkcjonowaniu, jego świadomości siebie i jego licznych części... - Uśmiechnęła się do mnie. - To dlatego zobaczyłeś postać Afrodyty. Właśnie to utrzymuje tryliony stacji w harmonii.

- Tak, to było zharmonizowane mimo tak wielkich odległości. Bez użycia przymusu, na podstawie powszechnej zgody. A koordynację wszystkich stacji nadawczo-odbiorczych nazywamy Valisem: Rozległym Aktywnym Żywym Inteligentnym Systemem. Nasz przyjaciel, który nie może umrzeć, który przebywa po tej stronie grobu i po drugiej. Jego miłość, pomyślałem, jest potężniejsza od imperiów. I niewyczerpana.

Sadassa chrząknęła.

- Kiedy spodziewasz się mieć taśmę?

- Pod koniec miesiąca.

- A oryginał?

- Najpierw taśma matka, potem oryginał. To nie potrwa długo, jak już będziemy mieli taśmę.

Ja w tym już nie biorę udziału. Moja rola się skończy, kiedy taśma będzie przygotowana i zatwierdzona.

- Bądź gotów na to, że w każdej chwili mogą się zjawić i skonfiskować którąś z matryc - powiedziała ponuro Sadassa. - W samym środku produkcji.

- Przygotujemy trochę matryc bez materiału podprogowego, może skonfiskują akurat jedną z tych. Może szczęście będzie po naszej stronie.

- Wszystko będzie zależało od tego, którą matrycę skonfiskują, z materiałem podprogowym czy bez.

Miała rację. A na to nie mieliśmy wpływu. Oni zresztą też.

- A tak przy okazji - powiedziała Sadassa - chcę, żebyś mi życzył powodzenia. W ostatni dzień miesiąca mam umówioną wizytę u lekarza. Żeby sprawdzić, czy dalej jestem w remisji.

- Życzę ci tyle powodzenia, ile go jest na świecie.

- Dziękuję. Jestem dosyć zaniepokojona. Dalej tracę na wadze. Jakoś nie mam apetytu. Spadłam do czterdziestu sześciu kilo. A teraz, kiedy satelita już nie istnieje...

Uśmiechnęła się do mnie smutno.

Objąłem ją ramieniem, przytuliłem. Była lekka i krucha jak ptaszek. Pocałowałem ją, po raz pierwszy. Zareagowała na to stłumionym śmiechem, dobywającym się głęboko z gardła, prawie parsknięciem, i przycisnęła się do mnie.

- Aresztują twojego przyjaciela Phila - powiedziała Sadassa. - Tego, który pisze science fiction.

- Wiem.

- Czy gra jest warta świeczki? Zniszczyć jego karierę razem z twoją?

Jak również, pomyślałem, jego życie...

Część trzecia

Phil

Razem z moim, pomyślałem. Nicholas i ja razem będziemy wachać kwiatki od spodu, jeśli nie zrezygnuje ze swego projektu. Niezbyt przyjemna perspektywa.

- Myślisz, że warto? - spytałem go. - Zniszczyć siebie, rodzinę i przyjaciół?

- To musi być zrobione.

- Dlaczego? - Byłem w trakcie pisania powieści, najlepszej z dotychczasowych. - Nicholasie, co jest w tekstach, które dajecie na płytę?

Siedzieliśmy razem na trybunach stadionu w Anaheim i oglądaliśmy mecz Angels. Właśnie rzucał Nolan Ryan. To był świetny mecz. Drużyna z Pittsburgha speprzyła dużo piłek. Mój ostatni mecz baseballowy, pomyślałem z goryczą, pociągając z butelki łyk piwa Falstaff.

- Informacje, które w końcu doprowadzą do utraty władzy przez Fremonta - odparł Nicholas.

- Żadne informacje nie potrafią tego dokonać. - Nie miałem zbytnej wiary w słowo pisane bądź mówione; nie byłem do tego stopnia naiwny. - A poza tym policja nigdy wam nie pozwoli wydać tej płyty. Przypuszczalnie o wszystkim wiedzą.

- Najprawdopodobniej. Ale musimy spróbować. Być może wie tylko ta jedna panówka, ta fanatyczka Vivian Kaplan. Być może podjęła ten trop z własnej inicjatywy, dla jakichś swoich prywatnych celów. Być może jej podejrzenia nie mieszczą się w obszarze zainteresowania policji.

- Wszystkie podejrzenia mieszczą się w obszarze zainteresowania policji.

- Nasz dostojny prezydent był uśpionym Partii Komunistycznej.

- Potrafisz to udowodnić czy też jest to zwykle pomówienie?

- Zamieszczamy na płycie nazwiska, daty, miejsca i Bóg wie co jeszcze. Wystarczy, żeby...

- Ale nie potrafisz tego udowodnić. Nie masz żadnych dokumentów.

- Znamy szczegóły. A w każdym razie zna je osoba, która ze mną współpracuje. Znajdą się na płycie, w formie podprogowej.

- I zalejecie tym Amerykę.

- Zgadza się.

- I pewnego ranka wszyscy się zbudzą, śpiewając „Fremont jest czerwony, Fremont jest czerwony, lepszy martwy Fremont niż czerwony” i tak dalej. Będą chóralnie śpiewali materiał podprogowy.

Nicholas skinął głową.

- Śpiew z miliona gardzieli - wyzłośliwiałem się dalej. - Z pięćdziesięciu milionów. Dwustu milionów. „Lepszy martwy niż czerwony, lepszy...”

- To nie jest żart - przerwał mi Nicholas ostro.

- Nie, to nie jest żart. W grę wchodzi nasze życie. Nasze kariery i nasze życie. Rząd sfałszuje

dokumenty obalające twoją tezę, jeśli w ogóle zwróci uwagę na to oszczerstwo.

- To nie jest oszczerstwo. Fremont został przeszkolony jako agent Moskwy. To było potajemne przejęcie władzy przez Sowietów, bezkrwawe i nie zauważone. Mamy fakty.

- Jeju - powiedziałem, gdy zaczął do mnie docierać sens słów Nicholasa. - Nic dziwnego, że w Związku Radzieckim nie słyhać żadnej krytyki pod jego adresem.

- Uważają, że jest świetny.

- W takim razie zrób to.

Nicholas łypnął na mnie.

- Zgadzasz się? Dlatego musiałem z tobą o tym porozmawiać. Kazała mi.

- Powiedziałeś Rachel?

- Jeszcze nie, ale powiem.

- Johnny będzie miał innych rodziców. - I ktoś inny będzie musiał napisać wielką amerykańską powieść fantastycznonaukową, pomyślałem. - Zrób to i zrób to dobrze. Wytłocz milion tego cholerstwa. Dwa miliony. Wyślij egzemplarz do każdej stacji radiowej w Ameryce. Wyślij do Kanady, Europy i Ameryki Południowej. Sprzedawaj po osiemdziesiąt pięć centów. Rozdawaj w supermarketach. Załóż wysyłkowy klub fonograficzny i oferuj ją za darmo w promocji. Roznoś od drzwi do drzwi. Masz moje błogosławieństwo. Wprowadzę ten materiał do mojej nowej powieści, jeśli chcesz.

- Nie, tego nie chcemy.

- Valis kazał ci to zrobić? On tobą kieruje?

- Valisa już nie ma. Trafiła w niego głowica jądrowa. Trafiła w jego głos.

- Wiem. Brakuje ci go?

- Bardziej niż potrafię wyrazić. Już nigdy nie usłyszę operatora sieci ani jego samego, do końca życia nie usłyszę żadnego z nich.

- Poczciwy stary Moyashka - zażartowałem.

- To musi być wspaniałe: jesteś najwybitniejszym astrofizykiem w kraju i zestrzeliwujesz sobie z nieba różne obiekty. Obiekty, których znaczenia nie pojmujesz. Pod pretekstem komunikowania się z nimi.

- Ale i tak masz informacje na temat Fremonta.

- Tak, mamy informacje na temat Fremonta.

- Należysz teraz do Aramcheku.

Zgadłem, do czego odnosi się to jego „my”, do jakiej organizacji.

Nicholas skinął głową.

- To zaszczyt cię znać - powiedziałem.

- Dziękuję - odparł Nicholas, po czym dodał: - Vivian złożyła mi wizytę.

- Vivian? - zdziwiłem się, a potem sobie przypomniałem. - W jakiej sprawie?

- W sprawie płyty, którą wydajemy.

- Czyli wiedzą. Już wiedzą.

- Dostarczę jej niekompletne nagranie, bez treści podprogowych. Zobaczymy, czy to ich zaspokoi na wystarczająco długi czas, żebyśmy zdołali wydać to, o co chodzi.

- Przyjdą i zabiorą matryce.

- Niektóre będą cenzuralne.

- Wezmą wszystkie.

- Liczymy na to, że zabiorą właściwą.

- Nie macie szans.

- Może nie.

Nicholas nie dyskutował ze mną.

- Atak Don Kichota na reżim - podsumowałem. - Nic więcej. Ale zróbcie to. Co za różnica? I tak nas wszystkich dopadną. A kto wie, może jakiś panowiec posłucha i przebudzi się do rzeczywistości. Na jakiś czas. Z tymi sprawami nigdy nie wiadomo... Czasami jakaś idea chwytą i nikt nie wie dlaczego. Zresztą i tak posunęliście się za daleko, żeby się teraz wycofać, prawda? Więc zróbcie to, i zróbcie to dobrze. Kiedy w PAN-ie będą słuchali płyty, może materiał podprogowy zapisze im się w podświadomości i to już wystarczy. Muszą przesłuchać płytę, żeby wiedzieć, co zrobiliście. Nawet jeżeli na tym się to skończy...

- Cieszę się, że nie masz mi za złe, że ciągnę cię za sobą na dno - powiedział Nicholas.

Podał mi rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Po wygranym przez Angels meczu Nicholas i ja opuściliśmy razem stadion. Wsiedliśmy do jego zielonego mavericka i dołączyliśmy do mnogości samochodów, które manewrowały, żeby wyjechać na State College. Po chwili jechaliśmy do Placentii.

Wyprzedził nas duży, niebieski samochód, a jednocześnie wóz policyjny błysnął za nami kogutem.

- Każą nam się zatrzymać - powiedział Nicholas. - Co robimy?

Kiedy stanęliśmy przy krawężniku, drzwi niebieskiego samochodu się otworzyły i wyskoczyli z niego umundurowani funkcjonariusze specjalnej jednostki śledczej PAN-u. Po chwili jeden z nich stał z nami przed maverickiem i przystawiał Nicholasowi pistolet do głowy.

- Nie ruszać się! - polecił gliniarz.

- Nie ruszam się - odparł Nicholas.

- O co tu... - zacząłem, ale umilkłem, kiedy poczułem na żebrach lufę służbowego pistoletu.

Kilka sekund później Nicholasa i mnie wsadzono do nie oznaczonego niebieskiego forda. Drzwi zatrzasnęły się i zablokowały elektronicznie. Samochód włączył się do ruchu i wykonał półkole. Zmierzaliśmy do głównej kwatery PAN-u na Orange County - obaj o tym wiedzieliśmy.

Gliniarze nie musieli nam tego mówić.

- Co zrobiliśmy? - spytałem, kiedy wjeżdżaliśmy do podziemnego garażu.

- Dowiedcie się - odparł gliniarz, pokazując, żebyśmy wysiedli.

Dalej mieli wyciągnięte spluwy i wyglądali na wrednych, pełnych nienawiści pomyleńców.

W życiu nie widziałem twarzy tak powykrzywianych nienawiścią.

Kiedy wysiedliśmy, Nicholas powiedział do mnie:

- Myślę, że nas śledzili na stadion.

Na stadion, pomyślałem ze strachem. Chcesz powiedzieć, że potrafia nagrywać rozmowy na stadionie, podczas meczu bejsbolowego? W tym tłumie?

Zaczęli nas prowadzić zawilglonym, mrocznym betonowym tunelem, pod biura na parterze. Po rampie doszliśmy do windy, postaliśmy tam chwilę, po czym wsiedliśmy do niej. Któryś z gliniarzy nacisnął guzik i chwilę później znaleźliśmy się w jasno oświetlonym holu z nawoskowanymi parkietami, z którego zabrano nas do dużego biura.

W środku, z ponurymi minami, siedzieli lub stali Vivian Kaplan i kilkoro innych panowców, w tym wysokiej rangi oficer policji z galonami i złotym łańcuchem.

- Będę z wami szczerą - powiedziała Vivian Kaplan, blada na twarzy. - Założyliśmy panu urządzenie rejestrujące dźwięk, Nicholasie, kiedy staliście obaj w kolejce do kasy. Nagraliśmy całą waszą rozmowę podczas meczu.

Wysoki funkcjonariusz policji stwierdził chrapliwym głosem:

- Wydałem już rozkaz, aby Progressive Records zostało zlikwidowane, a majątek skonfiskowany. Żadna płyta nie zostanie wyprodukowana ani wydana. Koniec, panie Brady. I właśnie trwa akcja zwinięcia tej całej Aramchek.

Nicholas i ja milczeliśmy.

- Zamierzał pan umieścić na płycie materiał podprogowy, stwierdzający, że prezydent Fremont jest agentem amerykańskiej Partii Komunistycznej? - spytała Vivian niedowierzającym tonem.

Nicholas milczał.

- Łe - powiedziała z drzeniem. - Co za obłąd! Co za perwersja! Ten wasz nędzny satelita... Teraz już go nie ma, na zawsze zniknął. Przyłapaliśmy go na przemycaniu treści podprogowych do programów telewizyjnych w porze najwyższej oglądalności, ale miał za małą moc, żeby objąć naraz większe obszary. Nigdy czegoś takiego nie powiedział. To on wam nagadał tych bzdur? On wam kazał to zamieścić?

- Nie mam nic do zeznania - odparł Nicholas.

- Wyprowadźcie go na zewnątrz i rozstrzelajcie - poleciła Vivian Kaplan.

Wpatrywałem się w nią ze zgrozą.

Wysoki funkcjonariusz policji próbował ją mitygować:

- Mógłby nam powiedzieć...
- Nie ma nic, czego byśmy nie wiedzieli.
- Dobrze.

Oficer policji dał znak. Dwaj panowcy wzięli Nicholasa pod pachy i wyprowadzili z pokoju. Nie odezwał się ani nie obejrzał za siebie. Patrzyłem, jak wychodzą, bezsilny i sparaliżowany.

- Niech go pani sprowadzi z powrotem - błagałem Vivian, z którą przeszliśmy wprowadzić na ty, ale nie chciałem jej kompromitować przy innych, żeby jej nie rozsierdzać - to powiem pani wszystko, czego się od niego dowiedziałem.

- On już nie jest człowiekiem - odparła Vivian. - Satelita nim steruje.
- Satelity już nie ma!

- W jego głowie zostało złożone jajko - stwierdziła Vivian. - Pozaziemskie jajko. On służy za gniazdo. Zawsze ich zabijamy, kiedy ich złapiemy, zanim z jajka coś się wylęgnie.

- Tego też? - spytał jeden z panowców, pokazując na mnie pistoletem.

- On nie należy do Aramcheku - orzekła Vivian. A do mnie: - Darujemy panu życie, Phil. Opublikujemy pod pańskim nazwiskiem książki, które sami napiszemy. Przygotowywaliśmy je od kilku lat, już istnieją. Pana styl jest łatwy do naśladowania. Pozwolimy panu występować publicznie, aby mógł pan potwierdzić, że to pana książki. Chyba że woli pan zostać zastrzelony?

- Zastrzelcie mnie. Banda sukinsynów.

- Książki zostaną opublikowane - ciągnęła Vivian. - Stopniowo będzie się pan w nich zbliżał do punktu widzenia establishmentu, z książki na książkę, aż w końcu dojdzie pan do przekonań, które będziemy mogli zaakceptować. Pierwsze powieści wciąż będą zawierały niektóre z pana wywrotowych poglądów, ale ponieważ zaczyna się pan starzeć, ludzi nie zdziwi, że nie jest pan już taki radykalny.

Wytrzeszczyłem na nią oczy.

- Czyli cały czas planowaliście mnie zwinąć.

- Tak.

- I zabić Nicholasa.

- Tego nie planowaliśmy. Nie wiedzieliśmy, że jest sterowany przez satelitę. Nie ma wyboru, Phil. Pana przyjaciel nie jest już...

- Vivian, niech mi pani pozwoli porozmawiać z Nicholasem, zanim go zabijecie. Ostatni raz.

- Będzie pan potem z nami współpracował? Jeśli chodzi o pana książki?

- Tak - odparłem, chociaż nie miałem takiego zamiaru. Próbowałem odroczyć egzekucję Nicholasa.

Vivian podniosła ze stołu walkie-talkie i powiedziała do mikrofonu:

- Wstrzymać egzekucję Nicholasa Brady'ego. Na razie zabrać go do celi.

Walkie-talkie zatrzeszczał w odpowiedzi:

- Przykro mi, pani Kaplan, ale już nie żyje. Chwileczkę, jeszcze sprawdzę... Tak, nie żyje.

- Dobra, dziękuję. - Do mnie powiedziała spokojnym tonem: - Za późno, Phil. Policja ma zasadę nie zwlekać...

Rzuciłem się na nią, próbując uderzyć ją w twarz. W moim umyśle fantazja wyparła rzeczywistość. Wyobraziłem sobie, że uderzyłem ją w twarz, prosto w usta, poczułem, jak zęby pękają i rozsypują się na kawałki, poczułem, jak jej nos i kości policzkowe ulegają zmiżdżeniu. Ale to było marzenie, pragnienie, nic więcej. Panowcy natychmiast obkoczyli mnie ze wszystkich stron, oddzielili od niej, zaczęli bić. Kolba pistoletu huknęła mnie w głowę i pokój wokół mnie - razem z marzeniem - rozwiął się.

Odzyskałem przytomność nie w łóżku szpitalnym, lecz w celi więziennej.

Usiadłem, od stóp do głów przeszyty bólem. Włosy miałem zlepione krwią. Nie udzielili mi żadnej pomocy lekarskiej, ale było mi wszystko jedno. Nicholas nie żył, a Rachel i Johnny, którzy nie byli niczemu winni, na pewno zostali już zgarnięci. Progressive Records nie istniało. Wytwórnię wdeptano w ziemię, zlikwidowano, zanim płyta zdążyła ujrzeć światło dzienne. Koniec z wielkim przedsięwzięciem, pomyślałem. Koniec z pomysłem obalenia policyjnej tyranii przez garstkę ludzi.

Nawet, pomyślałem, z pomocą Valisa.

Mój przyjaciel nie żyje. Przyjaciel, którego miałem prawie przez całe życie. Nie ma już Nicholasa Brady'ego, który wierzyłby w wariactwa, nie ma już Nicholasa Brady'ego, którego można by słuchać, z którym można by spędzać przyjemnie czas.

I nie można tego naprawić. Żadna siła, żaden wyższy byt nie przybędzie, aby przywrócić porządek. Tyrania będzie trwała dalej. Ferris Fremont pozostanie u władzy. Nie osiągnięto niczego oprócz śmierci niewinnych ludzi.

A ja już nigdy nie napiszę książki, uzmysłowiłem sobie. Wszystkie zostaną za mnie napisane przez władze - *de facto* już zostały napisane. Ci, którzy śledzą moją twórczość i wierzą w to, co mam do powiedzenia, będą słuchali głosu anonimowych sługusów z waszyngtońskich biur, ludzi w modnych krawatach i drogich nowoczesnych garniturach. Ludzi podszywających się pode mnie. Stworzeń, które będą skutecznie naśladowały mój styl, sycząc jak węże.

I nie ma dla mnie ratunku, pomyślałem. Żadnego.

Do celi więziennej weszło dwóch policjantów. Obserwowali mnie na ekranach wewnętrznej sieci telewizyjnej. Zobaczyłem zamontowaną na suficie kamerę i zdałem sobie sprawę, że czekali, aż odzyskam przytomność.

- Proszę z nami.

Ruszyłem z nimi korytarzem, powoli, z trudem przewyciężając ból. Prowadzili mnie kolejnymi korytarzami, aż ujrzałem z przodu podwójne drzwi z napisem KOSTNICA.

- Żeby pan mógł zobaczyć na własne oczy - powiedział jeden z policjantów, naciskając dzwonek.

Chwilę później stałem i patrzyłem na zwłoki Nicholasa Brady'ego. Nie było wątpliwości, że nie żyje. Strzelili mu w serce, dzięki czemu nie było problemów z rozpoznaniem rysów twarzy.

- Dobra, z powrotem do celi - rzucił jeden z gliniarzy.

- Po co mi go pokazaliście? - spytałem w drodze powrotnej.

Żaden z gliniarzy nie odpowiedział.

Siedząc w celi, zdałem sobie sprawę, że wiem, po co mi pokazali zwłoki Nicholasa. Chcieli

mi udowodnić, że to jest wszystko realne - co zrobili z nim, co zrobią ze mną, co przypuszczalnie robili z innymi. To nie był „fotomontaż”, który miał mnie wystraszyć, lecz okrutna rzeczywistość. Tym razem policja nie kłamała.

Jednak, pomyślałem, może część organizacji Aramchek przetrwała. To, że dopadli Nicholasa, nie oznacza, że dopadli wszystkich.

Śmierć ludzi to straszna rzecz, pomyślałem. Śmierć dobrych ludzi jest jeszcze gorsza. Tragedia dla świata. Zwłaszcza niepotrzebna śmierć.

Na jakiś czas zapadłem w półsen, obolały i zrozpaczony, wciąż w szoku po utracie przyjaciela. Z transu wyrwało mnie wejście do celi Vivian Kaplan. Miała w ręce szklanę, którą mi podała.

- Bourbon - powiedziała. - Jim Beam. Bez sody.

Wypiłem. Co mi szkodzi? To był prawdziwy bourbon - pachniał i smakował jak trzeba. Od razu lepiej się poczułem.

Vivian usiadła na pryczy naprzeciwko mnie. Trzymała w ręku plik papierów i wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Macie wszystkich - odezwałem się.

- Zamknęliśmy wytwórnę fonograficzną, zanim zdążyli nagrać taśmę. Położyliśmy łapę na materiale, który zamierzali wgrać. - Odczytała z zapisanej na maszynie strony - „Impreza to party”. I jeszcze jeden: „Adam czeka na Ewę, żeby zbawić świat”. Jakiś surrealizm. A potem chórek śpiewa „Aramchek zbawi świat”. Nie uważa pan, że to trochę prostackie? Bez przesady!

- Zadziałałoby.

- „Gdy podczas imprezy dęta gra orkiestra” - zacytowała szyderczym tonem. - Ciekawe, które z nich to wymyśliło. I oni zamierzali zalać rynek tymi bzdurami. Może wpłynęłoby na podświadomość ludzi. My też posługujemy się tą techniką, ale nie tak na chama.

- I do innych celów.

- Chce pan zobaczyć maszynopis swojej następnej książki?

- Nie.

- Każę ją panu przynieść. Dotyczy inwazji istot z kosmosu, które gwałcą umysły Ziemi. Nazywa się *Gwałciciele umysłów*.

- Chryste.

- Podoba się panu tytuł? Jak to się mówi, jeśli spodoba się panu tytuł, to będzie pan zachwycony książką. Te ohydne stworzenia przybywają z przestrzeni międzygwiazdnej i wpełzają ludziom do głów jak robaki. Są naprawdę okropne. Przylatują z planety, na której cały czas panuje noc, ale ponieważ nie mają oczu, myślą, że cały czas jest dzień. Jedzą ziemię. Naprawdę są robakami.

- Jaki jest morał tej książki?

- To powieść czysto rozrywkowa, bez morału. To znaczy, ona... Zresztą nieważne.

Domyśliłem się, jaki jest morał. Ludzie nie powinni ufać stworzeniom różnym od nich samych: wszystko, co obce, z innej planety, jest nikczemne i odrażające. Człowiek to jedyny nie skażony gatunek. Musi samotnie stawić czoło wrogiemu wszechświatowi... przypuszczalnie pod wodzą swego wspaniałego Führera.

- Czy ludzkość zostaje ocalona przed tymi ślepyimi robakami? - spytałem.

- Tak. Przez Radę Najwyższą, która składa się z genetycznie ulepszonych ludzi, sklonowanych z pewnego arystokra...

- Przykro mi, że muszę to pani powiedzieć, ale już to wcześniej wymyślono. W latach trzydziestych i czterdziestych.

- Książka podkreśla zalety rodzaju ludzkiego. Mimo swego jawnie sensacyjnego charakteru, to dobra powieść. Zawiera cenne przesłanie.

- Zaufanie do przywództwa. Czy arystokrata, z którego sklonowana została Rada Najwyższa, nazywa się Ferris Fremont?

Vivian odparła po chwili wahania:

- Tak, pod pewnymi względami przypominają prezydenta Fremonta.

- To koszmar. - Zakręciło mi się w głowie. - Przyszła tu pani, żeby mi o tym powiedzieć?

- Przyszłam, żeby panu powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że Nicholas umarł, zanim zdążył pan z nim porozmawiać. Może pan za to porozmawiać z kobietą, z którą konspirował, Sadassą Aramchek. Zna ją pan?

- Nie, nie znam.

- Chce pan z nią pomówić?

- Nie.

Dlaczego miałbym chcieć z nią rozmawiać?

- Może pan jej powiedzieć, jak umarł Nicholas.

- Zastrzelicie ją?

Vivian skinęła głową.

- Porozmawiam z nią - oznajmiłem. Dawszy znak strażnikowi, Vivian stwierdziła:

- Dobrze. Będzie lepiej, jeśli to pan ją poinformuje, że Nicholas nie żyje. Jeszcze o tym nie wie. Może pan jej również powiedzieć...

- Powiem, co będę chciał.

- Może pan jej powiedzieć - ciągnęła Vivian nie zmieszana - że kiedy pan skończy z nią rozmawiać, ją też zastrzelimy.

Po upływie dziesięciu do piętnastu minut - nie miałem pewności, bo zabrali mi zegarek - drzwi celi otworzyły się i strażnicy wprowadzili drobną dziewczynę w okularach z grubymi

szkłami i z naturalną fryzurą afro. Miała poważną i nieszczęśliwą minę, kiedy drzwi się za nią zamknęły.

Wstałem chwiejnie na nogi.

- Pani Aramchek? - spytałem.

- Co z Nicholasem?

- Nicholas został zabity.

Położyłem dłonie na jej ramionach i poczułem, że się ślania. Nie zemdląła jednak ani nie krzyknęła. Skinęła tylko głową.

- Rozumiem - wykrztusiła słabym głosem.

- Niech pani usiądzie.

Pomogłem jej dojść do pryczy.

- Jest pan pewien, że to prawda?

- Przykro mi. Widziałem go. To prawda. Wie pani, kim jestem?

- Pan jest Phil, pisarz fantastycznonaukowy, wieloletni przyjaciel Nicholasasa. Mówił mi o panu. No cóż, pewnie ja jestem następna w kolejce. Do rozstrzelania. Zawsze rozstrzeliwują albo trują członków Aramcheku. Bez procesu, już nawet nie robią przesłuchania. Boją się nas, bo wiedzą, co mamy w środku. Po tym, co już przeszłam, nie czuję strachu. Nie sądzę, żeby pana zastrzelili, Phil. Chcą mieć pana żywego, żeby pan dla nich pisał gówniane powieści pełne prorządowej propagandy.

- Zgadza się.

- Zamierza pan z nimi współpracować?

- Nie pozwolą mi pisać gównianych książek. Już je za mnie napisali. Dadzą tylko moje nazwisko na okładkę.

- To dobrze - powiedziała Sadassa, kiwając głową. - To znaczy, że panu nie ufają. A to źle, kiedy ufają, źle dla pana, dla pańskiej duszy. Nie życzę panu, aby się pan kiedykolwiek znalazł po tamtej stronie. Jestem z pana dumna.

Uśmiechnęła się do mnie, jej oczy za okularami były pełne życia i ciepła. Poklepała mnie w dłoń. Uspokajająco. Wzięłem ją za rękę. Była taka mała, palce takie cienkie. Niewiarygodnie cienkie. I śliczne.

- *Gwałciciele umysłów* - powiedziałem. - Tak brzmi pierwszy tytuł.

Sadassa wytrzeszczyła na mnie oczy, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, parsknęła głośnym szczerym śmiechem.

- Naprawdę? No, jak widać, można zaufać komitetom. Sztuka w Ameryce. Tak jak sztuka w ZSRR. Świetna sprawa, naprawdę świetna sprawa. *Gwałciciele umysłów*. Genialne.

- Po tej nie ukaże się już wiele moich książek. Sądząc po opisie, który usłyszałem od Vivian Kaplan. Co za fabuła! Ślepy robak przywędrował z...

- Clark Ashton Smith - powiedziała natychmiast Sadassa.

- Oczywiście. Jego typ prozy. Połączony z poglądami politycznymi Heinleina.

Teraz już oboje się śmialiśmy.

- Połączenie Clarka Ashtona Smitha z Robertem Heinleinem! - Sadassa dusiła się ze śmiechu. - Bomba. Gwarantowany bestseller. A następna... Niech się zastanowię... Mam, Phil. Będzie się nazywała *Podziemne miasto gwałcicieli umysłów*, tylko tym razem będzie napisana w stylu...

- Cykl - przerwałem jej. - W pierwszym odcinku gwałciciele umysłów przybywają z przestrzeni kosmicznej. W drugim wygrzebują się spod powierzchni Ziemi. W trzecim...

- *Powrót do podziemnego miasta gwałcicieli umysłów.*

- Przenikają spomiędzy wymiarów, z innej epoki. W czwartym odcinku gwałciciele umysłów przybywają z równoległego wszechświata. I tak dalej.

- Mógłby być piąty, w którym archeolog znajduje starożytny grób, otwiera wielką trumnę i wypadają z niego wszyscy ci straszni gwałciciele umysłów i od razu lecą rznąć umysły wszystkich tubylców, a potem rozpełzają się i rzną wszystkie umysły w Kairze, a stamtąd rozprzestrzeniają się na cały świat.

Zdjęła okulary i wytarła sobie oczy.

- Dobrze się pani czuje?

- Nie. Boję się, bardzo się boję. Nie znoszę więzień. Przesiedziałam kiedyś dwa dni w więzieniu, bo nie zgłosiłam się, jak dostałam mandat za parkowanie. Rozesłali za mną list gończy. Miałam wtedy mononukleozę. Właśnie wyszłam ze szpitala. Tym razem właśnie zaczęła mi się remisja od chłoniaka. No, ale wygląda na to, że tym razem nie idę do ciupy.

- Przykro mi.

Nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć albo zrobić.

- Niech się pan nie przejmuj. Jesteśmy nieśmiertelni, wszyscy z nas. Valis przyznał nam nieśmiertelność, a któregoś dnia przyznają wszystkim. Na razie tylko my ją mamy... Pierwsze owoce, tak się to nazywa. Więc nie żałuję aż tak bardzo. Dzielnie walczyliśmy. Dobrze się spisaliśmy. Od początku byliśmy skazani na porażkę, Phil. Od początku byliśmy bez szans, ale to nie nasza wina. Mieliśmy tylko pewne informacje, które powinny były załatwić sprawę. Ale dopadli nas, zanim... wie pan. Zanim zaczęliśmy działać. A bez satelity. - Wzruszyła ramionami z nieszczęśliwą miną. - Znowu nie ma kto nas chronić.

- Nicholas powiedział... - zacząłem, ale ugryzłem się w język, bo oczywiście cela była na podsłuchu, a nie chciałem, żeby władze wiedziały, że w stronę Ziemi zmierza następny satelita, o czym poinformował mnie Nicholas. Ale potem przypomniałem sobie, że zdradził mi to na stadionie, więc i tak wiedzą. Ale może uszło to ich uwagi, pomyślałem, i nie odezwałem się.

Wszedł strażnik.

- Dobra, panno Aramchek. Pora już iść.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Niech im pan nie mówi, jakie chłamowate są ich książki. Niech sami się o tym przekonają na własnej skórze.

Pocałowałem ją w usta, a ona przycisnęła się do mnie na chwilę mocno i czule. Potem zniknęła. Drzwi celi zamknęły się ze zgrzytem i brzękiem.

Z późniejszych zdarzeń wielu nie pamiętam. Coś mi kołacze, że Vivian Kaplan zajrzała do mnie, żeby mnie poinformować o tym, że Sadassa Aramchek została rozstrzelana, podobnie jak wcześniej Nicholas, ale nie jestem tego pewien. Jeśli tak było, to wyparłem to ze świadomości, zapomniałem i nie wiedziałem, że to się stało. Ale później zdarzało mi się, że się budziłem w nocy i widziałem panowca, który mierzył z pistoletu do drobnej postaci i w tych chwilach jasności byłem pewien, że Sadassa nie żyje, że powiedziano mi o tym, tylko nie mogłem sobie tego przypomnieć.

Dlaczego miałbym chcieć to pamiętać? Dlaczego miałbym chcieć o tym wiedzieć? Co za dużo to niezdrowo, mawiam sobie czasami w formie krzyku rozpacz, dlatego że wkroczyłem w regiony przekraczające moją wytrzymałość - to był jeden z nich. Jakoś zniosłem śmierć mojego przyjaciela Nicholasa Brady'ego, którego znałem i kochałem przez większość życia, ale nie mogłem się pogodzić ze śmiercią dziewczyny, którą tylko raz widziałem na oczy.

Umysł to dziwne ustrojstwo, ale ma swoje racje. Umysł jednym spojrzeniem ogarnia nie przeżyte życie, nie spełnione nadzieje, pustkę i ciszę tam, gdzie powinien być zgiełk i miłość... Nicholas i ja żyliśmy długo i wiele dokonaliśmy, ale Sadassa Aramchek została złożona w ofierze, zanim uśmiechnęło się do niej szczęście, zanim zdążyła pożyć i stać się kimś. Nicholasowi i mnie zabrali część życia, ale jej ukradli całość. Moim obowiązkiem było teraz usunąć z pamięci fakt, że ją poznałem, przypomnieć sobie, że kiedy Vivian Kaplan spytała, czy chcę porozmawiać z Sadassą, powiedziałem nie zamiast tak. Mój umysł stał przed ciężkim zadaniem takiego zrewidowania przeszłości, abym mógł żyć dalej, lecz nie wywiązywał się z tego zbyt dobrze.

Jeszcze w tym samym miesiącu zabrano mnie z celi i postawiono przed obliczem sędziego, który spytał, czy przyznaję się do piętnastu zarzutów zdrady stanu. Miałem wyznaczonego przez sąd obrońcę, który doradził mi przyznanie się do winy.

- Nie przyznaję się - powiedziałem.

Proces trwał tylko dwa dni. Mieli wielkie pudła nagranych taśm, niektórych autentycznych, w większości sfabrykowanych. Siedziałem, nie protestując, myślałem o wiośnie i powolnym kwitnieniu drzew, jak to ujął Spinoza: najpiękniejsza rzecz na świecie. Proces zakończył się stwierdzeniem mojej winy i skazaniem mnie na pięćdziesiąt lat więzienia bez możliwości zwolnienia warunkowego. To by oznaczało, że wyjdę na wolność długo po śmierci.

Dano mi wybór pomiędzy osadzeniem w pojedynczej celi a czymś, co nazwali „terapią przez pracę”. Terapia przez pracę polegała na tym, że z ekipą innych więźniów politycznych wykonywało się roboty publiczne. Nasze konkretne zadanie polegało na wyburzaniu starych budynków w slumsach Los Angeles. Płacono nam za to trzy centy dziennie. Ale przynajmniej

widzieliśmy słońce. Wybrałem to rozwiązanie. To było lepsze niż gnieźdzenie się w celi jak zwierzę.

Wywożąc na taczkach potłuczony beton, myślałem sobie: Nicholas i Sadassa są martwi i nieśmiertelni, a ja nie jestem martwy i nie chcę być nieśmiertelny. Jestem inny niż oni. Nie ma we mnie nic wiecznego, co żyłoby dalej, kiedy umrę albo zostanę zabity. Nie udzielono mi przywileju słyszenia głosu operatora sieci, głosu, o którym Nicholas tak często mówił, który tak wiele dla niego znaczył.

- Phil - powiedział nagle jakiś głos, wybijając mnie z zamyślenia - przerwij robotę i chodź zjeść drugie śniadanie. Mamy pół godziny.

To był Leon, mój kumpel, który pracował ramie w ramie ze mną, były hydraulik aresztowany za rozprowadzanie jakichś odbitych na powielaczu ulotek, których był autorem - coś w rodzaju jednoosobowego buntu. Moim zdaniem był najodważniejszy z nas wszystkich, hydraulik pracujący w piwnicy na powielaczu, bez głosów z nieba, które udzielałyby mu instrukcji. Mógł się kierować tylko swoim sercem.

Usiedliśmy razem i podzieliliśmy się przydziałem kanapek. Smakowały niezgorzej.

- Byłeś kiedyś pisarzem - powiedział Leon z ustami pełnymi kiełbasy, chleba i musztardy.

- No.

- Należałeś do Aramcheku? - spytał, przysuwając się do mnie.

- Nie.

- Wiesz coś o nich?

- Dwoje moich przyjaciół należało.

- Nie żyją?

- Tak.

- Czego naucza Aramchek?

- Nie wiem, czy naucza. Trochę wiem, w co wierzy.

- Powiedz mi - poprosił Leon, wcinając kanapkę.

- Wierzą, że nie powinniśmy składać naszego życia u stóp ziemskich władców. Że jest najwyższy ojciec w niebie, za gwiazdami, który nas prowadzi. Jemu i tylko jemu jesteśmy winni naszą lojalność.

- To nie jest idea polityczna - stwierdził Leon z obrzydzeniem. - Myślałem, że Aramchek to jest organizacja polityczna, wywrotowa.

- Bo jest.

- Ale to nie jest idea polityczna, tylko religijna. Mówią o tym od pięciu tysięcy lat.

Musiałem przyznać mu rację.

- W każdym razie - powiedziałem - tym jest Aramchek: organizacją kierowaną przez najwyższego ojca niebieskiego.

- Myślisz, że to prawda? Wierzysz w to?

- Tak.

- Jakiego jesteś wyznania?

- Żadnego.

- Dziwny z ciebie facet. Czy ludzie z Aramcheku słyszą tego najwyższego ojca?

- Słyszeli. I kiedyś znowu usłyszą.

- A ty go słyszałeś?

- Nie. Żałuję tego.

- Mówi się, że to wywrotowcy. Próbują obalić Fremonta.

- To prawda.

Skinałem głowę.

- Życzę im powodzenia - powiedział Leon. - Może nawet byłbym gotowy rozprawiać dla nich ulotki z powielacza.

Chrapliwym, konspiracyjnym tonem wymruczał mi do ucha:

- Mam trochę ulotek zakopanych w ogrodzie za domem, w którym mieszkałem. Pod dużym rododendronem, w puszcze po kawie. Głosiłem sprawiedliwość, prawdę i wolność. - Łypnął na mnie. - Zainteresowany?

- Bardzo.

- Oczywiście najpierw musimy się stąd wydostać. To jest najtrudniejsza część. Ale pracuję nad tym. Wymyślę sposób. Myślisz, że Aramchek mnie weźmie?

- Tak. Myślę, że już cię wzięli.

- Bo sam daleko nie zajdę. Potrzebuję pomocy. Mówisz, że twoim zdaniem już mnie wzięli? Przecież ja nigdy nie słyszałem żadnego głosu.

- Twój własny głos jest tym głosem, który słyszeli od wieków. I na który czekają.

- Ale numer! - ucieszył się Leon. - Jeszcze nikt mi tak nie powiedział. Dziękuję ci.

Przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu.

- Czy wiara w tego niebieskiego ojca coś im dała? - spytał Leon.

- W tym świecie nie, może w tamtym.

- W takim razie powiem ci coś, czego może nie chcesz słyszeć. Gdyby twoi przyjaciele z Aramcheku tu byli, to też bym im powiedział. To nie ma sensu, Phil. To musi być w tym świecie.

Leon pokiwał energicznie głową, a jego pobrużdżoną twarz przeniknęła stanowczość. Stanowczość biorąca się z doświadczenia.

- Zyskali nieśmiertelność - wyjaśniłem. - Została im przyznana za to, co zrobili, a nawet za to, co bezskutecznie próbowali zrobić. Moi przyjaciele w tym momencie istnieją. Zawsze będą istnieli.

- Chociaż ich nie widzisz.

- Tak. Zgadza się.

- Najpierw musi być coś tutaj, Phil. Tamten świat nie wystarczy.

Nie przychodziło mi nic do głowy. Czuję się pogruchotany i wątpy, zużywszy cały zapas argumentów podczas tego wszystkiego, przez co przeszedłem. Nie potrafiłem mu odpowiedzieć.

- Bo tutaj dzieje się cierpienie - ciągnął Leon. - Tutaj dzieje się niesprawiedliwość i wsadzanie do więzień. Na przykład my dwaj. Potrzebujemy tego tutaj. Teraz. - Nie miałem na to odpowiedzi. - Może im to pasuje, ale nam?

- Ja... - zacząłem. Wiedziałem, że ma rację.

- Przepraszam - powiedział Leon. - Widzę, że kochałeś dwójkę swoich przyjaciół i że ci ich brakuje, i może śmigają gdzieś po niebie, polatają tu i tam, są duchami i są szczęśliwi. Ale ty, ja i trzy miliardy innych ludzi nie jesteśmy szczęśliwi, i dopóki tutaj się nie zmieni, to nam nie wystarczy, Phil; nie wystarczy. Mimo najwyższego niebieskiego ojca. Musi coś dla nas zrobić tutaj, i taka jest prawda. Jeśli wierzysz w prawdę... Taka jest prawda, Phil, i kropka. Bezlitosna, nieprzyjemna prawda.

Siedziałem w milczeniu ze spuszczoną głową.

- O co chodzi z tym, że ludziom z Aramcheku ostrożnie i w wielkiej tajemnicy wkładają do głowy coś, co wygląda jak piękne srebrne jajko? Mogę ci nawet powiedzieć, którędy wchodzi: szlakiem wzrokowym do szczytnki. Dzięki promieniom wysyłanym podczas wiosennej równonocy. - Zarechotał. - Osoba, której to robią, czuje się tak, jakby była w ciąży, nawet jeśli jest mężczyzną.

Zdziwiony, że to wie, odparłem:

- Następuje wylęg jaja, kiedy nosiciel umiera. Jajo pęka i staje się żywą plazmatyczną istotą, która bytuje w atmosferze i nigdy...

- Wiem to wszystko. I wiem, że tak naprawdę to nie jest jajo. To taka metafora. Wiem więcej o Aramcheku, niż ci się przyznałem. Widzisz, Phil, byłem kiedyś pastorem.

- O.

- Ta historia o umieszczaniu w każdym z nich srebrnym jajku, które rozwija się, pęka i gwarantuje nieśmiertelność, to jest w Biblii, Phil. Jezus mówi o tym kilka razy narożne sposoby. Widzisz, Mistrz wyrażał się tak, żeby namieszać w głowach maluczki. Tylko jego uczniowie mieli to zrozumieć. A raczej wszyscy rozumieli, ale prawdziwy sens znali tylko uczniowie. Pieczołowicie strzegli tajemnicy ze względu na Rzymian. Sam Mistrz lękał się i nienawidził Rzymian. Mimo ich wysiłków Rzymianie wszystkich ich zabili i prawdziwy sens się zatracił. Mistrza zresztą też zabili... Ale o tym pewnie wiesz. Tajemnica zatraciła się na prawie dwa tysiące lat. Ale teraz wraca. Dzisiejsi młodzi ludzie, Phil, mają wizje, a starzy mają sny.

- W Nowym Testamencie nie ma nic o srebrnych jajach.

- Perła - powiedział Leon z emfazą. - Drogocenna perła. I skarb zakopany w polu. Człowiek sprzedaje wszystko, co ma, żeby kupić to pole. Perła, skarb, jajo, zaczyn, który zakwasza wszystko: to są szyfry na to, co się stało z dwójką twoich przyjaciół. I ziarno gorczycy, które jest takie maleńkie, ale wyrasta z niego wielkie drzewo, na którym siadają ptaki, ptaki na niebie, Phil. I u Mateusza, przypowieść o siewcy, który wychodzi w pole... niektóre ziarna padają na drogę, niektóre na miejsca skaliste, niektóre między ciernie, ale posłuchaj: Niektóre padły na żyzną ziemię i wydały plon. Za każdym razem Mistrz mówi, że takie jest królestwo, królestwo, które nie jest z tego świata.

Zainteresował mnie.

- Mów do mnie jeszcze, pastorze Leonie - powiedziałem żartobliwie, lecz byłem zafascynowany.

- Nie jestem już pastorem, bo to nie ma sensu. Ale podam ci jeszcze jeden przykład, gdzie Jezus o tym mówi. Twoi przyjaciele, którzy umarli, są teraz jedną, a nie dwiema odrębnymi istotami. Powiedzieli ci to, zanim umarli?

- Tak. Nicholas wyjawiał mi, że wszyscy członkowie Aramcheku zleją się w jedną złożoną formę życiową. W kolektywną egzystencję, która nadejdzie.

- To jest z Jana, rozdział dwunasty, wers dwudziesty czwarty. To idzie tak: „Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo”, zamiast „samo” czytaj „samotne”, „ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity”, zamiast „plon obfity” czytaj „kolektywne życie”. I dalej: „Ten, kto kocha swoje życie, traci je, a kto nienawidzi swego życia na tym świecie, zachowa je na życie wieczne”.¹¹ Widzisz? W każdym przypadku coś małego: skarb, ziarno gorczycy, które jest najmniejsze z wszystkich ziaren, siewca siejący w żyznej glebie, ziarno pszenicy, coś jest umieszczane w ziemi, to tajemny symbol pierwszych chrześcijan oznaczający ludzką głowę, mózg, umysł; to coś rośnie, aż się wykluje, zakwitnie, zostanie wykopane albo zakwasi wszystko, i wtedy przynosi życie wieczne: królestwo, którego nikt nie może zobaczyć. O tym mówili twoi przyjaciele z Aramcheku, przypuszczalnie nie wiedząc o tym. To im się przydarzyło, zanim umarli i doprowadziło ich do ich obecnego pośmiertnego stanu.

- Czyli wszystkie przypowieści Chrystusa muszą zostać zdekodowane?

- Tak - odparł pastor Leon. - Mistrz twierdzi, że mówi zagadkami, żeby ludzie z zewnątrz nie zrozumieli. Mateusz trzynaście łamane przez trzynaście.

- A ty wiesz, że to, co powiedział, jest prawdą.

- Tak.

Oślupiały, niczego nie rozumiejący, zacząłem:

¹¹ J 12, 24-25.

- A jednak...

- A jednak mówię, że nienawidzenie tego świata i zapominanie o tym świecie nie wystarczy. Praca musi być wykonana tutaj. Pozwól, że cię o coś zapytam. - Przyglądał mi się natarczywie starymi, lecz przejrzystymi oczami. - Gdzie Mistrz nauczał? Gdzie wykonywał swoją pracę?

- Na tym świecie.

- Sam widzisz. - Leon wrócił do swojej kanapki. - Te kanapki z każdym dniem są coraz bardziej nieświeże - mruknął. - Powinniśmy złożyć skargę. Te czerwono-biało-niebieskie panie nie powinny sobie tak pozwalać. Robią się leniwe.

Kiedy skończyłem jeść, wyjąłem mój jedyny papieros i ostrożnie go zapaliłem.

- Mogę dostać połowę? - spytał Leon.

Złamałem papieros na pół i dałem jedną część przyjacielowi. Jedyne przyjacielowi, jakiego miałem, po tym, jak inni odeszli. Staremu ekspastorowi, który tak przekonująco mi pokazał, że wszystko, co zrobiliśmy, Nicholas, ja i Sadassa Silvia, było pozbawione sensu. Człowiekowi, który, jakby przemawiał w imieniu samego Valisa, przyniósł mi prawdę.

- Jakie rzeczy pisałeś? - spytał Leon.

- Dalej piszę - odparłem żartobliwie.

Rządowe podróbki moich książek zaczęły się już ukazywać. Policja - przypuszczalnie z inicjatywy Vivian - dbała o to, żeby przysyłało mi egzemplarz każdej z nich.

- Jak ty to robisz?

- To łatwe, kiedy zna się metodę.

Leon pochylił się i trącił mnie w bok.

- Popatrz. Dzieci nas obserwują.

I rzeczywiście, zza pordzewiałego ogrodzenia z siatki drucianej, wewnątrz którego pracowaliśmy, grupa dzieci w wieku szkolnym gapiła się na nas z fascynacją i strachem.

- Hej, dzieciaki! - wrzasnął do nich Leon. - Żebyście nie skończyły tak jak my. Róbcie wszystko, co wam każą, słyszycie?

Dzieci dalej się gapiły.

Jedno z nich, starszy chłopiec, miało przenośne radio na tranzystorach. Leon i ja słyszeliśmy łomoczącą muzykę rockową, która wylewała się z maleńkiego głośniczka. Prezenter, miejscowy didżej z Los Angeles, bredził coś z podnieceniem o następnym kawałku z nowej płyty, który już podbił listy przebojów, w wykonaniu grupy rockowej Alexander Hamilton, kapeli z San Francisco, która w tym okresie była na topie.

- No to lecimy z koksem - grzmiał prezenter, kiedy banda dzieciaków gapiła się na nas, a my nieśmiało odwzajemnialiśmy spojrzenie. - Alexander Hamilton z Grace Dandridge w utworze *Impreza to party*. Dobra, Gracie, zasuważ!

Muzyka ryknęła z głośniczka. Usadowiony z moją kanapką, zgarbiony i znużony, usłyszałem

słowa, które płynęły do nas przez gęste od smogu południowe powietrze:

IMPREZA to PARTY,
Więc odkryjmy karty.
Gdy podczas impREZY
DĘTA gra orkiestra.
Czar PAR, TY i JA dajemy PREZenty,
KOMU CHcemy zaglądnąć w rejestra.

Leon odwrócił głowę, by spojrzeć na mnie z odrazą.

- To jest to! - zawołałem.

- To jest co?

- Dał, dali to do nagrania innej wytwórni. I już wyszło, już jest przebojem. W takim razie...

Zrobiłem rachunek, na podstawie tego, co wiedziałem o przemyśle fonograficznym. To musiało być niemal w tym samym czasie, uzmysłowiłem sobie. Kiedy Progressive Records przygotowywało taśmę, inna wytwórnia, inny zespół, inni członkowie Aramcheku, pod kierunkiem satelity, przygotowywali inną.

Działania Nicholasa spełniły rolę zasłony dymnej. Były wpisane w plan, którego nikt z nas nie widział ani nie rozumiał. Kiedy go rozstrzelowali, jego i Sadasę, a mnie wsadzali do więzienia, Alexander Hamilton, najbardziej popularna grupa rockowa w kraju, nagrywała ten sam materiał dla Arcane Records. Progressive Records nie miało w całym swoim katalogu nikogo, kto dorastałby do pięć Alexandrowi Hamiltonowi.

Nagle muzyka przestała grać. Zapadła całkowita cisza. Potem zaczął się inny kawałek, tym razem instrumentalny. Najwyraźniej pierwsza rzecz, która wpadła ludziom z rozgłośni w rękę.

Pomyłka, uzmysłowiłem sobie. Didżej miał zakaz puszczenia *Impreza to party*. Zapomniał o otrzymanych od władz instrukcjach. Ale płyty zostały wytłoczone, pomyślałem, wytłoczone i rozesłane, a niektóre z nich puszczone, przynajmniej przez chwilę. Rząd za późno podjął działania przeciwko Arcane Records.

- Słyszałeś to? - spytałem Leona.

- Ten szajs? Nie słucham radia. W domu, zanim mnie aresztowali, miałem wielki zestaw kwadrofoniczny, wart ze trzy tysiące dolarów. Ten chłam jest dla dzieci, uwielbiają to.

Dzieci dalej na nas patrzyły. Na dwóch więźniów politycznych, w ich oczach starców, steranych, brudnych i przegranych, jedzących drugie śniadanie, teraz w milczeniu. Radio na tranzystorach grało dalej. Jeszcze głośniejsze. A wiatr przyniósł dźwięk z radioodbiorników włączanych gdzie indziej. Przez dzieci, pomyślałem. Przez dzieci.